

De II 1

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 179.

— 22 —

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO POSWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1885.

SERYA VI.

Lipiec.

TOM III. — ZESZYT VII.

WARSZAWA.  
W Drukarni Józefa Bergera.

Ulca Elektoralna, Nr. 14.

— 22 —

Ukończono druk dnia 6 Lipca 1885 roku.

## T R E Ś Ć.

	stro-
I. Zim-Zizimi. (Z legendy wieków Wiktora Hugo). Przełożył Klemens Podwysocki. . . . .	1
II. Pojęcie przyczynowości w „Systemie Logiki dedukcyjnej i indukcyjnej J. St. Milla. Przez Aleksandra d-ra Raciborskiego. . .	11
III. Kultura Indów w epoce wedyjskiej. Przez J. Hanusza. . .	34
IV. Moje Wspomnienia. Ustęp z niewydanych pamiętników Leona Dembowskiego. (Ciąg dalszy). . . . .	49
V. Mickiewicz i Ankwiczówna. (Pierwszy pobyt Mickiewicza we Włoszech, 1829—1830). Napisał Teofil dr. Ziemia. . . . .	66
VI. Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych w Galicyi i jego I-y walny zjazd we Lwowie (w d. 24 i 25 maja b. r.). Przez Romana Zawilińskiego. . . . .	99
VII. Z ekonomiki.—Cło ochronne i orgia celna.—Dwojaki charakter ceł: fiskalny i ochronny.—Złudzenia spożywców o wrzekomym rozwoju przemysłu narodowego.—Cło od śledzi, wina, oliwy, jedwabiu i herbaty.—Cło od machin i narzędzi rolniczych i jego skutki.—Dochody celne państw główniejszych.—Wywóz rosyjsko-polski do Niemiec w 1884 r.—Niemiecka polityka celna.—Zastosowanie w praktyce teoryj socjalistycznych we Francyi.—Le familistère de Guise.—P. Godin i pałac socyalny.—Urządzenie socjalistycznego przedsiębiorstwa.—Stan główniejszych kas oszczędności w Europie.—Zdanie Leroy-Beaulieu.—Pocztowe kasy oszczędności w główniejszych państwach.—Bibliografia. . . . .	121

### VIII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.

Wykład prawa administracyjnego i prawa administracyjnego obowiązującego w Królestwie Polskiem, przez prof. Antoniego Okolskiego; nakład Biblioteki Umiejętności prawnych. Warszawa 1884, str. 518, tom 3-ci i ostatni. Przez J. B. O. . . . .	136
Adolf Koch, Hermann von Salza, Meister des deutschen Ordens († 1239). Ein biographischer Versuch. Lipsk, 1885, str. IX, 140. Przez J. K. P. . . . .	145
IX. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe, artystyczne i społeczne. — Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie (148). — Budowa kościoła ś-go Piotra dla parafii ś-jej Barbary w Warszawie. — Postępowanie komisji fizyograficznej Akad. Um. (d. 7-go maja r. b.) (str. 149). — Posiedzenie wydz. filozof. Akad. Um. (Wykład dr. Wislockie-	

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**



OGÓLNEGO ZBIORU TOM 179.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE  
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1885.

— 00000 —

Tom trzeci.

WARSZAWA.  
W Drukarni Józefa Bergera,  
ulica Elektoralna, Nr. 14.

—  
1885.



De. II 1.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 21 Іюня 1885 г.

# ZIM-ZIZIMI.

(Z LEGENDY WIEKÓW WIKTORA HUGO).

PRZEŁOŻYŁ

Klemenś Podwyśocki.

Wódz wiernych i Egiptu—Sudan—Zim-Zizimi,  
Padyszach, co jak kolos wyniósł się olbrzymi  
Ponad cezary Niemiec i Azyi suttany,  
Pan, przepychu bezmiarem codzień przesycany,  
Marzył... a był to bankiet o wieczornym zmroku.  
Stół, rzekłbyś, kadzielnica, w wonnym stał obłoku;  
A był on zastawiony w najpyszniejszej sali  
Gmachu, który Egiptu władcy zbudowali.  
Malowane kolumny, złożone sufity,  
W kredensach wina morze, stos jadła sowity,  
I wszystko, co głód ludzki wyśni: bo król godnie  
Spożywa przez dzień tyle, coby na tygodnie  
Ispahanom, Stambułom i Tyrom starczyło.  
Służalców-to od wieków rzecz, by kunsztu siłą  
Piers świata do ust zbliżyć jednego człowieka.  
Przyprawy najprzedniejsze, dobór win z daleka,  
Bo Zim-Zizimi lubił wychylać puhary:  
Śmiał się on z Alkoranu, który derwisz stary  
Z trwogą świętą i drzeniem tajemnym otwiera;  
Często—okrutnym bywa wstrzemięźliwy sknera:  
Kto wina skąpi, hojnie krew toczy żelazem;  
Zim-Zizimi był opój i tyran zarazem.

Lecz to mu nie przeszkadza szczytną jaśnieć chwałą:  
Panuje i Afrykę czarną zgniata całą;



Panuje—przez krew, wojnę, szafot; i dłoń Zima  
I Azyą i Afrykę w równój grozie trzyma.

A koby go nie uznał panem, niech ucieka,  
Gdzie kraj Traków dalekich, lub gdzie Baksil rzeka.

Wciąż gromiący, złowrogi, dziki—dla wassali

Ma fanfary, obozy, łunę wojny pali.

Gdy sęp Zima spostrzeże, z krzykiem w górach znika;

Władcy Agry, Missory, Omar, co wykrzyka:

„Ze mną Ałłach zwycięża!“—Krew jego i rada;

Hajradin—pan Bassory—wujem mu przypada,

Szejki pustyń są jego rodziną ponurą;

I król z Ud jest mu bratem, a maczuga—córą.

Wziął Bagdad, Trebizondę, Mossul. (Walk łakomy,

Ten ostatni—brał ongi sławny konsul Romy,  
Duiliusz, co to z chórem surmaczek szedł w boje).

Las Abisyński z Gophą w szpony zabrał swoje;

Arabią, kędy zorza blaski dziwnie mieni,

I Hedžas, gdzie podróżni, w noc czarną, strwożeni,

Gdy widzą, jak zwierz puszczy tuż ślepiami błyska,

Broń mają w pogotowiu i palą ogniska,

Palec w ogniu trzymając, by nie usnąć czasem.

Mekka mu jest emirem, a Mossul—rajasem.

A zaś Liban, i Kaukaz, i Atlas, i Scyty,

Część cienia, którym pysznie tron Zima okryty.

I wody Nagainy z Ophirą posiada,

I Saharę ma płową, gdzie asfirów stada

Zbierają muchy drobne u nóg dromadera.

Jak owe sępy, którym gniazda wróg wydziera,

Sułtani, zbici, starci, przed olbrzymia siłą,

W Saharze gdzieś przepadli; dwadzieścia ich było.

Gdy berło swe wyciągnie, biegunów dotyka,

Kędy lśni amazonek dumnych nagość dzika;

W Grecyi—on rzuca chrześcian przeciw chrześcianom,

Brytany przeciw trzodom, te przeciw brytanom.

Straszny dla wszystkich. Przed nim chyli się, jak trzcina,

Lama, co w dymie świątyń czoła nie ugina;

Przed nim—i Kasburdarów dumny softa niczém,  
Choć siedm sztandarów noszą przed jego obliczem.

Panuje—i od globu rwany szmat za szmatem,

Rośnie codzień olbrzymio pod jego bułatem.

Depce państwa, pożera, kupuje, sprzedaje...

Dla kogóż były wtedy narody i kraje?..

Dla niego, jako słoma dla głodnego wołu.

A jednak on się nudzi. Jest dziś sam u stołu:

Tron Zizima nie znosi spółbiesiadnych gości.

Ma wielkość, sławę, wszystko, czego tłum zazdrości;



W pysznej sypia alkwie, berłem się podpiera;  
Ma wszystko—i dlatego nuda go pożera...  
Pijany—on znudzony...

Rozkosz wyczerpana:

Wezyry ze czią stopy całowali pana,  
Ucho jego bawiły zuane już fanfary,  
Kobiety lśniły w tańcu edeńskimi czary,  
Padały tu w proch przed nim całe legiony  
I szejków i ulemów,—on patrzył zdumiony  
Na duch czarny, a brody ich śnieżne; z kolei  
Kazał z więzień sprowadzić dwóch czelnych złodziei;  
U nóg się mu czołgali, błagając człowieka,  
Co tu—wszechwładzą bozką nicość swą obleka;  
Kajdanami wstrząsali dla króla zabawy:  
Król—jelita wyprute zobaczył ciekawy,  
Żona obu rozplątał z krwią zimną, powoli;  
I... ziewając, pchnął nogą te płazy niewoli.

I patrzył znów wyniosłem okiem i zdumionem,  
Ktoby wart był głos zabrać przed samotnym tronem.

\*

\*

\*

Tron Zima —na dziesięciu sfinksach zawieszono,  
Ze śnieżnego marmuru. Każdy—nagie łono,  
A czoło w wieńcu z róż ma; w dłoni lutnią trzyma,  
I zda się tajemniczo uśmiechać oczyma.  
Mistrz każdemu po słówku wyrzeźbił na czole:  
Szczęście, zwycięstwo, sława, rozkosze, swawole,  
Zabawa, radość, wielkość, zdrowie, wdzięk uroczy.  
I sułtan rzekł:

„O! sfinksy z płomiennemi oczy!  
Jam zwycięzca! W lazurach wyrte, olbrzymie,  
Niepamięć i mrok wieków przetrwa moje imię!  
To ramię błyskawiczną piorunów jest procą,  
Zwycięstwa me—to koła, co wszystko druzgocą.  
Żyję—i ze śmiertelnych nie jestem plemienia;  
I tron mój starzejący w ołtarz się zamienia;  
A gdy otrząsnę z siebie tę znikomą glinę,  
Jako dzień nieskończony, w jasność wieczną wpłynę.  
Bóg powie:—Rad się zbliżę do wiernych sułtana!  
I jutrznia mię pośpieszy powitać świetlana.  
Tu—śmiertelni mię wielbią, skinień mych się boją;  
Tryumf—paziem, a sława—służebnicą moją!  
Pokorna—u drzwi stoi, gdy padyszach drzemie.  
I nienawistne dla mnie całe ludzkie plemię;

Gdy je stopą swą depcę, czuję woń kałuży!  
 Więc zamiast tych rzezańców niemych, niech mi służy  
 Towarzystwo tu wasze, z lubemi imiony.  
 O! wy sfinksy! na których tron mój zawieszony,  
 Rozweselcie monarchę co w gromach ma czoło!  
 I blask mój z piersi waszych niechaj strzeli w koło!  
 Zabrzmiście mi w hymn wielki niepożytej sławy!  
 Tronie, którego jestem pan jedyny, prawy,  
 Przemów do mnie! Uderzcie, sfinksy, w głos człowieczy!“  
 I sfinksy, owym głosem, którym mówią rzeczy,  
 Ozwały się, a był-to szmer, co w snach się słyszy.

## SFINKS I.

„Królowa Nitokrysa śpi w podniebnej ciszy.  
 Wyniosły jój grobowiec w chmurach ginąć zda się.  
 Samotna, smutna, marzy o monarchów rasie:  
 Okrutnych, srogich, wyszłych z czarnego jój łona,  
 A których pomną Greci, Judea strwożona.  
 Śród jasności, tkwi grób ten złowrogi, ponury.  
 Ptak ginie, gdy go dotknie w locie swemi pióry.  
 Nitokrysa śpi niema, a chmury — grobowy  
 Śpiew jęczą nad królewskim snem tej białołowy.  
 Nikt z żyjących, — odwiecznych praw takie żądanie, —  
 Jeśli trupa nie dźwiga na głowie, nie stanie  
 W tym grobie, zgrozą tchnącym i piekłem. Królowa  
 W noc otwiera powieki — i toń lazuruwa  
 Do zmarłej zajrzy czasem przez gęste kolumny,  
 Lecz gwiazdy szklany, straszny wzrok przeraża z trumny!  
 I do świtu, nad prochem Nitokrysy — dziki  
 Tłum widm złowieszczych krąży z dziwaczniemi krzyki.“

## SFINKS II.

„Nad króle, Faraony, magi, którym świata  
 Tłum hołduje i laury śród kadzideł splata,  
 Teglat-Falassar większy. Jak niebios potęga,  
 Co do rydwanu swego gwiazdy jasne wprzęga,  
 On miał świątynię, której kapłan był prorokiem;  
 Wzrok jego zdał się słońcem, króla będąc wzrokiem.  
 Świat drżał przed nim. Pod jarzmem, zbrojne jego szyki  
 Naród trzymały w grozie, jak zwierzyniec dziki.  
 Dla miast Assura, które stopą kruszył w złomy,  
 Był on tém, czém dla Indów Aleksandra gromy;  
 Czém będzie dla Europy Attyla, nim zgaśnie.  
 Tryumfował, promieniał... Ale wtedy właśnie,

Nie wiedząc niby, że on stopą ludzkość gniecie,  
Na klątkę dlań, co grobem zowie się na świecie,  
Cegłę, najprostszą cegłę suszyli garncarze.“

## SFINKS III.

„Wielki Nemrod jaśnieje z archanielstwem w parze.  
Imię jego—to świetność ruin Babel wieży;  
Berłem swoim okrywał przestrzeń, która leży  
Od wschodu aż na zachód. Baal dał mu grzmoty  
W dłoń, by tu postracham wszelkiej był istoty,  
Od niebios szczytów jasnych po erebu mroki,  
Dzierżąc w tej dłoni państwa, jako świat szeroki.  
Ktoby rzekł: Nemrod umrze—czyżby mu wierzone?...  
A jednak, on zmarł, spróchniał z berłem i koroną...  
Pustyni pierś bezdenna, po niéj wiatr się miota....“

## SFINKS IV.

„I Chrem był władcą możnym. Posąg miał ze złota.  
Kto i kiedy go ulał?—to w mgle wieków ginie.  
Lecz któż wie ze śmiertelnych—w jakiej gdzie głębinie  
I w podziemiu nieznaném, król ten, bicz straszliwy,  
W swéj trumnie pływa szklanéj, w kąpieli z oliwy!  
Świetni, dumni koroną, półbogi królowie,  
Pyszną się tu laurami, aż Bóg „dosyć“ powie.  
Bo czas—nad znikomością czyhająca hydra,  
A w dłoni jéj—od czasu do czasu—klepsydra  
Porusza się... w niéj piasek, w grobach uzbierany  
I w całunach przegniłych, podartych w łachmany;  
Prochy zmarłych czas mierzą żyjącym na świecie.  
Król klepsydra płacze, piasek drży... A wiecie  
Dlaczego?—Wiecie władcy?—Oto, widzi ona,  
Po za blaskiem zwodniczym, co rzuca korona,  
Grobu otchłan ponurą, sklep osamotniony,  
I jak w nim wyglądają pyszne wasze trony...“

## SFINKS V.

„Czterej wschodu pogromcy—cztery ziemi słońca.  
Gniew ich, jak grom gruchoce wszystko i roztrąca;  
Pod stopą ich—na osi ziemi drży posada;  
Turas w Fazie, zaś Ochus nad Araksem włada;  
Gur wszechwładzę ma w Persach, Ful-Belezys—czwarty  
Na strasznych barkach Indów ma swój tron oparty.

Gdy Cyrus do rydwanu swego wprzągł ich społem,  
 Eufkrat zadrżał... Niniwa—z zadumaném czołem,  
 Pytała:—Co za rydwan dziwny i pan srogi,  
 Co do wozu świetnego wprzągł straszliwe bogi?  
 Gdy lud tak gwarzył z wojskiem w przerażeniu płochém,  
 Bogowie ich w proch padli, bo tu wszystko prochem.“

## SFINKS VI.

„Kambizes śpi bezwładny. Oczy w wiek się zwały;  
 Śpi i nawet nie widzi, że gnije, bo zmarły.  
 Dopóki żyją króle, w plazy tłum się zmienia:  
 Patrzy w nich i w ich gmachy okiem uwielbienia.  
 Umierają... Śmierć z bożków potwory wnet zdziała,  
 I robactwo już tylko pełza u ich ciała.  
 A przetwórz ten straszliwy, patrz, od Ekbatany  
 Do Tarsu, od Memfis do Troi rozlany.  
 Cóż z Cyrusa wielkiego, z Psametycha cieni?  
 Straszliwiej mrą zwycięzcy, niżli zwyciężeni!  
 Z uśmiechem do zwykłego śmierć wchodzi człowieka;  
 Sławę gromną noc grubsza niż kłeskę obleka.“

## SFINKS VII.

„Belusa grób w pustyni kruszy się, rozpada;  
 Runeła w nic granitów zielonych gromada;  
 Do pysznej niebios siostry, szczytnej grobu wieży,  
 Pastuszek po kamyczek do swęj procy bieży.  
 A kto się tu w noc późną zabłąka, usłyszysz,  
 Jak szakał szczęka paszczą w złowrogięj téj ciszy.  
 A noc—w mroki tysiąca nocy tu się zmienia;  
 Pątnik, stukając laską o nieme sklepienia,  
 Napróżno pyta:—Świata wielkość tu zamknięta?..  
 Bo... grób zanadto stary, tego nie pamięta...“

## SFINKS VIII.

„Amenofis i Chrebron—w grobach swych poczwary.  
 I świetny niegdyś, zczerniał w ziemi Ramzes stary.  
 Satrapów dumnych cielskiem robactwo grób tuczy;  
 A grób nie potrzebuje wrzeciędzów, ni kluczy:  
 Grób mocny, a śmierć—wielka jego dozorczyni;  
 Z półbogów,—niewolników ukorzonych czyni...  
 Zamyka ich. Królowie idą do jęj matni,  
 Potulni i pokorni,—pierwsi i ostatni.“



Dłonią zimną wypręża skostniałe ich ciała...  
 Ot... w klatkach ciasnych, niskich—łóża im postąła—  
 W wapiennych, prostych chatkach z szaremi cegłami,  
 I... aby w tych podziemiach smutnych, wiecznie sami,  
 Marzyli o koronie, laurach wojownika,  
 Bierze szczupłą garść ziemi—i wejście zamyka.“

## SFINKS IX.

Przechodniu! Chcesz zobaczyć Kleopatry łożę?  
 Alkova smutna, światło tam nie wejdzie Boże;  
 Złożona w niej na wieczność nadziejska ta siła  
 Uroków, co to niegdyś świat cały olśniła...  
 Ów płomień, co ócz wszystkich ognie zabrał w siebie.  
 Gdy zmarła, świat na bóstwa osłupiał pogrzebie.  
 Zęby—perły, ust woni—ambra pozazdrości;  
 Króle u drzwi téj pani konali z miłości;  
 Efrakteusz dał Atlas; czuły na jój groty,  
 Sapor Osymandyasza pierścień porwał złoty.  
 Mamylos—dla téj pani, pyszne mury Suzy,  
 Tentyros i Palmirę starł, zgruchotał w gruzy.  
 Antoniusz, kiedy losy wybierać mu każą—  
 Pomędzy nią a światem, kląkł przed cudną twarzą.  
 Gasła przed jój nadziejskim Junona obliczem;  
 Okowy złote miała w spojrzeniu zwodniczym...  
 O! serce ludzkie! Jeśliś drgnęło szczęścia chwilką;  
 To chyba od jój spójrzeń, w ramionach jój tylko...  
 Imię jój upajało... Kreśląc jego zgłoski,  
 Strophus drżał... Ziemi słońcem był uśmiech jój boski,  
 Błyskawic uzbrojony i promieni siłą.  
 Ciało jój—jak z lazurów i karminu było;  
 Wenus zazdrosna, przed nią w mgłach bywało tonie;  
 Egipt jój tchnień różanych napełniały wonie;  
 Bez osłon, wzrok śmiertelnych paliła jak słońce;  
 W różach zazdrość budziły paluszków jój końce!  
 Śmiertelni! Spójrzcie w grobie dziś na piękność ową!  
 Była bóstwem, raczyła dumna być królową;  
 Ust jój wabnych na łuczek miłość pożyczła;  
 Serca, zmysły szalały, gdzie przeszła wspaniała;  
 Wdzięk jój był okrutniejszy, niż lew puszczy srogi...  
 Lecz... zatknij nos, przechodniu, wchodząc dziś w jój próg!“

## SFINKS X.

„Co czyni Sennacheryb, większy nad los? Białad  
 Sennacheryb—najprościej w grobie się układa!“

Gad?—Zmiera! Sardonapal co czyni surowy?  
Umiera!...“

\* \* \*

Sułtan, blady, słuchał sfinksów mowy.

„Ha, złowrogie bajania!—rzekł. Rozkażę w szczęty  
Jutro zburzyć na wieki pałac ten przeklęty,  
Kędy, zamiast aniołów, czarci mówią z nami!“

Pięścią pogroził sfinksom z dziwnymi oczami.

\* \* \*

I spostrzegł czarę. Wino w naczyniu bogatém,  
Skrzy się,—szałwii, goździków nęcąc aromatem.

„A, ty jedna rozpędzasz nudę z mego czoła!  
Pójdź do mnie, śmiej się, czarol! Mów, a bądź wesola!  
Wygnaj z myśli mych widma, straszące załobą!  
Jam potęga, ty—nektar, więc pomówmy z sobą.“

I czara, roziskrzona, pyszna, woniejąca,  
Rzekła doń:

„W Aleksandryi Fur był bratem słońca;  
Hełm jego po nad morskie wystrzelał kotliny;  
A lud jego waleczny, natenczas jedyny  
W Afryce po Kartadze, a po Romie w świecie,  
Więcej mu słał żołnierzy, niż wam, gdy zaśniecie,  
Sen roziskrzy mar złotych w przezroczu łudzącém.  
Lecz pocóż na téj ziemi być człowiekiem—słońcem?  
I cóż na blasku chwili nicość wygra naga?  
Co znaczy tron kalifa, złudna wielkość maga?  
Co znaczy Faraonem być, dumnym sułtanem,  
Który w wieczność bezmierną, w mgnieniu tu mu daném,  
Śmie ciskać blask utudny znikomój swój mitry?  
Czém Arzesy, Daryusze, czém są Armamitry?  
Sethos i Asser-Addon i Nabonasary?  
Ciaksary i Dercylasy, Artaksersy?.. Maryl  
Co tłum, zahartowany w boju, nam pomaga?  
Masz imię Chozroesa, Sylli, Astyaga,  
Cezara, lub Omara, Annibala?.. Po co?..  
Po co być Achillesem? Blask się kończy nocą!  
Na chwilę byli głośni,—a w wiek oniemieli!..  
Żyjący! Gdy śmierć do was w trupiędz zajrzy bieli,  
Každy ją z drzeniem wita; lecz król ziemi po to  
Wznosi się, by najniżej padł z koroną złotą.“



Dla wielkich krwi szafarzy—sroższy sędzia w górze!  
 Gdy dusza z nich ulata, trup—w marnéj purpurze,  
 Układa się—i czuje, gdy śmierć innych cicha,  
 Jego trumnę pień drzewa, lub skała rozpycha;  
 I sęp od grobów takich—drżący, siada zdala...  
 Czém sułtan jest po śmierci?—Kret proch tego kała,  
 Kto państwo tu posiadał, piął się na szczyt chwały;  
 W szkielecie, co tu rządził, świat deptał—zuchwały,  
 Pantera swój przyplódek hoduje złowrogi!“

Zim—wściekły, cisnął czarą o marmur podłogi.

Lecz, by salę oświetlić, właśnie przyniesiono  
 Na stół, bogatą lampę, misternie rzeźbioną  
 Na Sumatrze, w złotników przesławnych krainie.  
 I oto—blask słoneczny po sali z niej płynie.

Zim woła:

„Otóż—światło przynajmniej jest z nami!  
 Te sfinksy są erebu i nocy synami!  
 Ta czara ciągle pijąc, w szal wpadła powoli.  
 Ty lampo, ty, co w świetnej żyjesz aureoli,  
 Uśmiechem rozweselasz ucztę woniejącą,  
 A gdzie wejdiesz, tam naraz wschodzi jasne słońce,  
 Głos twój brzni pewno, jako pieśni jutrzni wieszczę!  
 Zanuć mi coś takiego, czego nie znam jeszcze.  
 O, przemów, lampo rajska, wleń radość mi w łono!  
 Tę czarę i te sfinksy—piekła niech pochłoną!  
 Gdyż w oczach sfinksów—kłamy, w winie czary—zdrada.“

Lampa, na rozkaz króla, w te słowa zagada:

„Gdy losy Tyr, Babilon i Ilion mu dały,  
 Tezejowi skradł Delfy, lwom Atos wspaniały;  
 Gdy Ganges niósł mu haracz, Teby skroń schyliły,  
 Ninus, ów bratobójca—schodzi do mogiły.  
 Złożono go, tamecznym zwyczajem, głęboko,  
 W bezdni czarnej, gdzie nic już, nic nie dójrzy oko.  
 Gdzie? Nikt nie wie. Głęb czarna, bez dna ziemi łono.  
 I człowiek—stał się widmem. Gdyby w bezdeń oną  
 Mógł śmiertelnik żyjący zajrzeć choć z daleka,  
 Obaczyć grób samotny owego człowieka,  
 Co tu był tém, czém w burzy zygzag piorunowy,  
 To znalazłby, na miejscu téj monarszój głowy,

Nieco prochu i kości szczyptę spopielając.  
 Adamowi—Kainem widmoby się zdało.  
 Jaszczurka drży, gdy czasem zbliży się, zaśmiała  
 Tam, gdzie leży obrzydła ta zgnilizna ciała.  
 Tak śpi pogromca Ninus. Czeka na coś może...

I śmierć tu wchodzi czasem, schyla się nad łożę,  
 Złożywszy chleb, dzban z wodą na wilgotnej ziemi,  
 I potrąca monarchę stopy zuchwałemi,  
 I mówi:—„Oto jestem, Ninus, czy nie wstanie?  
 Oto masz nieco chleba, nieco wody w dzbanie! [pusta.  
 Bierz to, być musisz głodny!“ — „Nie mam rąk!“ Śmierć  
 — „Jedz—zawoła—pij, królul!“ — „Gdzież są moje usta?“  
 Śmierć chleb mu pokazuje.—„Patrzaj, co to?“ woła.  
 A Ninus:—„Nie mam oczu, nic nie widzę zgoła!“

\*                      \*

I Zim powstał straszliwy—i o marmur głuchy,  
 Na którym pozostały bankietu okruchy,  
 Cisnął, jak przedtem czarą, lampą ową złotą.  
 Lampa—strzaskana, zgasła.

Zim patrzy—i oto—

Noc weszła... I Zim został sam, z mrokiem... Olbrzymie  
 Słupy sali zginęły, jak w olbrzymim dymie...  
 Zim zadrżał... sam, bez straży... W koło—głucho, ciemno...  
 Noc, za dłoń go ująwszy, rzekła:—„Dość! Pójdź ze mną!“

## POJĘCIE PRZYCZYNOWOŚCI

w „Systemie Logiki dedukcyjnej i indukcyjnej“

J. St. Milla \*).

PRZEZ

*Aleksandra D-ra Raciborskiego.*

Jedną z najwybitniejszych cech nowszej filozofii jest, oprócz obfitego materiału, którego dostarczają filozofii nauki przyrodzone, ścisły rozbiór samych władz i środków poznawania, jakimi człowiek rozporządza. Filozofia nowsza rozbiera wartość i znaczenie naukowe, jakie w wykładzie teorii poznania przyznać trzeba wrażeniom zmysłowym, tym pośrednikom między umysłem ludzkim a światem zewnętrznym, tym, rzeczyby można, twórcom świata zewnętrznego. Systemata nowsze rozbierają sposób czyli metodę, według której umysł nasz bada te wrażenia, bada prawidła, wedle których działa umysłowość nasza; słowem: filozofia nowsza zajmuje się krytyką umysłowej strony władz poznania naszego. Krytyki tej zadaniem będzie tedy rozwiązanie kwestyi: czy w sposób, w jaki pojmujemy ślady albo wreszcie sam fakt istnienia świata zewnętrznego, czy ślady, mówię, których wrażenie umysł nasz odbiera, są zgodne z rzeczywistością, czy też nie, czy naszym rozumowaniem o świecie zewnętrznym odpowiadają także rzeczywiste w tym świecie zewnętrznym przemiany. Dalej, z kąd pochodzą te wyobrażenia o świecie zewnętrznym? Czy są pierwotną właściwością naszego umysłu, czy też wytwarzają je dopiero wrażenia, pochodzące ze świata zewnętrznego?

Do koryfeuszów tego kierunku wskazanej co tylko, względnie

---

\*) Ustęp, który niniejszemu drukujemy, stanowi jeden z ważniejszych rozdziałów dzieła, które prof. R. wydaje p. t.: „Podstawy teorii poznania w logice J. St. Milla.“

Red.

młodej teorii poznania, należy bez zaprzeczenia John Stuart Mill. W tej chwili zajmiemy się jedną drobną tylko częścią tej teorii, mianowicie poglądem Milla na pojęcie przyczynowości, rozwiniętym w jego „Systemie dedukcyjnej i indukcyjnej Logiki.“ Przedewszystkiem jednak uwydatnić należy ogólny kierunek jego teorii nauki poznania, trzeba poznać cechy i zasady, które teorią tę wyróżniają wśród innych systemów.

Przedmiot, o którym mowa, przedstawił bardzo jasno uczony badacz dr. Paulsen w artykule: „O zasadniczych różnicach zapatrywań w teorii poznania.“ Zasadnicze różnice rozmaitych teorii nauki o poznaniu naszym, zawierają się, zdaniem Paulsena, w różnicy odpowiedzi na dwie główne kwestye, których rozwiązanie jest zadaniem teorii poznania, mianowicie:

1. Czém jest poznanie?
2. W jaki sposób dochodzimy do poznania?

Co do pierwszego, możliwą jest tylko dwojaka odpowiedź, mianowicie: jedna, która uczy, że poznanie jest obrazem, że jest odtworzeniem idealnym rzeczywistego świata; że wyobrażenia, o ile są prawdziwe, są tylko takimi, jakimi są rzeczy, z wyjątkiem ich rzeczowości (Dingheit); druga zaś, która twierdzi, że poznanie nie jest obrazem rzeczy, ale czémś zupełnie różnym, z rzeczami samemi nawet porównać się nie dającym. Pierwsze zapatrywanie znamy pod nazwą „realizmu,“ drugie pod nazwą „idealizmu,“ albo lepiej „fenomenalizmu,“ gdyż słowo „idealizm“ przez najrozmaitsze sposoby stosowania tej nazwy, stało się wreszcie wieloznacznym, niejasnym, ściśle rzeczy nie określającym <sup>1)</sup>.

Co zaś do drugiej kwestyi: jaki jest początek wszelkiego poznania, znajduje Paulsen równie dwojaką tylko odpowiedź, mianowicie: jedną, która utrzymuje, że wszelkie poznanie pochodzi z wrażeń i pojęć zmysłowych, że jest tylko rozmaitem kombinowaniem zmysłowych spostrzeżeń, podług zasad logiki indukcyjnej i dedukcyjnej, i że dla tego nie można wykazać inną, jak tylko domyslną ogólności (präsumptive Allgemeinheit) naszych sądów o zjawiskach świata zewnętrznego. Druga zaś odpowiedź twierdzi przeciwnie: że wszelkie poznanie płynie z władzy rozumu, że jest sylogistycznie wywiedzione z twierdzeń (premisów, z przesłanek), które są same przez się pewne, nie wymagające dowodu („niedowodliwe“), ani też nie czerpane z doświadczenia: że możemy zatem dojść do prawd ściśle koniecznych i ogólnych, bez pomocy spostrzeżeń i wyobrażeń zmysłowych. Szkołę, broniącą pierwszej teorii, nazywają dość ogólnie „sensualizmem;“ gdy jednak pojęcie i znaczenie również i tego wyrazu uległo rozmaitym

<sup>1)</sup> Wyrazu tego używa też Mill: „Logic“ (wydanie X, B. II, Chap. VII, § 5, str. 321; „La philosophie de Hamilton, traduit par E. Cazelles,“ 1869, str. 251.



przekształceniom, nazywa Paulsen kierunek ten „empiryzmem;“ zapatrywanie zaś drugiej teorii, znanej w historii filozofii, „racyonalizmem.“

Z powyższego przeglądu teorii, które się ujawniły w rozwoju myśli filozoficznej co do zasad i metody tworzenia się pojęcia poznania, powstają zatem cztery kombinacje, będące podstawą tetrachotomicznego podziału rozmaitych teorii poznania, podług następującego szematu:

- a) Teorya poznania: empirystyczno-realistyczna;
- b) „ „ empirystyczno-fenomenalistyczna;
- c) „ „ racjonalistyczno-realistyczna;
- d) „ „ racjonalistyczno-fenomenalistyczna.

Jako „bardzo znaną systematologiczną kategorią teorii poznania“ wymienia jeszcze Paulsen „skeptycyzm,“ polegający, zdaniem jego, na zaprzeczeniu wszelkiej różnicy między wiedzą a niewiedzą, na „mniemaniu, że nie ma żadnego poznania, że nie ma zdania, któreby nie było dowodliwem lub niedowodliwem na równi z tém, które mu się wprost sprzeciwia („sein contradictorisches Gegentheil“).“ Ostatni ten dział pominął Paulsen w swojej klasyfikacji, utrzymując, że nawet starożytni grecy częściej może bronili skeptycyzmu za pomocą zręcznej dyalektyki, aniżeli za pomocą siły wewnętrznego przekonania; w nowożytnej zaś filozofii, w obec postępu nauk przyrodniczych i coraz trzeźwiejszego sposobu myślenia, stał się skeptycyzm stonowczo niemożliwym. Paulsen twierdzi konsekwentnie, że nie wierzy w to, ażeby w nowszej filozofii rzeczywistej skeptyk mógł istnieć i mniema, że nawet Hume'a nie można za skeptyka uważać. Ostatnia uwaga Paulsena może w najlepszym razie odnosić się tylko do skeptycyzmu, tak skrajnie przez niego pojętego. Do pewnego atoli stopnia, którego oznaczać nie uważamy w tej chwili za nasze zadanie, zachowa jednak skeptycyzm swoje znaczenie równie w metafizyce, jak i w teorii poznania, ale nigdy jako odrębny dział teorii poznania, a tém mniej jako dział w szematcie Paulsena. Skeptycyzm znajduje u Paulsena swój wyraz w empiryzmie i fenomenalizmie; albowiem tylko z tych dwóch stanowisk może płynąć wszelkie zaprzeczanie ogólności i bezwzględności prawd, do których nasze władze poznawcze doprowadzić nas mogą. Skeptyczna teorya poznania zbliża się najbardziej do teorii empirystyczno-fenomenalistycznej, najmniej do racjonalistyczno-realistycznej; pozostałe zaś dwie, o tyle są skeptyczne, o ile jest jedna z nich empirystyczną, druga fenomenalistyczną. Prócz tego zaś może być teorya poznania w każdym z tych czterech działów mniej lub więcej skeptycznie przeprowadzona. Rozumie się bowiem samo przez się, że tetrachotomiczny ten podział teorii poznania, podobnie jak często po psychologiach napotykanym tetrachotomicznym podziałem temperamentów na sangwiniczny, choleryczny, melancholiczny i flegmatyczny, jest tylko podziałem, wskazu-

jącym cztery typy, występujące mniej lub więcej wybitnie w rozmaitych poszczególnych wypadkach.

Dla dokładniejszej charakterystyki teorii poznania J. St. Milla, równie jak i dla oznaczenia jaśniejszego stanowiska i stosunku jego poglądów do innych w tej mierze zapatrywań, zwrócimy uwagę czytelnika na niektóre przykłady pojedynczych działów powyższego szematu. I tak: teorią poznania empirystyczno-realistyczną przyjmuje z mniej lub więcej naiwną wiarą powszechne mniemanie ogółu niewykształconego filozoficznie, a z nimi tegoczesny materializm, jakkolwiek pojawiają się tu najrozmaitsze odmiany, odstępujące pod względem zapatrywań na źródło poznania od skrajnego empiryzmu, a nie godzące się ze skrajnym realizmem pod względem zapatrywania na zgodność naszego poznania z światem rzeczywistym. W bardzo ciekawy sposób wykazuje A. Lange, <sup>1)</sup> jakie ztąd wynikają następstwa dla materializmu. Wywody te jednak pomijam jako nie należące do naszego zadania; zaznaczam tylko, że wspomniane odmiany empiryzmu posuwają się w kierunku racjonalizmu, o ile polegają na utrzymywaniu stałości i nieodmienności praw przyrody, odbiegają zaś w kierunku fenomenalizmu czyli idealizmu, o ile uznają podmiotowość naszych wrażeń i łączącą się z tém—w części przynajmniej—podmiotowość poznania.

Przedstawicielami teorii poznania empirystyczno-fenomenalistycznej są np. Locke, Hume i Mill. Najczystszy może typem tego kierunku jest Hume; Locke bowiem odstępuje od skrajnego fenomenalizmu o tyle, o ile rozróżnia pierwsze i drugie własności ciał, i o ile uznaje możliwość dokładnego poznania niektórych stosunków rzeczy nawet wtedy, kiedy istoty ich, jak się to najczęściej zdarza, wcale poznać nie możemy <sup>2)</sup>. Mill, bardzo zresztą zbliżony do czystego typu empirystyczno-fenomenalistycznego, t. j. do Hume'a, skłania się ku racjonalizmowi przez uznanie wiarogodności poznania intuicyjnego; ku realizmowi zaś przez stanowcze rozróżnienie ducha od materii, już nie tylko jako zjawisk, ale jako substancji.

Zapatorywania te rozwija Mill obok teorii poznania ściśle empirystyczno-fenomenalistycznej; powtarzam: o b o k, nie są one bowiem z niej w y p r o w a d z o n e, ale tylko urywkowo i okolicznościowo wypowiedziane, częścią we wstępie, częścią w początkowych rozdziałach. Nadaje to niektórym zapatrywaniom Milla cechę dogmatyczną, stojącą w jaskrawej sprzeczności z jego teorią poznania na wskroś skeptyczną. Teorią poznania racjonalistyczno-realistyczną widzimy najwybitniej przedstawioną u Descartes'a i u filozofów do jego kierunku należących.

<sup>1)</sup> A. Lange. *Geschichte des Materialismus.*

<sup>2)</sup> J. Locke: *An essay concerning human understanding, in four books.* B. II, Chap. 8, B. II, Chap. 25, § 8. (*Philosophical Works with a preliminary essay and notes by J. A. St. John.* London, 1877).



Teorią poznania nareszcie racjonalistyczno-fenomenalistyczną przyjmuje wraz z Kantem bardzo liczny zastęp filozofów. Poznanie nasze z wszystkimi jego właściwościami, oparte jest według tej szkoły na pewnych apryorycznych podstawach, jakimi są: 1) aksjomaty czyli pewniki, to jest prawdy od wszelkiego doświadczenia niezależne, dalej 2) formy spostrzegania umysłowi naszemu właściwe t. j. czas i przestrzeń a nakoniec 3) tak zwane kategorie umysłu naszego, w porządku rozmaitym i w nierównej liczbie wskazywane. Powstające w ten sposób poznanie człowieka, zachowuje swą ważność i znaczenie tylko względnie do zjawisk; ukrytą bowiem poza nimi rzeczy w sobie („die Dinge an sich“) albo wprost poznać nie możemy, albo też, jak utrzymują inni, poznać możemy o tyle tylko, o ile się do niej stosują zasadnicze pewniki logiki, mianowicie: zasada sprzeczności, i zasada wykluczonego trzeciego przypadku (exclusi medii tertii).

Niektórzy wreszcie filozofowie, rozszerzając jeszcze więcej zakres naszego poznania, mniemają, że pojęcie rzeczy w sobie („die Dinge an sich“) może odnosić się równie do pojęć prawideł arytmetyki jak i geometrii.

Jako jedną ze wspomnianych powyżej kategorii umysłu naszego t. j. jako jeden ze sposobów, w jaki pojmujemy łączność pewnych szeregów zjawisk, — wymienia Kant przyczynowość. Chcąc przedstawić zapatrywanie się Mill'a na pojęcie przyczynowości, należałoby najpierw zapytać jakie jest zdaniem jego pochodzenie tego pojęcia. Czy Mill opiera pojęcie przyczynowości na apryorycznej właściwości ducha naszego, właściwości pojmowania pewnych następujących po sobie zjawisk jako szeregu przyczyn i skutków; czy też mniema, że uczyni się dopiero pojmować pewne szeregi zjawisk jako przyczyny i skutki, na podstawie pewnych, cechujących te zjawiska właściwości, t. j. czy Mill uważa pojęcie przyczynowości za fakt apryoryczny czy aposteroryczny?

Dalej należałoby poznać stanowisko, z którego Mill zapatruje się na doniosłość i przedmiotowe znaczenie pojęcia przyczynowości? Czy, zdaniem jego, odpowiada temu uczłunkowaniu zjawisk przyczyn i skutków, taki sam podział szeregu zmian, z jakich się składa świat zewnętrzny? czy rzeczywiście zjawiska, zwane przyczynami wytwarzają te, które zwiemy ich skutkami, tak, że gdyby nie było pierwszych, nie byłoby drugich? czy dalej istotnie to właśnie jest przyczyną i to skutkiem, co my za nie uważamy, czy nareszcie, rzeczywiście tam się kończy przyczyna i tam się zaczyna skutek, gdzie my tę granicę tylko przeciwnymi nazwami oznaczamy? Czy granica ta da się w ogóle ściśle oznaczyć, czy mamy tu przed sobą ciągły (stätig), czy też rozerwany (discret) szereg zmian? Słowem: należałoby tu zastanowić się wszechstronnie nad tak zwaną podmiotowością i przedmiotowością pojęcia przyczynowości.

Odpowiedź na te pytania jest o tyle utrudniona, że Mill kwestyi powyższych w ten sposób nie stawia. Co gorsza: Mill miesza ze sobą

pojęcia: *a*) Przyczynowości (causality, causation), *b*) Przyczyny, (cause), *c*) Prawa przyczynowości (law of causation, law of causality), *d*) Prawa ogólnej przyczynowości (law of universal causation) i *e*) Jednostajności biegu przyrody (uniformity of the course of nature).

Dla zorientowania się wśród tych pojęć, spróbuj je określić stosownie do sposobu jak je pojmują i stosownie do utartego znaczenia słów, któremi są oznaczone.

*a*) Przyczynowością nazywamy stosunek, w jakim zostaje to co uważamy za przyczynę tego, co nazywamy skutkiem tej przyczyny.

*b*) Przyczyną, nazywamy każde zjawisko: (może niem być wrażenie, uczucie, myśl, jakikolwiek przedmiot, zmiana lub czynność tego przedmiotu) które wywołało, spowodowało, wytworzyło, czy też dało początek innemu następującemu po niem zjawisku (którem może znów być wrażenie, uczucie, myśl, jakikolwiek przedmiot, zmiana lub czynność tego przedmiotu), które zowiemy skutkiem.

*c*) Stosownie do powyższych określeń nazwałbym Prawem przyczynowości, stały porządek, wedle którego objawia się ów stosunek przyczyn do ich skutków.

*d*) Prawem zaś Ogólnej przyczynowości, nazwałbym prawo, oznaczające stały porządek, wedle którego objawiają się stosunki wszelkiego rodzaju przyczyn do ich skutków.

Określenie takie prawa ogólnej przyczynowości, zawierałoby przeciwstawienie jego do praw poszczególnych przyczynowości, wedle których działają znane nam przyczyny z dziedziny psychologii, chemii, meteorologii, ekonomii społecznej, mechaniki i. t. d. Można by atoli przez „Prawo ogólnej przyczynowości“ rozumieć także prawo przyczynowości, która wszystko ogarnia, która wszystkiemu się tyczy, która wszystkiemu rządzi.

*e*) Pozostaje nam jeszcze do określenia pojęcie „Jednostajności biegu przyrody“, najbardziej może chwiejne i niepochwytne. Sam Mill bowiem powiada, że zdanie: „bieg przyrody jest jednostajny“, posiada raczej krótkość wyrażenia, zastosowaną do potocznego sposobu anizeli ścisłość, wymaganą w filozoficznym języku <sup>1)</sup>. Pogląd ten wymaga też tém ściślejszego pojęcia słów, przez które go Mill oznacza. Stosownie więc do tych słów, sądzę, że należy przez „Jednostajność biegu przyrody“ rozumieć stałe, nieodmienne powtarzanie się szeregów zjawisk, z których się składa ów „bieg przyrody“. Nasuwa się teraz nieuniknione pytanie, czy należy tu rozumieć stałe i nieodmienne powtarzanie się wszystkich w ogóle szeregów zjawisk, z których się składa bieg przyrody? Zgodnie z codziennym doświadczeniem, powiada Mill, że „bieg przyrody jest w rzeczywistości nie tylko

<sup>1)</sup> B. III, Chap. III; § 1, str. 359.

jednostajny; ale także nieskończenie zmienny“<sup>1)</sup> należy rozumieć przez jednostajność biegu przyrody, stałe i nieodmienne powtarzanie się tylko pewnych szeregów zjawisk, z których się ów bieg przyrody składa. Niczego więcj powyższe słowa nie wyrażają.

Nie utrzymuję wcale, żeby powyższe określenie pojęć, o których tu mowa, było najlepsze, a tém mniej jedynie możliwe; podałem je tylko dla tego, aby uprzytomnić te różnice, które między niemi zachodzą, a których zatarcie jest główną podstawą wykretnych i bałamutnych rozumowań Milla. I tak: nie odróżnia Mill zupełnie pojęć przyczynowości i przyczyn od pojęcia prawa przyczynowości; prawo zaś przyczynowości, które nazywa także prawem ogólnej przyczynowości, utożsamia tymczasem z jednostajnością biegu przyrody. Całe rozumowanie jego jest skierowane ku temu, ażeby wykazać, że dochodzimy do poznania prawa przyczynowości, czyli prawa ogólnej przyczynowości, czyli do poznania jednostajności biegu przyrody, przez indukcją; co mu znowu nie przeszkadza opierać indukcji na jednostajności biegu przyrody<sup>2)</sup>. Taki zaś sposób opierania indukcji na prawie przyczynowości, prawa zaś przyczynowości na indukcji, uważa jako „paradoks tylko podług dawniej teorii wnioskowania“<sup>3)</sup>, którą sam zastępuje przez inną, własną teorią. Dołączywszy do tego wszystkiego niedokładność i chwiejność w określaniu pojęć, liczne sprzeczności w wypowiedziach zdaniach, śmiało a bezpodstawnie rzucane twierdzenia, a będziemy mieli najogólniejszy obraz jego zapatrywań na pojęcie przyczynowości i na znaczenie tego pojęcia w teorii poznania w ogóle, a w teorii indukcji i w teorii wnioskowania w szczególności.

Ten ogólny rys zarzutów niechaj będzie nicią Aryadny, która powinna wyprowadzić nas z labiryntu wywodów Milla. Zarys ten jednak jest zarazem ciężkiem oskarżeniem, które usprawiedliwić i uzasadnić będzie rzeczą szczegółowego rozbioru.

Rozbiór pojęcia przyczynowości jest u Milla częścią teorii indukcji, której zakres Mill bardzo rozszerzył. Przedewszystkiém przeto zdajmy sobie sprawę z tego, co Mill przez „indukcję“ rozumie.

Na wstępie Ks. III „O indukcji“, określa Mill indukcją jako postępowanie, wykrywające i udowodniające sądy ogólne“<sup>4)</sup>. Dalej zaś powiada że „nie popełnimy błędu, jeżeli, rozprawiając o indukcji, ograniczymy naszą uwagę do stwierdzenia sądów ogólnych. Zasady i prawidła indukcji, skierowanej ku temu celowi, są zarazem zasadami i prawidłami indukcji...“<sup>5)</sup> w ogóle. Wreszcie uczy: „Induk-

1) B. III, Chap. III, § 2, str. 359.

2) „... the proposition that the course of nature is uniform, is the fundamental principle, or general axiom of Induction“. B. III. Chap. III § 1, str. 355.

3) B. III, Chap. XXI, § 4, str. 105.

4) B. III, Chap. 1, § 2, str. 328.

5) Tamże, str. 332.



cya jest działaniem umysłu, za pomocą którego wnosimy, że to, cośmy poznali jako prawdziwe w jednym lub kilku poszczególnych wypadkach, będzie prawdziwe we wszystkich wypadkach, podobnych do poprzednich pod pewnemi oznaczonymi względami. Czyli innemi słowami: indukcya jest postępowaniem, za pomocą którego wnosimy, że co jest prawdziwe o pewnych osobnikach, należących do jakiegoś działu, jest prawdziwe o całym dziale; albo: że co jest prawdziwe w pewnym czasie, będzie prawdziwe w podobnych okolicznościach po wszystkie czasy... Indukcya jest, jak wyżej określono, postępowaniem wnioskowania; przechodzi od tego, co znane do tego, co nieznanie; a każde działanie, nie zawierające wniosku, każde postępowanie, w którym to, co zdaje się być wnioskiem, nie jest obszerniejsze od premisów, z których wynika, nie jest objęte znaczeniem tego wyrazu<sup>1)</sup>. Mill nie uważa zatem sądu ogólnego, odnoszącego się do pewnej liczby znanych wypadków za rezultat i za owoc indukcji. Jeżeli np. powiada dalej, przekonamy się o każdym planecie z osobna, że jaśnieje tylko światłem otrzymanem od słońca, albo jeżeli się przekonamy o każdym z apostołów z osobna, o Piotrze, Pawle, Janie i t. d. że był żydem i wypowiemy następnie ogólne sądy: wszystkie planety jaśnieją światłem od słońca otrzymanem, wszyscy apostołowie byli żydami, nie będą te sądy, stosownie do powyższych określeń wynikami indukcji, ponieważ nie wywnioskowaliśmy nic nowego, powtórzyliśmy tylko w skróceniu to, cośmy już przedtém wiedzieli. Podobnie, jeżeli przekonawszy się o każdym gatunku zwierząt z osobna że ma układ nerwowy, wypowiemy następnie sąd: wszystkie zwierzęta mają układ nerwowy, to sąd ten, jakkolwiek wydaje się być uogólnieniem, także jeszcze nie będzie i n d u k c y ą, jeżeli obejmujemy w nim tylko wszystkie znane zwierzęta; jeżeli jednak w sądzie tym objąć możemy wszystkie, chociażby jeszcze nieznanne gatunki zwierząt, na podstawie prawa poprzedzającymi spostrzeżeniami wykrytego, dotyczącego budowy ustrojów zwierzęcych, wtedy wypowiedzieliśmy sąd prawdziwie ogólny, sąd zawierający więcej aniżeli wszystkie poszczególne sądy razem wzięte, przeprowadziliśmy indukcyą, odpowiadającą powyższym określeniom. Uogólnień, opartych na dowodach matematycznych, które przeprowadzamy przy pomocy pewnych poszczególnych figur i rozciągamy następnie na wszystkie figury tego rodzaju, także nie uważa Mill za wyniki indukcji: I tak np. udowodniwszy, że trzy kąty trójkąta  $A, B, C$ , równają się dwu prostym, wnioskujemy, że tyczy się to każdego innego trójkąta, nie dla tego, że to jest prawdziwe o trójkącie  $A, B, C$ ; ale dla tego, że o każdym innym trójkącie da się dowód przeprowadzić na tój samej podstawie. „Jeżelibyśmy postępowanie takie nazwać mieli indukcyą, właściwą jój nazwą byłoby: indukcyja jest dowodzeniem albo raczej poznawaniem przez jednakowość wnioskowania

1) B. III, Chap. II, § 1, str. 333.

2) Tamże, § 2, str. 336.

wania“<sup>1)</sup>. Indukcja taka pozbawioną atoli będzie właściwości, cechującą indukcją; uzyskaną bowiem prawdy, chociaż jest rzeczywiście ogólną, nie przyjmujemy dla tego, żeśmy ją udowodnili w pojedynczych wypadkach; ale dlatego, że opiera się na tychże samych dowodach, na których opierało się przekonanie nasze w poszczególnych wypadkach. „Pozostaje jeszcze trzeci niewłaściwy sposób używania słowa indukcja, który wyjaśnić jest rzeczą ważną, ponieważ on zagnatwał teorią indukcji w niezwykły sposób... Błąd ten polega na tém, że opisanie w ogólnych wyrazach pewnej ilości spostrzeganych zjawisk, bierzemy za opartą na nich indukcją“<sup>1)</sup>. I tak np.: jeżeli żeglarz, płynąc wzdłuż brzegów jakiegoś nieznanego kraju, opłynie go w około, sąd jego, że ów kraj jest wyspą, nie jest oparty na indukcji, nie on tu bowiem nowego nie wynioskował, zebrał w nim tylko w krótszych słowach pewien szereg spostrzeżeń. Podobnie Keppler, obliczywszy pojedyncze punkty drogi Marsa, oznaczywszy miejsca, które planeta Mars z kolei zajmował i przekonawszy się, że leżą one wszystkie w linii eliptycznej, nie przeprowadził indukcji, orzekając, że droga Marsa jest eliptyczna; lecz w tym sądzie zebrał tylko szereg spostrzeżeń, nie w nim jednak nowego nie wypowiedział. Sąd ten Kepplera możnaby o tyle tylko uważać za rezultat, zawierający rzeczywiście indukcyjny wniosek, o ile zawiera zapewnienie, że Mars trzyma się drogi eliptycznej także pomiędzy tymi punktami elipsy, na których go spostrzegano. Zresztą polegało całe postępowanie Kepplera na opisanie i połączeniu pewnego szeregu zjawisk. Właściwa indukcja, powtarza Mill raz jeszcze, polega na wysnuwaniu wniosków ze znanych wypadków o nieznanym; na przydawaniu całemu działowi jakiegoś orzeczenia sprawdzonego w kilku wypadkach, należących do działu, na wnioskowaniu, że ponieważ niektóre rzeczy mają pewną własność, inne podobne do nich mieć będą tę samą własność, albo: ponieważ jakaś rzecz okazała jakąś własność w pewnym czasie, że ją mieć będzie w innych czasach“<sup>2)</sup>. Widzimy więc, że zdaniem Milla, główną cechą i rdzeniem indukcji, wyróżniającym ją od prostego tylko powiązania i nazwania pewnego szeregu zjawisk, jest wykrycie pewnego prawa, oznaczającego dalsze nieznanne wypadki na podstawie znanych. Okazuje się więc, że „w samém oznaczeniu, czém jest indukcja, zawarta jest pewna zasada, zawarte jest przypuszczenie, odnoszące się do biegu przyrody i porządku wszechświata, mianowicie, że istnieją w przyrodzie takie rzeczy, jak równoległe wypadki, że co się raz zdarzy, to przy dostatecznym stopniu podobieństwa okoliczności, zdarzy się nietylko znowu, ale tak często jak często te same okoliczności się powtórzą. Takie to przypuszczenie zawarte jest w każdym wypadku indukcji; i jeżeli zważymy obecny bieg przyrody znajdziemy, że przypuszczenie to jest uzasadnione. Wszechświat, o ile

<sup>1)</sup> B. III, Chap. II, § 3, str. 337.

<sup>2)</sup> Tamże, § 5, str. 350, 351.

nam jest znany, jest tak ustrojony, że cokolwiek jest prawdziwe w jakimś wypadku, jest prawdziwe we wszystkich wypadkach pewnego rodzaju; jedyną trudnością jest wykryć, jakiego rodzaju<sup>1)</sup> są te wypadki?!

O tę to właśnie trudność chodzi; istnieć ona będzie zawsze i dla każdego. Mill sam nie chce lub nie umie ściśle oznaczyć, tej trudności, nie chce lub nie umie wskazać, na czym ona polega, gdzie jej szukać należy. Jego stanowisko ściśle empirystyczne okazuje się tu nie właściwe. Jedynie możliwa odpowiedź jest następująca: wtedy tylko to, co było w jednym wypadku prawdziwe, okaże się prawdziwe „we wszystkich wypadkach pewnego rodzaju,“ jeżeli owe wypadki będą z rodzaju tych, które stoją ze sobą w przyczynowej łączności, łączenie zaś wypadków w stosunki przyczynowe, gdzie uważamy jedne za pochodzące z drugich, jest już właściwością naszego ducha. Zdaniem Mill'a: każde cechujące indukcją wykroczenie poza połączenie i opisanie pewnej ilości zjawisk, każde wykrycie prawa jest już dziełem tej właściwości ducha naszego. Na podstawie tej-to właściwości, szukamy łączności przyczynowej zawsze i wszędzie, gdzie się tylko spotykamy z następstwem zjawisk. Gdzie tedy mniemamy, żeśmy ją znaleźli, tam oczekujemy w razie ponowienia się przyczyny także ponowienia się szeregu skutków; gdzie nam się zdaje, żeśmy tej przyczynowej łączności w jakimś szeregu zjawisk nie wykryli, tam przy ponownym zjawieniu się początkowego ognia wspomnianego szeregu nie spodziewamy się dalszego ich ciągu. Że się często tak w jednych jak i w drugich wypadkach sądy nasze okazują mylne, to rzecz inna, w każdym jednak razie ów rodzaj wypadków, z których jeden wystarcza, ażeby jakąś prawdę do wszystkich mu podobnych rozciągnąć, jest ten rodzaj, w którym sądzimy się być uprawnieni do upatrywania łączności przyczynowej. Mill wie o tem, że wielu filozofów ucieka się tu do wrodzonych skłonności ducha ludzkiego. Sposób ten tłómaczenia zjawisk, który przypisuje głównie „metafizykom ze szkoły Reida i Stewarta“ porzuca jednak z góry jako „najsłabszy,“ uznając tylko, że czy w ten czy w ów sposób się wyrazimy, zawsze jednak pozostać musi „główną zasadą, ogólnym pewnikiem indukcji, twierdzenie, że bieg przyrody jest jednostajny“<sup>2)</sup>. Popełnia tu Mill jawną „ignorationem elenchi“ t. j. pominięcie właściwego celu, ku któremu dowód zmierzać powinien; zamiast bowiem nacechować ów „pewien rodzaj wypadków,“ zwraca tylko uwagę czytelnika na to, czego mu z pewnością nikt nie zaprzeczy,—że podstawą indukcji takiej, jaką on określa jest przypuszczenie jednostajności biegu przyrody czyli ponawiania się pewnego szeregu wypadków. Następnie powiada Mill: że „byłoby to wielkim błędem uważać tak obszerne uogólnienie za wytłómaczenie indukcyjnego postępowania,“ jest ono bowiem samo tylko indukcją i to jedną z tych,

1) B. III, Chap III, § 1, str. 354.

2) Tamże, str. 355.



które najpóźniej „uzyskały filozoficzną ścisłość“<sup>1)</sup>). Wytłómaczenia indukcyjnego postępowania szukać należy, jak to powiedziałem, w przyrodzonej, apryorycznej właściwości ducha, który stara się układać szeregi zjawisk w stosunki przyczynowe, będące rękojmią powtarzania się tych szeregów przy powtórzonych warunkach, który wykrywa prawa coraz to ogólniejsze, a na ich podstawie dochodzi nareszcie—jak Mill słusznie utrzymuje—najpóźniej może, do najogólniejszego twierdzenia że „bieg przyrody jest jednostajny.“ Mill jednak opiera na tej „indukcyi“ wszystkie inne indukcye! To też jakby zdziwiony postępowaniem swych własnych myśli—a raczej ich zuchwałym skokiem—rzuca pytanie, które zresztą każdemu myślącemu czytelnikowi nasunąć się musi: „W jakim więc znaczeniu, możemy uważać zasadę, nie będącą wcale naszą najwcześniejszą indukcyą, za rękojmią wszystkich innych indukcji?“<sup>2)</sup>). *Circulus vitiosus* jest tu zbyt jawny, żeby go jeszcze uwydatniać potrzeba. Zdaniem Milla jednak rozumowanie takie znajduje swe usprawiedliwienie w jego teorii syllogizmu, do której nas odsyła słowami: „jakeśmy to już widzieli“<sup>3)</sup>), którą też później będziemy musieli zbadać; tymczasem zaś starajmy się wniknąć jaknajdokładniej w dalsze jego zdania.

„Twierdzenie, że jednostajność biegu przyrody jest ostatnią najwyższą premisą we wszystkich wypadkach indukcji, potrzebuje—tak możnaby sądzić— pewnych wyjaśnień. Bezpośrednio pierwszą premisą w każdym indukcyjnym dowodzie nie jest ono z pewnością. W tym przedmiocie arcybiskupa Whately uważać trzeba za dokładnego sprawozdawcę. Indukcya: „Jan, Piotr i t. d. są śmiertelni, dla tego cały rodzaj ludzki jest śmiertelny“ może być, jak słusznie powiada, ułożona w syllogizm, przez umieszczenie, jako pierwszej premisy? Twierdzenia (które jest w każdym razie koniecznym warunkiem ważności dowodu), że co jest prawdziwe o Janie, Piotrze i t. d. jest prawdziwe o całym rodzaju ludzkim, ale jak doszliśmy do tej pierwszej premisy? Nie jest ona sama przez się oczywista; we wszystkich zaś wypadkach nieuzasadnionego uogólnienia, nie jest ona nawet prawdziwa; w jakim więc sposób dochodzimy do niej? Koniecznie albo przez indukcyą, albo przez syllogizm<sup>4)</sup>), jeżeli zaś przez indukcyą, postępowaniu temu podobnie jak innym indukcyjnym dowodom, nadać można formę sy-

1) B. III, Chap. III, § 1, str. 355.

2) Tamże, str. 356.

3) Tamże.

4) W oryginale czytamy: „ratiocination,” dosłownie: rozumowanie; ponieważ jednak Mill w księdze II, roz. 1, § 3, str. 185 powiada: „Reasoning, in the extended sense in which I use the term, and in which it is synonymous with Inference, is popularly said to be of two kinds: reasoning from particulars; to generals, and reasoning from generals to particulars; the former being called Induction, the latter Ratiocination or Syllogism“ i ponieważ w języku polskim przeciwieństwo do „Indukcji“ ściślej będzie wyrażone przez „Syllogizm“ jak przez „Rozumowanie“ tém bardziej, że indukcyą jest

logizmu. Ten pierwszy zatem sylogizm, koniecznie ułożyć potrzeba. Ostatecznie jeden tylko układ jest tu możliwy. Rzeczywistym dowodem, że co jest prawdziwe o Janie, Piotrze i t. d. jest prawdziwe o całym rodzaju ludzkim, może być tylko pewność, że odmienne przypuszczenie byłoby niezgodne z jednostajnością, o której wiemy, że istnieje w biegu przyrody. Czy niezgodność taka miałaby miejsce lub nie, może być przedmiotem długiego i ścisłego badania, bez niej jednak nie mielibyśmy podstaw dla pierwszej premisy indukcyjnego sylogizmu. Stąd okazuje się, że jeżeli ułożymy cały przebieg jakiegokolwiek indukcyjnego dowodu w szereg sylogizmów, to dojdziemy, — przebywszy więcej lub mniej stopni—do ostatniego sylogizmu, który mieć będzie, jako pierwszą premisę, zasadę czyli pewnik o jednostajności biegu przyrody“<sup>1)</sup>. Wyjaśniwszy o ile i w jaki sposób pewnik ten uważa Mill za podstawę wszelkiej indukcji, zapowiada dalej, że uzasadni go w „późniejszym okresie swego rozbioru“<sup>2)</sup>. Na razie zaś uważa za rzecz ważniejszą dokładne wyjaśnienie treści tego pewnika: **pierwój należy bowiem zrozumieć jego znaczenie, zanim się uzna, że jest prawdziwy.** „Własna świadomość—powiada Mill—upewnia każdego, że nie zawsze spodziewa się jednostajności w toku wypadków, że nie zawsze przypuszcza, ażeby to, co nieznanie, podobnym było do tego, co znane, a to co przyszłe, do tego co przeszłe. Nikt nie przypuszcza, ażeby następstwo deszczu i pogody było takie samo w każdym następnym roku co w bieżącym. Nikt się nie spodziewa co nocy tych samych snów. Przeciwnie każdy wspomina jako o czémś nadzwyczajnym, jeżeli w powyższych szczegółach bieg przyrody okaże się stałym i podobnym do siebie. Oczekiwanie jednostajności tam, gdzie się jej spodziewać nie należy, jak naprzykład że dzień, który nam raz przyniósł szczęście będzie zawsze szczęśliwy, uważamy słusznie za zabobon. W rzeczywistości jest bieg przyrody nie tylko jednostajny, ale jest on także nieskończenie rozmaity“<sup>3)</sup>. Pewne zjawiska—powiada Mill dalej—występują stale pod temi samemi okolicznościami, inne wśród okoliczności coraz odmiennych, inne znowu, które uważaliśmy za nierozdzielne, widzimy połączone zupełnie inaczej aniżeli dotychczas bywało. W niedawnych jeszcze czasach mógł mieszkaniec środkowej Afryki uważać twierdzenie, że wszyscy ludzie są czarni, za usprawiedliwione przez ogólne doświadczenie, podobnie jak Europejczycy uważać mogli zdanie, że wszystkie łabędzie są białe za przykład jednostajności w biegu przyrody, oparty także na ogólnym

także rodzajem rozumowania, użyłem w mojem tłumaczeniu, słowa: „Sylogizm“ nie zaś słowa: „Rozumowanie.“

1) B. III, Chap. III, § 1, str. 357, 358.

2) Uzasadnienie to podaje Mill rzeczywiście w téjże samej trzeciej księdze „O Indukciji“, w rozdziale XXI. „O dowodzie prawa ogólnej przyczynowości.“ Rozdział ten uważać też należy za zebranie ostatecznych dowodów, jakich Mill w tym względzie dostarczył może.

3) B. III, Chap. III, § 2, str. 359.

doświadczeniu. Każdy z tych sądów nazwałby Bacon bardzo trafnie „inductio per enumerationem simplicem, ubi non reperitur instantia contradictoria.“ Wiemy jednak, że doświadczenia kłam zadające tym sądom pojawiły się. „Zgodne więc co do pewnego objawu doświadczenie mieszkańców całego znanego nam świata, bez żadnego wiadomego przykładu nie zgadzającego się z tém doświadczeniem, nie zawsze wystarcza, aby upewnić ogólne twierdzenie“ <sup>1)</sup>. Przez trzy tysiące lat nie widziała ludzkość innych łabędzi prócz białych, a jednak istniały czarne; czyż nie możnaby przypuszczać, że kiedyś ujrzymy ludzi, którym głowa poniżej ramion wyrasta, kiedy przecież istnienie ich poświadcza Pliniusz, badacz przyrody? Dlaczego tak stanowczo wykluczamy tu możliwość takiego wypadku? Dlaczego nie wąpimy podobnie, że nawet w przestworach, w których są rozmieszczone gwiazdy stałe, pozostanie prawdziwém twierdzenie, że linia prosta jest najkrótszą odległością pomiędzy dwoma punktami. Skąd pochodzi, że jeżeli chemik ogłosi istnienie i przymioty jakiegoś nowego ciała a znamy zwykłą ścisłość jego badań, przekonani jesteśmy, że wniośki, do których doszedł ogólnie się „utrzymają,“ pomimo, że indukcya jego opiera się na niewielu doświadczeniach? Dlaczego wreszcie znowu odmiennie zachowalibyśmy się w obec zapewnień wiarogodnego świadka, że w jakimś kraju, mało dotąd zbadanym, odkrył popielate króki, pomimo, że od początku świata nie znano innych tylko czarne. „Dlaczego w niektórych wypadkach wystarcza jeden tylko przykład do zupełnej indukcji, podczas kiedy w innych tysiące zgodnych przykładów, bez żadnego znanego albo tylko domniemanego wyjątku tak mało zbliżają nas do uzasadnienia ogólnego sądu? Ktoby mógł odpowiedzieć na to pytanie, ten znałby lepiej filozofiją logiki aniżeli najmędrzy ze starożytnych,—ten rozwiązałby główne pytanie indukcji“ <sup>2)</sup>.

Odpowiedź na to pytanie mam gotową: oto w tych wypadkach wystarcza choćby jeden tylko przykład, ażeby przeprowadzić zupełną indukcją, jak ją Mill nazywa, gdzie zdołaliśmy wykryć przyczynową łączność pewnego zjawiska z innemi, z których ono pochodzi. Dając jednak taką odpowiedź, zaprzeczyłby Mill całości swoich zapatrywań: jest téż o tyle ogłędny, że nawet przykłady, które go zniewalać mają do postawienia odnośnego pytania, doбира w sposób utrudniający jego rozwiązanie. I tak: najpierw należałoby usunąć z rzędu tych przykładów ten, że przekonani jesteśmy o bezwarunkowej prawdziwości pewników geometrycznych np. owego twierdzenia, dotyczącego linii prostej; wykazałem już bowiem, że pewności naszej w tej mierze nie opieramy na doświadczeniu.

Przykład, w którym się Mill powołuje na odkrycie jakiegoś chemika jest z dwu powodów źle dobrany. Oto najpierw wszelkie odkrycia nowych ciał, ich własności, tudzież „wniośki, do których się do-

<sup>1)</sup> B. III, Chap. III, § 3, str. 362.

<sup>2)</sup> Tamże, str. 363.



chodzi“ na tój podstawie, są bardzo chwiejne właśnie dlatego, że jak dotąd niedostatecznie jeszcze zbadano przyczynową łączność zjawisk chemicznych. O mechanice atomów, która ma nam podać rzeczywisty klucz do zrozumienia wszystkich przebiegów chemicznych, krążą dotąd w świecie uczonych tylko domysły. Pokąd zresztą otwarte jest jeszcze pytanie co do ilości pierwiastków, pod żadnym warunkiem twierdzić nie należy, że wnioski, do których dochodzi jakiś chemik, po odkryciu jakiego nowego ciała „ogólnie się utrzymają.“

Drugim powodem, dla którego sądzę, że Mill nieodpowiednio obrął ten przykład, jest ta okoliczność, że mówi o naukowych doświadczeniach, a więc właśnie o takich, które wniknięcie w przyczynową łączność badanego zjawiska wszelkimi sposobami starają sobie zapewnić i których przeto zazwyczaj mała ilość wystarcza, ażeby wykryć pewne prawol. Wiemy przecie, jak wielka jest różnica zdań, co do korzyści dla nauki, gdy porównamy ze sobą choćby najliczniejsze spostrzeżenia, czynione przy zdarzającej się sposobności przez przypadkowych świadków, ze spostrzeżeniem, gdyby nawet jednym tylko, przeprowadzonym umyślnie, w pewnym celu, przez badacza rzecz znającego. Porównajmy np. wartość opowiadań mnóstwa podróżnych i kupców o jakiejś chorobie np. dżumie syberyjskiej, z wartością sprawozdania choćby o kilku tylko jej wypadkach przez lekarza. Porównanie moje jest jednak jeszcze za słabe. Mill mówi o doświadczeniach chemika, a więc o doświadczeniach dowolnie przedsiębranych, możnaby więc je chyba porównać z doświadczeniami lekarza, czynionemi z chorobą, wywołaną umyślnie w celu przeprowadzenia próby. O ileż więcej w takim wypadku, który odpowiada przykładowi Milla, składają się wszystkie warunki na to, ażeby wykryć przyczynową łączność badanego zjawiska. O cóż innego chodzi badaczom, porównyującym tysiące wypadków np. jakiejś choroby, jeżeli nie o wykrycie przyczynowej łączności, w jakiej ona pozostaje z poprzedzającemi ją i towarzyszącemi jej zjawiskami? Jeżeli ktoś choćby w jednym wypadku wykrył tę przyczynową łączność, wykrył już prawo, postawił krok, sięgający poza stwierdzenie prostego współistnienia choroby z pewnemi zjawiskami, wyszedł poza indukcyą per enumerationem simplicem, przeprowadził indukcyą taką, jaką Mill nazywa zupełną. Takięj odpowiedzi jednak Mill dać nie chce, a nawet nie może pod karą niekonsekwencyi. Jeżeli nie wierzymy tysiącom lekarzy wiejskich, podającym na długoletniem doświadczeniu oparte środki przeciw zapaleniu śledziony u bydła, a wierzymy w środek jednego Pasteura, to dlatego tylko, że Pasteur wykrył przyczynową łączność tój choroby z wywołującymi ją czynnikami. Pasteura zaś przekonać mogło choćby jedno tylko doświadczenie, jeżeli w niem wystąpiła jawnie przyczynowa łączność, której szukał. Jeżeli nie wierzymy Pliniuszowi, który prawi o ludziach z głową poniżej ramion wyrastającą, to

przedewszystki $\acute{e}$ m dlatego, że wiemy jakiby zmiana taka zewnętrzna musiała wywołać ogromny przewrót w całym wewnętrznym ustroju, ażeby w takich ludziach oddychanie, odżywianie się, krążenie krwi, tudzież inne sprawy życiowe odbywać się mogły. Dlatego to lekarze, słysząc rozmaite opowiadania o niezwykłych chorobach i niezwykleszych jeszcze uzdrowieniach, są bez porównania mniej łatwowierni od laików, którzy nie znają koniecznych, na przyczynowej łączności opartych warunków tak chorób jak i uzdrowień. Jeżeliby nam zaś łatwo przyszło uwierzyć wiarogodnemu świadkowi, że widział popielatego kruka, to znowu przedewszystki $\acute{e}$ m dlatego, że nie znając przyczynowej łączności pomiędzy barwą tego ptaka a resztą właściwości jego ustroju i sposobu, w jakiby się ten jego ustrój zachował wśród odmiennych warunków życiowych, nie wiemy, czy kruk zawsze i wszędzie musi być czarny, wiemy tylko, że go dotąd zawsze czarnym widywano. Upewnia nas w t $\acute{e}$ j mierze tylko „Inductio per enumerationem simplicem ubi non reperitur instantia contradictoria.“ Przykład Milla jest zresztą o tyle z $\acute{r}$ ecznie, nie powiem ju $\acute{z}$  podstępnie i obałamucająco dobrany, że znamy pokrewne krukowi gatunki ptaków, jak wrona i kawka, które mają część pierza czarnego, część popielatego; o tyle więc łatw $\acute{e}$ j przyjmuje czytelnik podany przykład, nie wglądając głębiej.

Ażeby poprzeć moje zapatrywanie, wskażę tu jeszcze na jeden przykład, mianowicie na zjawiska meteorologiczne, o których Mill tak $\acute{z}$ e wspomiał. Badając najrozmaitsze następstwa deszczów i pogody, wiatrów i ciszy, mrozów i odwilży, c $\acute{o}$ ż innego mo $\acute{z}$ e nas wyprowadzić poza indukcyą per enumerationem simplicem i doprowadzić do poznania pewnych praw, jeżeli nie wykrywanie łączności przyczynowej, jaka istnieje między temi zjawiskami, tak względn $\acute{e}$  do siebie jak i do innych. Mill sam uznaje milcząco, że na wykrywaniu przyczynowej łączności polegają g $\acute{ł}$ ównie badania przyrodnicze, kiedy zaraz w następującym rozdziale <sup>1)</sup> mówi o wyprawadzan $\acute{e}$  u pewnych zjawisk z praw wywołujących je; i tak np. utrzymuje, że rezultat czyli owoc znanego doświadczenia Torricellego mo $\acute{z}$ na by $\acute{o}$  wywnioskować, znając wagę i prawo ciśnienia powietrza, tudzież wagę żywego srebra i prawo objawiającego się ciśnienia w płynach. Unika jednak wyrazów przyczyna albo t $\acute{e}$ ż łączność przyczynowa, zastępując je wyrazami „prawo,“ „jednostajność,“ „wynikać“ i „wyprowadzać.“ A nareszcie jeżeli Mill wspomiał, że słusznie nazywamy zabobonem spodziewanie się szczęścia w dniu, który ju $\acute{z}$  raz był dla nas szczęśliwy, to sam ten zabobon, sama ta wiara w dni szczęśliwe, mogące się stać przyczyną powodzenia lub niepowodzenia spraw w nich przedsiębranych, czy $\acute{z}$  nie świadczy silnie o wrodzonej nam skłonności szukania pomiędzy zjawiskami łączności przyczynowej, szukania j $\acute{e}$ y częstokroć tam nawet, gdzie j $\acute{e}$ y nie ma. Ta wrodzona apryoryczna

<sup>1)</sup> IV-ym „O prawach przyrody“.

skłonność ducha ludzkiego nie jest wprawdzie jakimś niechybnym sposobem znalezienia prawdy, jest ona jednak bodźcem i niezbędnym kierownikiem w badaniach. Nimfy, dryady, gnomy, sylfy i t. p., utwory wyobraźni najrozmaitszych ludów, świadczą o dziecięcej pracy ducha ludzkiego, poruszonego i kierowanego tą wrodzoną, cechującą go dążnością szukania przyczyn, wywołujących każde zjawisko.

Następnie przedstawia Mill, jak przez zestawianie poszczególnych jednostajności, wykrywanych w biegu przyrody, dochodzimy do coraz ogólniejszych, do tak zwanych praw przyrody. „Słowo prawa przyrody—powiada Mill—oznacza jednostajności, istniejące pomiędzy zjawiskami przyrody, jednostajności, sprowadzone do ich najprostszego wyrazu“ <sup>1)</sup>. Posługujemy się w tej mierze wyłącznie doświadczeniem, które nas poucza, że niektóre jednostajności są stałsze od drugich; na tych stałszych opieramy się przedewszystkiem; „nie mając jednak żadnego dalszego probierza, któremu poddilibyśmy doświadczenie, czynimy je swoim własnym probierzem“ <sup>2)</sup>. Z tego błędnego koła Mill wyjść nie może, powiedziawszy raz bowiem, że nie ma pewników niezależnych i wyższych od wszelkiego doświadczenia, pewników, nakazujących umysłowi naszemu z nieprzepartą siłą uznanie ich bezwarunkowej prawdziwości, powiedziawszy, że pewniki matematyczne i logiczne są same tylko wynikami doświadczenia, od rodzaju naszych doświadczeń zależnymi, nie może już powiedzieć, że najwyższym i najniezawodniejszym probierzem wszystkich naszych doświadczeń, miarą ich wartości i wiarygodności jest logiczne rozumowanie i rachunek, będący dalszym jego rozwinięciem. Nie może już nawet przyjąć z Kirchmannem dwu najwyższych zasad realizmu: „1) to co spostrzegamy istnieje; 2) sprzeczność istnieć nie może.“ Warunkiem bowiem, pod którym Kirchmann uważa je za wystarczające i niewątpliwe, jest podporządkowanie pierwszej zasady drugiej, w razie ich niezgodności. Logiczne więc myślenie, z zasadą sprzeczności na czele jest u Kirchmanna ostatecznym probierzem wszelkich spostrzeżeń <sup>3)</sup>. Mill zaś stara się wyprowadzić i oprzeć zasadę sprzeczności na przeciwieństwie pewnych wrażeń. Mimo to jednak czuje widocznie potrzebę pewniejszych podstaw dla wiedzy ludzkiej, a więc i dla swojej teorii indukcji. Powiada więc, że gdybyśmy, badając rozmaite jednostajności, jakie spotykamy w przyrodzie, znaleźli takie pośród nich, „które możnaby uważać za bezwzględnie pewne i ogólne, o ile pewności wymagają ludzkie cele“ <sup>4)</sup>; moglibyśmy, opierając nasze indukcje na takich jednostajnościach, nadać im nie mniejszą pewność. Prawa matematyki t. j. prawa przestrzeni i liczb posiada-

<sup>1)</sup> B. III, Chap. IV, § 1, str. 367.

<sup>2)</sup> Tamże § 2, str. 369.

<sup>3)</sup> Kirchmann: Lehre vom Wissen., str. 68.

<sup>4)</sup> B. III, Chap. IV, § 3, str. 372.



ją wprowadzić żadaną pewność; doprowadzić nas one jednak tylko mogą znowu do poznania innych dalszych praw przestrzeni i liczby. „Że tę ścisłą pewność i ogólność, której szukamy posiadają prawa przestrzeni i liczb, wystarczyć nam to nie może, pierwsze bowiem są tylko prawami współczesnych zjawisk, drugie zaś jakkolwiek prawdziwe o następujących po sobie zjawiskach, nie odnoszą się jednak do samego ich następstwa; musimy więc starać się znaleźć takie prawo następstwa, które, mając te same przymioty, mogłoby się stać nietylko podstawą przebiegów, wykrywających wszystkie inne następstwa jednostajności, ale także probierzem one sprawdzającym. To zasadnicze prawo musi być podobne do praw geometrii w tej ich najznakomitszej właściwości, że nie były nigdy w żadnym wypadku złamane, ani też usunięte jakąkolwiek zmianą okoliczności“<sup>1)</sup>. „Prawem tém jest prawo przyczynowości. Prawda, że każde zdarzenie, które ma początek ma także i przyczynę, sięga równie daleko jak ludzkie doświadczenie. Uogólnienie to może się wydać niektórym umysłem niezbyt ważnym; ostatecznie bowiem orzeka ono tylko tyle: „jest prawo, że każde zdarzenie zależy od jakiegoś prawa,“ „jest prawo, że istnieje prawo dla każdej rzeczy.“ Nie powinniśmy jednak ztąd wnosić, że ogólność tej zasady jest tylko słowna; przekonamy się przy bliższym rozpatrzeniu, że nie jest to nieokreślone i nic nie mówiące twierdzenie, ale że jest to bardzo ważna i rzeczywiście zasadnicza prawda“<sup>2)</sup>. „Ponieważ pojęcie przyczyny jest podstawą całej teorii indukcji, należy je koniecznie na samym początku naszego badania z największą możliwą ścisłością ustalić i określić. Gdyby rzeczywiście potrzeba było dla celów indukcyjnej logiki, ażeby załatwiono spór, który tak długo srożył się pomiędzy rozmaitemi szkołami metafizyków o pochodzenie i rozbiór naszego pojęcia przyczynowości, możnaby na długo zwątpić o możliwości ogłoszenia, a przynajmniej ogólnego zestawienia prawdziwej teorii indukcji. Upprzedzam więc, że jeżeli w ciągu tego badania mówić będę o przyczynie jakiegoś zjawiska, nie będę przez to słowo rozumieć przyczyny takiej, która nie jest sama zjawiskiem; nie poszukuję bowiem ostatecznej czyli ontologicznej przyczyny jakiegokolwiek rzeczy. Przyjąwszy rozróżnienie zwykłe pismom szkockich metafizyków, a mianowicie Reida, powiem, że przyczyny, któremi się zajmuję nie są przyczynami tworzącymi, ale tylko przyrodniczymi“<sup>3)</sup>.

W ustępie tym usuwa Mill dziwnie wykrętnym i płytkim zwrotem całą kwestyą apryoryczności przyczynowości, t. j. kwestyą udziału wrodzonych właściwości naszego ducha w wytwarzaniu pojęcia przyczynowości. Powiada bowiem, że gdyby postawienie prawdziwej teorii indukcji zależało od załatwienia długotrwałych spo-

1) B. III, Chap. V, § 1, str. 375.

2) Tamże str. 376.

3) Tamże § 2, str. 376.

rów pomiędzy najrozmaitszemi szkołami metafizyków o „pochodzeniu naszego pojęcia przyczynowości,“ możnaby na długi czas zwątpić o przeprowadzeniu tego zadania. „Umiejętność jednak badania prawdy za pomocą oczywistości jest szczęściem niezawisła od rozlicznych sporów, niepokojących filozofią co do pojęcia ostatecznego ustroju ducha ludzkiego, nie jest też w potrzebie posuwania rozbioru zjawisk duchowych, do téj ostatecznej granicy, którą jedynie zaspokoić może metafizyka“ (?!). Jest to jeden z najpotworniejszych ustępów „Logiki!“ A więc „nauka o badaniu prawdy“ nie potrzebuje rozpoznawać właściwości ducha ludzkiego! Wzdrygnie się na to, sądzą, każdy filozof, począwszy od Arystotelesa, który powiedział: „*ἡ δὲ πρώτη φιλοσοφία ἡ νοήσις τῆς νοήσεώς ἐστιν*“ skończywszy na Locke'im, Hume'm i Kancie, którzy rozbiór właściwości ducha ludzkiego uczynili podstawą swojej filozofii. Żąda więc Mill badania prawdy „za pomocą oczywistości,“ bez rozpatrzenia się we właściwościach umysłu, który przecież te dowody ocenia, który urabia same pojęcia prawdy i dowodu. Ułatwia sobie Mill wypowiedzenie tego tak potwornego twierdzenia wprowadzeniem, wyrazów metafizyk i szkoła metafizyków, w jego Logice pogardliwe znaczenie mających, podsuwaniem myśli, że sporom w tym przedmowie nie ma końca i że tych rozbiórów nie potrzeba posuwać do ostatecznej granicy, gdyż to jedynie zaspokoić może metafizyka.

Jeszcze słów kilka poświęcić muszę temu ustępowi. Chcę mianowicie wykazać, że nie był on pobieżnie i bez dojrzałej rozważki wypowiedziany. Przeciwnie, zdaje się, że ustęp ten niepokoił Milla i ulegał rozmaitym przemianom. W powyższych słowach jest on wypowiedziany w wydaniu 10-ém Logiki, w wydaniu zaś 8-ém, które mam niestety tylko w tłumaczeniu Schiela, mówi Mill w tém miejscu że „umiejętność indukcyjnego badania prawdy, nie potrzebuje zapożyczać się u nauki o właściwościach, czyli o ustroju ducha ludzkiego tylko w takie przesłanki, które ostatecznie chociaż często po długich dopiero sporach wcielono we wszystkie systemy filozofii ducha“<sup>1)</sup>. Słowa te wyrażają już myśl znacznie zmienioną, mimo to jednak dalszy tok rozumowań Milla nie ulega żadnej zmianie, ulegać jej też nie potrzebuje w obec téj okoliczności, że ani w 8-ém, ani w 10-ém wydaniu nie ma już żadnej wzmianki o tych przesłankach, wziętych z nauki o właściwościach ducha ludzkiego. Postępuje więc Mill najściślej w myśl brzmienia ustępu tego w wydaniu dziesiątém, gdzie uznał umiejętność badania prawdy niezawisłą od nauki o właściwościach ducha ludzkiego. Żałuję bardzo, że nie mam innych wydań Logiki, zestawienie bowiem wszystkich przemian tego ustępu mogłoby być bardzo ciekawe i pouczające.

Uznawszy w ten sposób poznanie właściwości ducha naszego za

<sup>1)</sup> Tłóm. Schiela, tom I, str. 406.

rzecz niepotrzebną w „umiejętności badania prawdy za pomocą oczywistości“ oświadcza Mill, że jeżeli w dalszym ciągu swęj pracy mówić będzie o przyczynie jakiegoś zjawiska, rozumieć będzie wyłączenie tylko przyrodnicze przyczyny (physical causes). Czy istnieją jakieś inne „tworzące przyczyny“ (efficient causes), które wyróżniają szkoccy metafizycy, o tém wyrokować nie czuje się być powołanym. Metafizycy ci mniemają, że pojęcie przyczyny każe przypuszczać istnienie między przyczyną a skutkiem jakiegoś „tajemniczego, potężnego łącznika,“ jaki przecież wcale „istnieć nie może, a przynajmniej nie istnieje“ pomiędzy jednym przyrodniczym objawem a drugim, który po nim nieodmiennie następuje. Wnioskują oni ztąd — powiada Mill dalej—mniemaną potrzebę dochodzenia aż do istoty i wewnętrznych właściwości rzeczy, ażeby „znaleźć prawdziwą przyczynę, przyczynę, po której skutek nie tylko następuje, ale która skutek wytwarza“<sup>1)</sup>. Nie myślę bronić „metafizyków,“ na których tu Mill uderza; w każdym razie jednak sądzę, że w dziele, noszącém tytuł „Logika,“ a będącém co do swęj treści przeważnie teorią poznania, nie należałoby wykluczać pytania, czy dział „przyczyn przyrodniczych“ wyczerpuje wszystkie w ogóle przyczyny; ograniczając się zaś do „przyczyn przyrodniczych,“ należałoby przynajmniej wykazać, że innych nie ma; ograniczenie owych badań do „przyczyn przyrodniczych“ przez wykluczenie kwestyi co do innych przyczyn, byłoby zupełnie właściwe w dziele przyrodniczej treści. W „Logice“ Milla razi tém bardziej, że na początku dzieła bardzo stanowczo, jakkolwiek zbyt może pochopnie podzielił Mill substancye na „duchy“ i „ciała.“ Przypuszczam, że w przekonaniu Milla pytanie, czy są w ogóle inne przyczyny prócz przyrodniczych jest przesądzone. Z dalszych rozdziałów, gdzie pisze o woli ludzkiej, wynika to dość jasno, że nie uznaje innych przyczyn tylko „przyrodnicze.“ W takim jednak razie należało przypomnieć, że zakres „przyrodniczych przyczyn“ jest jak najobszerniej pojęty, że obejmuje równie sposób, w jaki działają „ciała,“ jako téż i sposób, w jaki działają „duchy!“ Jeszcze śmielęj wystąpić muszę przeciw zdaniu Milla, „że nie może istnieć a przynajmniej nie istnieje“ żaden łącznik między nieodmiennie po sobie następującemi zjawiskami przyrodniczemi, które zowiemy przyczyną i skutkiem. Wystąpić muszę przeciw temu zdaniu mianowicie z tego względu, że Mill dowodzi, iż przyczyną nazywać należy nie to zjawisko, po którym inne zawsze dotąd następowało, ale to, po którym inne zawsze następować będzie, to, po którym inne następować musi. „Nieodmiennie następstwo — powtarza Mill z naciskiem — nie jest równoznaczne z przyczynowością, jeżeli następstwo to oprócz tego, że jest nieodmiennie, nie jest także bezwarunkowe“<sup>2)</sup>.

1) B. III, Chap. V, § 2, str. 377.

2) „Invariable sequence... is not synonymous with causation, unless the sequence, besides being invariable, is unconditional.“ (B. III, Chap. V, § 6, str. 392).



Zdawałoby się więc, że tak pojmując stosunek zjawiska, zwanego przyczyną, do zjawiska, zwanego skutkiem, możnaby z pewnym prawem przypuścić przeciw istnieniu jakiegoś łącznika między nimi, mniejsza już o to, czy go nazwiemy czy nie, potężnym i tajemniczym; jeżeliby zaś kogo, podobnie jak zdaje się Milla, raził pewien cokolwiek może mistyczny odcień tych słów, powiedzmy wtedy: łącznik stały i nieznan. Następnie oświadcza Mill, że „jedyne pojęcie przyczyny, jakiego wymaga teoria indukcji jest takie, jakie można uzyskać z doświadczenia“<sup>1)</sup>. Tu możnaby zapytać, czy zdaniem Milla należy rozróżniać rozmaite pojęcia przyczyny: jedno takie „jakie można uzyskać z doświadczenia,“ prócz tego zaś jakieś inne, o którym nie pisze, gdyż pierwsze jest jedyne, „jakiego wymaga teoria indukcji,“ czy też przeciwnie jest ono w ogóle jedyne, jakie istnieje, a przynajmniej jedyne prawdziwe? Żadnych jednak wyjaśnień w tej mierze nie dając, powiada Mill dalej: „Prawo przyczynowości, którego rozpoznanie jest główną podporą indukcji, jest tylko tą znaną prawdą, że—niezawisłe od wszelkich zapytrań na ostateczny sposób powstawania zjawisk i niezawisłe od wszelkich innych pytań, tyjących się natury rzeczy w sobie—wykryto w drodze spostrzeżeń utrzymywanie się nieodmiennego następstwa pomiędzy każdym zdarzeniem w przyrodzie i jakimś innym zdarzeniem, które je poprzedziło“<sup>2)</sup>. W tych niewielu słowach, które Mill wypowiedział, muszę mu znowu zarzucić co najmniej brak ścisłości w wyrażaniu się i sprzeczność z jednym ze zdań jego poprzednio wypowiedzianych. Oto najpierw nie mogliśmy wykryć przez spostrzeganie jednostajności następstwa pomiędzy każdym zdarzeniem w przyrodzie a jakimś innym zdarzeniem, które je poprzedziło, a to z tej prostej przyczyny, że przeciw wszystkim zdarzeń w przyrodzie spostrzeżeniami objąć nie jesteśmy w stanie, częstokroć nawet całe działy, całe rodzaje zdarzeń upływają, nie znalazłszy przez całe wieki a nawet lat tysiące żadnego spostrzegacza. Powinien był zatem Mill co najwięcej powiedzieć, że każde zdarzenie w przyrodzie, jakie tylko zdołaliśmy spostrzedz, nieodmiennie następuje po jakimś innym zdarzeniu. Ale mniejsza o to, nie o grę słów mi tu chodzi, czy w ten lub ów sposób byłby się tu Mill wyraził, byłby zawsze popadł w sprzeczność z przytoczonym powyżej ustępem z § 2, roz. III, ks. 3, w którym powiada, że bieg przyrody nie zawsze jest jednostajny, że jest on także „nieskończenie zmienny,“ że nie zawsze te same zdarzenia następują po sobie w niezmiennym porządku. Przez to daje Mill zarazem przykład powierzchowności swoich wywodów; jeżeli bowiem mówi o takim tylko pojęciu przyczynowości, jakie „jedynie z doświadczenia

<sup>1)</sup> „The only notion of a cause; which the theory of induction requires, is such a notion as can be gained from experience.“ (B. III, Chap. V § 2, str. 377).

<sup>2)</sup> B. III, Chap. V, § 2, str. 377.



uzyskać można,“ w takim razie zdawałoby się przecie, że doświadczenie przedstawić nam nie zdoła tak bezwzględnej nieodmienności następstwa „każdego zdarzenia w przyrodzie“ po jakimś inném, jak jest bezwzględna zgodność praw matematyki ze stosunkami otaczającego nas świata; i jeżelibyśmy pewność naszą równie co do praw matematyki, jak i co do jednostajności następstwa zjawisk czerpać mieli jedynie z doświadczenia, to pewność nasza co do tych obu rodzajów praw, nie byłaby równorzędna, jak to przecie Mill utrzymuje. Wyjątków w obec praw matematyki nie odkrywa nam doświadczenie, jak to Mill słusznie uważa, że zaś nie wszystkie zdarzenia w przyrodzie jednostajnie po sobie następują, uznaje Mill także w § 2, roz. III, ks. 3, jakkolwiek zdaje się temu przeczyć w § 2, roz. V, ks. 3, w ustępie, który oto właśnie rozbieramy.

Ale przecie, powie mi ktoś na to, prawo przyczynowości a prawo jednostajności biegu przyrody, to są dwa zupełnie różne od siebie pojęcia; i jakkolwiek doświadczenie wykazać nam nie może ażeby rzeczywiście „każde zdarzenie w przyrodzie“ stale następowało po jakimś inném, możemy uznać przecie bezwzględność prawa przyczynowości?! W odpowiedzi na taki zarzut przypomnę, że u Milla „prawo przyczynowości“ i „prawo jednostajności biegu przyrody“ spływają w jedno i tożsamo pojęcie. Błędne utożsamianie tych zupełnie różnych pojęć, jakkolwiek zawarte już w tych nawet zdaniach Milla, któreśmy dotąd poznali, występuje w innych ustępach „Logiki“ jeszcze wyraźniej. I tak zaraz o kilka wierszy dalej czytamy: „po pewnych zdarzeniach następują zawsze pewne zdarzenia i, jak jesteśmy przekonani, nadal następować będą. Nieodmiennie poprzedzające zowiemy przyczyną, nieodmiennie następujące skutkiem“<sup>1)</sup>; „przyczynowość jest prawem następstwa zjawisk“<sup>2)</sup>; „jednostajność w następstwie zdarzeń zwana inaczej prawem przyczynowości“<sup>3)</sup> powiada Mill na inném miejscu. Nareszcie zaś oświadcza, że: „przyczynowość nie jest, wedle naszego widzenia rzeczy, zasadniczo różna od następstwa w czasie“<sup>4)</sup>. Zatraciwszy to ważne rozróżnienie między pojęciem „przyczynowości“ a pojęciem „jednostajności biegu przyrody“, postępuje o krok dalej i powiada, już w myśl takiego utożsamiania owych pojęć, że ogólność... prawa przyczynowości polega na tém, że każde następujące zdarzenie jest połączone w ten (nieodmienny) sposób z jakimś poprzedzającym albo z szeregiem poprzedzających zdarzeń“<sup>5)</sup>. Lecz skądże wiemy o téj nieodmienności połączenia każdego zdarzenia z jakimś inném poprzedzającym, albo z szeregiem zdarzeń poprzedza-

1) B. III, Chap. V. § 2, str. 377.

2) Tamże § 7, str. 397.

3) Tamże Chap. XXI, § 3, str. 108.

4) Tamże, Chap. XXIV, § 1, str. 142.

5) Tamże, Chap. V, § 2, str. 377.

jących? Przed chwilą już przeczytaliśmy zdanie Milla, że po pewnych zdarzeniach następują zawsze pewne zdarzenia i jak jesteśmy przekonani zawsze nadal następywać będą“. Widzimy więc, że tym razem powołał się na nasze „przekonanie“ nie na nasze doświadczenie, i słusznie: co bowiem następować będzie nie może być przedmiotem doświadczeń, t. j. tego, na czém się opierać powinny zdania ścisłego empiryka. Powołał się więc Mill na przekonanie, sięgające poza podstawy, jakich dostarczyć może doświadczenie. W następującym ustępie powtórzy nam to Mill jeszcze wyraźniej. Przeczytajmy go: „Niech zdarzenie będzie jakiegokolwiek, jeżeli zaczęło istnieć, poprzedzało je jakieś inne zdarzenie lub zdarzenia, z któremi jest nieodmiennie połączone. Dla każdego zdarzenia istnieje pewne połączenie przedmiotów lub zdarzeń, pewien oznaczony współudział okoliczności dodatnich i ujemnych, po których ono zawsze następuje. „Moglibyśmy byli nie wykryć, jaki ma być ów zbieg okoliczności; ale nie wątpimy nigdy, że taki istnieje i że on się nigdy nie wydarza bez wywołania wspomnianego zjawiska, jako skutku swego“<sup>1)</sup>.

Rozbierzmy pierwsze zdanie tego ustępu: „Niech zdarzenie będzie jakiegokolwiek, jeżeli „zaczęło istnieć, poprzedzało je jakieś inne zdarzenie lub zdarzenia“. Przedewszystkiem zaznaczyć tu muszę nieściśłość i niewłaściwość w doborze słów i całego sposobu, w jaki się tu Mill wyraża. Nie zwraca bowiem uwagi na to, że przecież każde bez wyjątku zdarzenie (*fact*, *Thatsache*) musiało zacząć istnieć, inaczej bowiem nie byłoby zdarzeniem, nie potrzebny jest przeto dodatek „jeżeli zaczęło istnieć“. Dodatek ten miałby znaczenie tylko w tym razie, jeżeliby Mill przez „zdarzenie“ rozumiał jakąś „rzecz“, jakiś „przedmiot“, jakąś „istność“, w ogóle coś, coby mogło także nie zacząć istnieć, a więc istnieć bez początku. Ale mniejsza o słowa: każde więc „zdarzenie“, stosownie do myśli, jaką powyższe zdanie Milla zawiera, poprzedzone było przez inne, o tyle tylko o ile zaczęło istnieć, o tyle też ma ono pewną przyczynę. Sposób więc, w jaki się tu Mill wyraża, nie wyklucza możliwości

<sup>1)</sup> B. III, Chap. V, § 2, str. 377, 378. Ta część rozumowań Milla jest tylko powtórzeniem myśli, które wypowiedział Hume: *Treatise on human nature*, B. I, part. III, section 2, 3, 4, 11, 12, 13, 14, 15.—Rozumowania te poddają surowej krytyce następujący autorowie: Ulrichi: *Die sogenannte inductive Logik* (*Zeitschr. f. Phil. und phil. Kritik*, Bd. 21, str. 82 do 88).—Mc. Cosh: *An Examination of J. S. Mill's philosophy*, str. 275 do 280.—Riehl: *Causalität und Identität. Vierteljahrs. f. wissen. Phil.* 1877. Bd. I, mianowicie, str. 368, 369, 370).—Benno Kohn: *Untersuchungen über das Causalproblem auf dem Boden einer Kritik der einschlägigen Lehren J. St. Mill's*. Wien. 1881, str. 27 do 32, 58, 59, dopisek piąty.—Courtney *The metaphysics of J. S. Mill*, str. 108 do 113.

mniemania, że mogą być „zdarzenia“ bez początku istniejące <sup>1)</sup> i te nie mają przyczyn, t. j. zdarzeń, które je poprzedziły. Bądź co bądź jednak „Ogólność prawa przyczynowości“ jest tu ograniczona do „zdarzeń,“ poprzedzonych innemi zdarzeniami; jeżeli zaś trzymać się zechcemy słów Milla, że „przyczynowość nie różni się zasadniczo „od następstwa w czasie,“ to mielibyśmy ciekawy wynik, że ogólność prawa przyczynowości ograniczona jest do zdarzeń, które mają swoją przyczynę. Takiemu jednak zestawianiu wyrazów zdawałyby się sprzeciwiać dalsze słowa obecnie rozbieganego zdania: „z którymi ono jest nieodmiennie połączone.“ Słowa te jednak sprzeciwiają się znowu innemu zdaniu Milla <sup>2)</sup>, że nie wszystkie zdarzenia są nieodmiennie ze sobą połączone <sup>3)</sup>.  
(d. n.).

---

<sup>1)</sup> Że Mill możliwości téj pod pewnym względem nie wykluczał, świadczy o tém to, co sam mówi w następującym paragrafie (3-im, Roz V. Ks. III. wydanie 1-sze), o warunkach zdarzenia, które musiały wszystkie istnieć pierwój, ale nie potrzebowały zacząć istnieć.

<sup>2)</sup> Z § 2, Roz. III, Ks. 3.

<sup>3)</sup> Jeszcze wyraźniej wypowiada Mill to zdanie w tymże §: „The course of nature, in truth, is not only uniform it is also infinitely various. Some phenomena are always seen to recur in the very same combinations in which we met with them at first, otherst seem altogether capricious; while some, which we had been accustomed to regard as bound down exclusively to a particular set of combinations, we unexpectedly find detached from some of the olemets with whid we had hitherto found them conjoined, and united to others of quite a contrary descriptcion“. B. III, Chap. III, § 2, str. 359.



# KULTURA INDÓW W EPOCE WEDYJSKIEJ.

PRZEZ

*J. Hamusza.*

(Altindisches Leben, von Heinrich Zimmer. Berlin 1879, str. XVI, 460.  
Inde Vedique. Marius Fontane. Paris 1881, str. VII 432.)

Żaden z pomiędzy pokrewnych nam narodów indoeuropejskich nie może się pochlubić tak starożytnymi śladami swój pierwotnej kultury, jak mieszkańcy z nad Indu i Gangesu. Życie Persów, spokrewnionych z nimi najbliżej, Greków, Italów i Keltów, Germanów, Słowian i Litwinów znacznie później dopiero się jawi na widowni dziejowej. A gdy do tego dodamy, że kultura żadnego z tych narodów nie występuje przed nami w tak pierwotnym stanie, pełnym natury i poezyi, jak najstarsze życie braci naszych azyatyckich, nie zdziwi zapewne nikogo, że życie starych Indów może nas obecnie tak samo, a może nawet i więcej zajmować, aniżeli kultura Greków i Rzymian. Zwrócono się więc do najstarszych płodów ducha indyjskiego, do owych pieśni wedyjskich, pełnych bujnej fantazyi i delikatnego uczucia, jako do jedynych źródeł poznania pierwotnej kultury Indów. Na tych to źródłach opiera się wyżej zacytowana piękna praca Zimmera, która podaje nam jak najwierniejszy w szczegółach obraz życia Indów wedyjskich. Ponieważ jednak przeznaczona jest głównie dla specjalistów, przeto więcej może powabu dla naszej publiczności miałaby dość popularna książka Fontane'a. Ze względu jednak, że wartość jej naukowa jest bez porównania mniejszą, będę się starał głównie z książki Zimmera wybrać i jak najtreściwiej przedstawić to, co dla naszej publiczności może być najciekawszem. Nadmienić tu jeszcze należy, że prawie równocześnie z Zimmerem zajął się tą samą rzeczą prof. A. Ludwиг i doszedł do rezultatów zupełnie podobnych, które złożył w III tomie ogromnego dzieła „Der Rigweda” p. t. „Die Mantralitteratur und das alte Indien. Prag. 1878.” Dzieło prof. M. Straszewskiego, „Powstanie i rozwój pesymizmu w Indyach.” (Kraków 1884), po-



trąca również o te kwestye ze stanowiska filozoficznego; lecz jako niezwykły objaw w literaturze polskiej zasługuje na rozbiór oddzielny.

## I.

Wiadomo, że Indowie należą, podobnie jak my i większa część dzisiejszych narodów cywilizowanych, do wielkiego szczepu indoeuropejskiego, którego przodkowie, stanowiąc niegdyś jeden naród, jednym mówili językiem i wspólną zamieszkiwali siedzibę. Gdzie była ta pierwotna siedziba, i jaki był ów wspólny język indoeuropejski, możemy się tylko domyślać. To pewna jednak, że przodkowie Indów i Irańczyków, oddzieliwszy się od wspólnego pnia indoeuropejskiego, żyli jeszcze przez pewien czas wspólnie, zowiąc się *Aryami*<sup>1)</sup>. Następnie oddzielili się *wschodni Aryowie*, zwani później *Indami*, i zstąpiwszy z wyżyn Iranu, może zachodnimi przesmykami gór Hindukusz, poszli na wschód doliną rzeki Kabul i zajęli kraj nad Indem i jego dorzecziami, zwany dziś *Pendżabem*. Rozumie się, że nie stało się to wszystko naraz. Z jednej bowiem strony rzeki utrudniały im posuwanie się naprzód ku wschodowi, z drugiej zaś nie mało mieli przeszkody ze strony dzikich *Dásów*, pierwotnych tego kraju mieszkańców. Wprawdzie krajowcy ci ostatecznie uciekali przed nimi w góry *Himálaja* lub na południowy wschód w góry *Windhja*, ztamtąd jednakże przez długie jeszcze wieki niepokoiłi zwyciężkich *Aryów*, osiadłych w ich siedzibach. Lecz nie tylko z dzikimi plemionami *Dásów* musieli Indowie prowadzić walki, wewnętrzna bowiem niezgoda często uzbrajała jedne szczepy aryjskie przeciw drugim tak, że najstarsza epoka kultury Indów jest niejako panoramą walk ustawicznych. Walki te szczepów aryjskich z dzikimi *Dásami* z jednej, a między sobą wzajemnie z drugiej strony, odbywające się w krainie *Pendżáb*, zajmują pierwszy okres epoki wedyjskiej, w którym ostatnią wybitniejszą postacią jest dzielny *Sudás*, król potężnego szczepu aryjskiego *Trtsu*. On bowiem oparł się po raz ostatni bratnim szczepom aryjskim, które złączonemi siłami parły dalej na wschód, szukając nowych siedzib. Nie długo trwał jednak skuteczny opór aryjskiego plemienia *Trtsu*, bo wkrótce nowa koalicja szczepów aryjskich z północno-zachodniego *Pendżábu* posuwa się coraz dalej na południowy wschód, a po skutecznych walkach tak z powstrzymującymi ją bratnimi szczepami, jak i z dzikimi autochtonami, zajmuje nowe siedziby w dolinie *Jamuny* (*Dżemna*) i *Gangesu*. Walki jednak nie ustają w nowszych siedzibach *Hindostanu*. Zwyciężeni bowiem krajowcy podnoszą częste bunty, które trzeba było poskramiać, a nadto

<sup>1)</sup> Pierwiastek *ar-* znaczy: poruszać, poruszać się; por. *ar-vuut*, łac. *or-ior*; więc *ari*, *arja* = ruchliwy; jeżeli około czci bogów: wierny, pobożny. Od tego utworzone imię *Arja* oznacza należącego do wiernych, czciociela tych samych bogów, człowieka swego pokolenia.

powstaje tu w łonie społeczeństwa indyjskiego rozkład, który sprowadził długie zatargi wewnętrzne. Tu bowiem dopiero poczęły się tworzyć kasty, które w późniejszej epoce kultury Indów tak ważną grały rolę.

Na dworach królów aryjskich żyli od najdawniejszych już czasów wieszczowie i piewcy, którzy, mając dar składania pięknych hymnów nabożnych, wyreczali nieraz swych panów przy składaniu ofiar za dobro plewienia. A gdy im się nieraz ofiara udała, gdy skutek pomyślny był widoczny, umieli przedstawić swym panom, że to ich wyłącznie zasłuzie powinni zawdzięczać, i że pośrednictwo ich przy ofiarach jest niezbędne. To też już przy końcu pierwszego okresu epoki wedyjskiej, jeszcze w krainie „pięciu rzek“, królowie nie sprawowali już sami ofiar za dobro swych szczepów, lecz zdawali to na towarzyszących sobie piewców. Tak piewca Wasisztha składał bogom ofiary w imieniu potężnego króla Sudása za naród Trtsu, i prowadził go wraz z królem na zwycięskie boje. To jest początkiem i najstarszą formą indyjskiego kapłaństwa. Stanowisko takich kapłanów było nader korzystne; przekonywując bowiem królów, że pomyślny skutek ofiary od ich tylko zależy modłów, żądali za to zwykle sutego wynagrodzenia. Nie dziw też więc, że wmówili w nich wkrótce, iż trzymanie kapłanów na dworze jest rzeczą niezbędną. Zwyczaj stał się wkrótce koniecznością, zwłaszcza gdy królowie aryjscy wśród ciągłych walk nie mogli przechowywać w pamięci starych a skutecznych hymnów. To też znaczenie kapłanów wzrosło ogromnie w nowych siedzibach Hindostanu tak w oczach królów jak i całej ludności. Oni bowiem przechowywali w pamięci troskliwie stare hymny i modlitwy, od których zależał pomyślny skutek ofiary; oni bronili tej wiedzy na zewnątrz, to też czuli się jedynie powołanymi reformować cały kult w Hindostanie. Połączeni więc wykształceniem i zajęciem, które ich czyniło najwyższą instancją w sprawach boskich, zapragnęli takiego samego znaczenia i w rzeczach ziemskich, w stosunkach obywatelskich. Poczęli zatem przekonywać królów i naród, że jak Brahmanas-pati jest w niebie u bogów kapłanem, tak oni są jego synami na ziemi, czyli krótko, że są „bogami na ziemi“. Uczyniwszy do tego stan swój zależnym od urodzenia, utworzyli oddzielną k a s t ę k a p ł a ń s k ą (bráhmana), wyższą nad wszystkich innych członków społeczeństwa indyjskiego. Długo opierali się królowie i naród ich uroszczeniom, wreszcie jednak ulegli i przyznali im wszystko, czego tylko żądali, a mianowicie: uszanowanie najgłębsze, bogate dary, ochronę przed uciskiem i nietykalność. Z tą chwilą kończy się drugi okres epoki wedyjskiej, a rozpoczyna się epoka bramańska.

W tym drugim jednak okresie epoki wedyjskiej powstały i inne kasty. Reszta bowiem narodu aryjskiego już z samej natury rzeczy musiała się podzielić na dwie części: jedna zajmawszy obszerny kraj Hindostanu uprawiała rolę i zajmowała się chowem bydła, druga zaś z królami na czele broniła tego kraju przed napadami nieprzyjaciół. Ztąd to utworzył się pomału osobny stan rycerski, który zajmował się wy-

łącznie rzemiosłem wojenném, podczas gdy lud uprawiający rolę zapomniał robić broń, i wskutek gorącego klimatu zniedołężniał zupełnie. A gdy bramanowie przy swojej organizacji społeczeństwa indyjskiego uczynili i te stany zależnymi od urodzenia, powstały dwie nowe kasty: rycerska (kszatrija) i wieśniacza (waisja). Jako czwarta kasta niewolnicza (śudra) pozostali podbici i nieco już zasymilowani pierwotni mieszkańcy Hindostanu plemienia niearyjskiego.

Tak więc przy końcu epoki wedyjskiej zorganizował się w Hindostanie nowy porządek społeczny, w którym kler i szlachta, żyjąc przeważnie z pracy rąk ludu i niewolników, miały stanowisko uprzywilejowane. Na tej nowej organizacji oparła się także cała kultura epoki bramańskiej, którą nastąpiła po epoce wedyjskiej.

Epokę wedyjską kultury Indów reprezentuje święta literatura Wedy. Wyraz ten oznacza „wiedzę”, i to prawdziwą, świętą wiedzę, jaką jest „pismo święte”, które tém samém nazwano mianem. Cała ta święta literatura obejmuje trzy główne działy, mianowicie: teksty pierwotne (mantra), ich objaśnienia (brāhmanam) i streszczenia (sūtram). Lecz pierwszy tylko z tych działów, t. j. literatura tekstów pierwotnych reprezentuje kulturę epoki wedyjskiej. Dział drugi, obejmujący komentarze do tekstów, powstał już w epoce bramańskiej, kiedy to stare teksty już tylko uczonym kapłanom były zrozumiałe. Z czasów zaś jeszcze późniejszych pochodzi dział trzeci tej świętej literatury, zawierający streszczenia, wykazy i indeksy. W przybliżeniu możnaby chronologią tak oznaczyć, że teksty wedyjskie powstały w czasie 1800—1200 przed Chr., ich objaśnienia około 1200—600 przed Chr., a streszczenia około r. 600—200 przed Chr. Ponieważ więc źródłem dla kultury Indów w epoce wedyjskiej są jedynie stare teksty Wedy, zajmiemy się tu nimi wyłącznie.

Główną częścią składową tych tekstów są piękne pieśni liryczne, któremi starzy Indowie, oddzieliwszy się od wspólnego pnia indoeuropejskiego i od swych braci irańskich, wielbili swych bogów.

Są to grące modły o opiekę i pomoc, jak też serdeczne dziękczynienia za otrzymane dobrodziejstwa, w których nam najstarsi przodkowie Indów odsłaniają całą głębię swych uczuć i wysokość polotu swych myśli. Pieśni te, odznaczające się niekiedy dziecięcą naiwnością, a niekiedy realną prostotą, powstały przeważnie w pierwszym okresie epoki wedyjskiej, t. j. jeszcze nad Indem i w kraju „pięciu rzek”. Powstawały one w różnych czasach i miejscach i przechowywały się w ustnej tylko tradycji. Z nad Indu i Pendżabu przyniesiono je z sobą do Hindostanu, gdzie odtąd zostawały pod wyłączną już prawie opieką wznagającego się stanu kapłanów. Do owych starych hymnów przystąpiła tu jeszcze pewna ilość nowych, co wszystko dla praktycznego użytku ułożono przy końcu epoki wedyjskiej w cztery wielkie zbior y (samhitā), znane powszechnie przynajmniej z imienia. Są to



mianowicie: 1) Rig-weda, zbiór hymnów czyli wierszy (rik), 2) Sâma-weda, zbiór śpiewów (sâman), 3) Jadzur-weda, zbiór modlitw ofiarnych (jadzus), 4) Atharwa-weda, zbiór tekstów treści rozmaitej, nazwany tak od kapłanów z rodu Atharwan. Trzy pierwsze z tych zbiorów były właściwie podręcznikami, których przy nowej organizacyi kultu używali kapłani przy swych czynnościach liturgicznych.

I tak Rigweda była podręcznikiem dla kapłana hôtar, który jednym z jej hymnów wołał do boga przed ofiarą. Sâma-weda była śpiewnikiem dla kapłana udgâtar, a Jadzur-weda modlitewnikiem dla głównego kapłana, sprawującego ofiarę, zwanego adhwaryu. Wszystkie zaś trzy podręczniki musiał dobrze znać brahmàn, który miał pieczę nad całym nabożeństwem. Atharwa-weda, zawierająca jak powiedziano zbiór tekstów treści rozmaitej, została dopiero później wliczona w poczet ksiąg kanonicznych.

Najważniejszym dla nas z tych zbiorów jest Rigweda-samhitâ. Jest to zbiór umiejętny, niejako historyczny, dokonany głównie w tej myśli, aby stary spadek po przodkach zachować od zagłady. Zawiera on w 10 księgach (mandala) 1017 a względnie 1028 hymnów, które co do objętości wynoszą prawie tyle, co Iliada i Odyssea razem wzięte. Pierwsza i ostatnia księga są prawdopodobnie najpóźniejszymi zbiorami, gdyż obok prastarych hymnów z Pendżâbu zawierają wiele z drugiego okresu epoki wedyjskiej; niektóre zaś z hymnów, zwłaszcza w księdze 10, pochodzą może nawet z czasu redakcyi tych zbiorów. Reszta ksiąg Rigwedy zawiera hymny, które powstały i przez długie się wieki przechowywały w rodzinach starych wieszczów (rszi) wedyjskich. I tak uchodzi za autora 2 księgi wieszcz Grtsamada, 3 Wiśwâmitra, 4 Wâmadewa, 5 Atri, 6 Bharadwâdza, 7 Wasiszta, 8 Kanwa, i ich potomkowie. Redakcyja ksiąg 2—7 zdradza wyraźnie czynność jednej szkoły. Hymny bowiem ugrupowane podług bóstw, do których są zwrócone, w każdej księdze następują po sobie w tym samym porządku; i tak najpierw idą wszędzie hymny do boga Agni, następnie do Indry, i t. d. Podobny nieco układ mają grupy hymnów 1 księgi. Odmienną po części redakcyą wskazuje 8 księga, a całkiem innego pochodzenia musi być księga 9, której wszystkie hymny zwrócone są do personifikacyi napoju boskiego Soma.

Hymny Rigwedy są tworam i fantazyi wielu starych poetów i powstały w rozmaitych czasach całej epoki wedyjskiej. To też nie dziw, że brak im niekiedy jednostajności i konsekwencyi, i że niektóre z nich są nawet przesadne i nudne. Nawet najpiękniejsze płody liryki wedyjskiej cierpią niekiedy na monotonność i powtarzanie się, lecz trzeba zarazem przyznać, że ze wszystkich tych hymnów wieje jakiś świeży powiew prawdziwej poezyi natury. W nich odzwierciedla się całe życie indyjskich Aryów, poczynszy od owych zamierzchłych wieków, kiedy doliną rzeki Kabul zbliżyli się do Pendżâbu, aż do tych czasów,



kiedy zajmwszy Hindostan ulegli całkowitej reorganizacji porządku społecznego.

To też hymny Rigwedy są najważniejszym źródłem poznania kultury Indów w epoce wedyjskiej.

Sâma weda zawiera około 1800 oddzielnych wierszy, wyjętych bez związku z hymnów Rigwedy i zastosowanych do śpiewu. Śpiewano je szczególnie przy ofiarach napoju boskiego soma. Jestto więc zbiór liturgiczny, śpiewnik niejako, nie zawierający żadnego prawie nowego materiału.

Jadžurweda jest moditewnikiem, w którym prócz pewnych wierszów z Rigwedy znajdują się i inne modlitwy wierszem i prozą, zastosowane do praktycznego użytku przy składaniu ofiar. Modlitwy te jednak pochodzą już z drugiego okresu i to przeważnie z końca epoki wedyjskiej.

Atharwaweda, jako zbiór materiału treści rozmaitej, jest równie jak Rigweda ciekawym bardzo źródłem dla poznania kultury Indów. Hymny tu zebrane, pieśni okolicznościowe, zaklęcia czarów, zażęgniwanie chorób, obrzędy liturgiczne, i t. p., rzucają jasne światło na ich życie domowe i stosunki wewnętrzne. Większa część jednak tych tekstów powstała już w czasach późniejszych, t. j. w Hindostanie w czasie walk i zatargów wewnętrznych, jakie powstały między klerem, dobijającym się pierwszeństwa, a broniącym swych praw narodem.

Wyłączywszy więc Sâma wedę, która nie daje nam prawie żadnego nowego materiału, widzimy, że dla poznania najstarszej kultury Indów w Pendżabie służy większa część hymnów Rigwedy, podczas gdy przeważna część tekstów Jadżurwedy i Atharwawedy przedstawia późniejszą kulturę Indów w Hindostanie, czyli drugi okres kultury wedyjskiej.

Na tych-to opierając się źródłach, można sobie skreślić obraz kultury staroindyjskiej, biorąc na uwagę kraj i jego mieszkańców, ich stosunki zewnętrzne i urządzenia wewnętrzne.

## II.

Co się tyczy kraju, który zamieszkiwali Indowie w epoce wedyjskiej, widzimy z tekstów, że w pierwszym okresie zajmują oni głównie kraj „siedmiu rzek” (sapta sindhawah), w drugim zaś koncentruje się kultura wedyjska dalej na wschodzie, w Hindostanie. Przez kraj „siedmiu rzek” rozumieją zapewne teksty Rigwedy kraj nad górnym i środkowym Indem i jego doły ze wschodu. Tych więc siedem rzek byłoby idąc od zachodu na wschód: Sindhu (Indus), Wita-stâ (*Υδάσπης*, dziś Dżelum), Asikni (*Ἀξεινής*, Czinab; za Aleks. W. zwano tę rzekę Czandrabhâga = *Σανδροφαγος*), Parusznî (Irâwatî, dziś Rawi), Wipâś (*Υφασίς*, dziś Bejah), Śutudri (dziś Setledż) i Saraswatî (dziś Gagar).

Być może jednak, że nazwa „siedm rzek” jest tylko ogólnym określeniem pewnej nieoznaczonej wielości, jak to często bywa w Rigwedzie. Nazwa Saraswatî rzadko, i to może tylko w najpóźniejszych hymnach Rigwedy, oznacza najdalszy dopływ Indu od Wschodu, stojący na granicy niejako między działem wodnym Indu a Gangesu. Najczęściej nie oznacza ona prawdopodobnie nic innego, jak tylko Indus; nazwy bowiem sindhu i saraswatî oznaczają w ogóle „rzekę”. Ponieważ dziś owa graniczna rzeczka Saraswatî (Gaggar) gubi się w puszczy wraz z swym dopływem Drszadwatî, ma Indus pięć tylko głównych dopływów, z kąd kraj ten nazywa się dziś Pendżâb, t. j. kraj „pięciu rzek”. Jako zachodnie dopływy Indu bywają wspomniane: Kubhâ (*Κωπρης*, Kabul), Krumu (Kurum), Gomatî (Gomal), dalej Trsztamâ, Susurtu, Mahetnu i Rasâ. Lecz prawdopodobnie tylko pierwszy z nich, Kubhâ, z rzeką poboczną Suwâstu był rzeczywiście dopływem Indu; jest to dzisiejszy Kabul, nad którym bez wątpienia musieli żyć Indowie, nim jeszcze zajeli Pendżâb. Inne wspomniane rzeki leżały zapewne dalej na północy zachód, więc niejasne już o nich pojęcie mieli Indowie wedyjscy, gdy mieszkali w Pendżâbie. Najdalej od nich oddaloną była prawdopodobnie rzeka Rasâ, nad którą może jeszcze mieszkali w dobie aryjskiej razem z Irańczykami. Ta sama bowiem rzeka występuje także w Aweście (Ranba); jestto Araxes u Herodota, późniejszy zas Jaxartes. Ze wschodniego działu wód, nad którym Indowie mieszkali w drugim okresie kultury wedyjskiej, wspomniane bywają w tekstach: Jamunâ (dziś Dżemna) i Gangâ (Ganges) z dopływem Sarajû. Na granicy pomiędzy wschodnim a zachodnim działem wód jest, jak powiedziano już wyżej, rzeczka Saraswatî z dopływem Drszadwatî. Wspominają jeszcze poeci wedyjscy o kilku innych rzekach, lecz trudno dziś dojść, któreby to być miały. Ocean (samudra, zbiór wód) znali Indowie wedyjscy tylko przez śmiałe wycieczki niektórych ludzi na czótnach wzdłuż Indu, stale jednak nie mieszkali nad dolnym jego biegiem. Najpierw bowiem nie wspominają o wielu ujściach Indu, ani o przyptywie i odpływie morza, a następnie rybołówstwo im wcale nieznane. Widocznie więc i nie żeglowali po morzu, bo inaczej nie obeszłoby się w ich panteonie bez takich postaci, jak grecki Posejdon i Afrodite, anglosas. Freyr, skandyn. Niödr. Góry nie są w Rigwedzie nigdzie bezpośrednio nazwane, widocznie jednak „te śnieżne” (ime himavantah) oznaczają ciągnące się na północy góry Himâlaja, w których zachodniej części była prawdopodobnie góra Mûdzawant. Atharwaweda zna w pasmie Himâlaja jako najwyższą górę Trikakud (Triakûta, dziś Trikota), a w innym miejscu jako szczyt Himawantu występuje Nâwa-prabhramsana, w czém domyślają się góry Nangaparbata lub Daryamur w Himâlajach Kaśmîru. Czy dolina Kaśmîru była już wtedy zamieszkałą przez pokolenia aryjskie, nie można na pewno powiedzieć z tekstów Rigwedy; o ile jednak wiadomo ze źródeł późniejszych, mieszkańcy Kaśmîru uwa-

żali się od najdawniejszych czasów za Aryjczyków. Miasta nigdzie nie są nazwane w tekstach wedyjskich. Wiemy tylko, że na południowym brzegu rzeki Kabul lud indyjski zwany Gandhãri odznaczał się chowem pięknych owiec. Jako najdalej na południowy wschód posunięty wymienia Rigweda nie-aryjski szczep Kíkata; jest to prawdopodobnie późniejszy kraj Magadha, dziś południowy Bihar. Że w drugim okresie kultury wedyjskiej Hindostan był punktem środkowym, dowodzi i to, że teksty Jadźurwedy nigdzie już rzeki Indu bezpośrednio nie wspominają. Zgadza się zaś w tym punkcie i cała późniejsza literatura wedyjska, mianowicie literatura komentarzy (bráhmana).

Co się tyczy klimatu, były stosunki w epoce wedyjskiej prawie te same, co dzisiaj. W Pendźabie rozróżniano trzy pory roku: jesień, zimę i wiosnę; w zimie pada tu śnieg i jest mróz. Późniejsze teksty Rigwedy przenoszą nas już w klimat prawie tropiczny, żar słońca wznieca w całej naturze pragnienie dëszczu, zimy tu prawie nie znają, tylko wiosnę (wasanta), lato (griszma), jesień (sarad) i porę deszczową (prãvrsz). Jadźurweda przenosi nas całkiem do Hindostanu, gdzie znają pięć pór roku, a Atharwaweda liczy ich nawet sześć i siedem. Między wiatrami odznaczają się dwa szczególnie: bardzo silny południowo-zachodni, którego dalszy zapęd ku północy powstrzymują góry Himãlaja, i słabszy nieco północno-wschodni. Wiatry te, zwane dziś monsunami, wywierały i w epoce wedyjskiej bez wątpienia znaczny wpływ na klimat; nimi to zapewne opiekowali się Marutowie, do których mamy w Rigwedzie kilka wspaniałych hymnów. A silne być musiały, jeżeli śpiewak woła: „w swoją siłą obalacie ludzi i wywracacie góry.“

Powierzchnia ziemi (prthivî), poprzerzynanej rzekami przedstawiała pewną rozmaitość. Były tam niziny i doliny wodniste, oraz wyżyny i góry lesiste. Samotność leśna nie była bez uroku dla dzieci natury, jeżeli ją personifikowano (Aranjãni) i pieśnią wielbiono. Że i pożary lasów nie były rzadkością, mamy dość wyraźne ślady. Między rzekami leżały łąki pokryte trawą i urodzajne role, w niektórych jednak okolicach spotykało się nieurodzajne ugory.

Bogate też były produkty ziemi. Wnętrze jój kryło w sobie kruszce rozmaite i drogocenne klejnoty. Czytamy nawet o kopalniach złota, co potwierdzają i historycy z czasów późniejszych (Megasthenes). Zresztą i rzeki płynęły złotem, jeżeli Indus bywa nazywany „bogatym w złoto“ (hيرانجی). Złoto jest u nich pojęciem czegoś najwspanialszego, najwyższego i najkosztowniejszego. Robiono z niego ozdoby na piersi, naszyjniki i kolczyki, złote puhary i inne cacka. Obok bydła rogatego i koni było złoto największém bogactwem. I kto wie, czy już wedyjscy Indowie nie byli w jakich stosunkach handlowych z Babylonem, jeżeli semicka miara złota, przyjęta przez Greków (*μνα*) i Rzymian (mina), i u Aryów wed. już się znajduje (mana, Rigw. VIII, 78, 2). Czy srebro już znano, niepewna; może był



nim kruszec radžas, bo później zwano je radżata (argentum). Po złocie jednak najczęściej wymieniają teksty Rigwedy kruszec ajas, który prawdopodobnie oznacza spiż (łac. aes). Niektórzy uważają ajas za żelazo, lecz za spiżem ta okoliczność przemawia, że go w ogóle wszędzie prędzej poczęto używać niż żelaza, które w epoce wedyjskiej może dopiero poczęto dobywać nazywając je „ciemnym spiżem“ (śjāmam ajah), jak u Homera *πολιος σίδηρος*. Nadto napotykamy w Atharwawedzie rzadkie wzmianki o ołowiu (sisa), a w innych tekstach o cynie (trapu). Jakie znano drogie kamienie, trudno powiedzieć; niepewna téż, czy przez wyraz maui, oznaczający klejnoty, rozumiano perły, czy dyamenty. Użytku soli (lavana) nie znali zapewne jeszcze Indowie, kiedy byli w Pendżâbie, jakkolwiek jest jęj dziś tam mnóstwo. Ze solą bowiem spotykamy się dopiero w tekstach Atharwawedy.

Świat roślinny jest w starych Indyach bardzo bogaty. Teksty wedyjskie znają lasy drzew (wrksza) i krzewów (wirudh), i rozmaite zioła lecznicze (oszadhi). U ziół rozróżniają korzeń, łodygę, gałązki, kwiat i owoc, u drzew zaś nadto koronę, konary i liście. Wymieniane bywają rozmaite rodzaje drzew figowych, akacje, pachnące oleandry, powoje, lilie, lotusy, bambusy, trzcina cukrowa i t. p. <sup>1)</sup> Królową ziół jest roślina soma, która rośnie na górach i jest w ogóle dość rzadka. Dlatego téż do wyrabiania boskiego napoju tegoż nazwiska musiano niekiedy używać i innej rośliny (pūtika). Cudownym zielem leczniczym jest kusztha (*Costus speciosus*), przyjaciółka somy; rośnie na wysokich szczytach Himawantu, a pomaga na wszystko: odpędza czary i febre, koi ból głowy, dobra na oczy, a nawet pomaga w miłości (jak u naszego ludu lubcyk, a na Rusi lubystok). I jakiegoś „słodkiego drzewka“ (madugha), i trzciny cukrowej (ikszu) używano przy czarach miłosnych. Zresztą z niektórych drzew i ziół sporządzano amulety przeciw czarom, i rozmaity z nich robiono użytek. Rośliny nitatni używano ze skutkiem przeciw wypadaniu włosów, bogate w korzenie i tyśiąclistne ziele darbha uśmierzało gniew, a maść andżana odpędzała wszystkie choroby i przedłużała życie. Z grubej trawy balbadża (*Eleusine indica*) robiono rozmaite miśterne plecionki.

<sup>1)</sup> *Ficus religiosa*, *Ficus indica*, *Acacia catochu*, *Butea frondosa*, *Ficus infectoria*, *Ficus glomerata*, *Flacourtia sapida*, *Prosopis spicigera*, *Crataeva Roxburghii*, *Dalbergia Sisa*, *Aegle Marmelos*, *Grislea tomentosa*, *Colosanthos Indica*, *Nerium odorum*, *Careya arborea*, *Gmelina arborea*, *Salmalia malabarica* i inne. Zioła: *Costus speciosus*, *Achyranthes aspera*, *Odina pinnata*, *Cannabis*, *Hemionitis cordifolia*, *Eleusine indica*, *Panicum dactylon*, *Andropogon muricatus*, *Nymphaea esoulenta*, *Saccharum offic.* i inne; por. Zimmer, *Altindisches Leben*, str. 57—72.

Do świata zwierzęcego należy i człowiek (*homo sapiens*). Podług późniejszych bowiem tekstów wedyjskich pięć jest zwierząt ofiarnych: człowiek (jako zwierzę dwunożne), koń, wół, owca i koza. Czytamy tu np. taką charakterystykę zwierząt: „Co ma brodę, należy do ludzi, co jest bez rogów—do koni, co ma z jednej strony siekacze (zęby) — do bydła rogatego, co ma kopyta jak owca — do owiec, a co kozą jest — do kóz.“ Człowiek jest tu więc tylko *primus inter pares*, jest panem innych zwierząt. Najczęściej dzielono zwierzęta na powietrzne, leśne i swojskie. Wodnych zwierząt nie zna Rigweda po imieniu, rybę zaś raz tylko wspomina. Do swojskich zwierząt liczone głównie owych pięć zwierząt ofiarnych <sup>1)</sup>, dalej osła i psa. Resztę zwierząt t. j. w lasach i powietrzu żyjące dzieli Atharwaweda na pięć grup: ssaki, ptaki, płazy, ryby i „brudne“ zwierzęta (owady i robaki). Ze ssaków znany jest wszystkim tekstem Wedy król zwierząt, lew (*simha*). Żyje on w górach lesistych, gdzie straszny jest dla innych zwierząt. Napada nawet na osady ludzkie, więc i człowiekowi jest straszny, jakkolwiek ryk jego wielce się ludziom podoba. Jeszcze straszniejszą jest lwica, więc zastawiano na nią niekiedy sidła. Czy wiele im tam te sidła pomogły, nie wiadomo; obecnie jednak lwów w tych okolicach całkiem prawie nie ma. Za tygrysa, obecnie najstraszniejsze zwierzę drapieżne Indyj, w Rigwedzie jeszcze całkiem nieznan. Lecz w Atharwawedzie zajmuje już miejsce lwa, jakkolwiek i ten bywa jeszcze wymieniany. Drżą przed nim właściciele trzód, zwłaszcza że i ludzi nie szczędził. Obok tygrysa i lwa wymienia też Atharwaweda panterę. Słoń (mrga *hastin*) nie bardzo jeszcze znają hymny Rigwedy, bo w kilku tylko miejscach zdaleka go wspominają, podziwiając jego siłę ogromną. Zato w późniejszych tekstach wedyjskich spotykamy bardzo często, i to w klasie tych zwierząt, co biorą „ręką“ (człowiek, słoń, małpa). Znano i szkodliwego wilka (*wrka*), który napada zwykle zwierzęta przy pojeniu, porywa cielęta i owce, a nawet na człowieka się rzuca. I hyenę znać musiano, czytamy bowiem w Rigwedzie: „Nie ma przyjaźni z kobietami, serca ich są jak hyen“. Z innych zwierząt drapieżnych znano niedźwiedzia, dziką, szakala, lisa, a z niedrapieżnych jelenie (*enī*), daniela, gazyli, bawoły (*gawaja*), łasice, zające, krety, myszy, szczury, koty, małpy i t. p.

Ptaki budują sobie gniazda na drzewach, w których jednak tylko nocują. Największym i najsilniejszym ptakiem drapieżnym był jakiś rodzaj orła (*śjena*). Nietylko dla małych ptaków jest straszny,

<sup>1)</sup> Zimmer domyśla się (str. 76), że już w kolebce ludów indoeuropejskich dzielono zwierzęta ofiarne na dwie klasy: 1) człowiek i koń, 2) krowa, koza i owca. Domyśl ten opiera zaś na tém, że tak Indowie, jak Grecy i Rzymianie jednym i tym samym wyrazem określają klasę pierwszą, mianowicie: *ubhajaśat*, *αμφιδου*, *ambidens* t. j. mający z obu stron zęby (siekacze).

lecz rzuca się nawet na trzody, aby porwać z nich co drobniejszego. Jest i pewien rodzaj sokoła (suparna), i jastrzębie rozmaite (grdhra), i inne ptaki drapieżne. Mamy tu i gołębie, turkawki, gęsi, kaczki, łabędzie, pawie, przepiórki, papugi, kury i koguty (krkavāku, kukkuta, kuririn), kuropatwy, wróble, krzyki i dubelty, drozdy i kośy, żorawie, kukułki, sowy, wrony, i mnóstwo innych ptaków.

Płazy nie są tu także bez reprezentantów. Węże są jadowite i wielce dla człowieka niebezpieczne, dlatego zabijano je kijami i odcinano im głowę. W pewnych okresach czasu zrzucają ze siebie skórę, którą bardzo poszukiwano i po drogiej sprzedawano cenie jako amulet przeciw napastnikom. Między mnóstwem węzów rozmaitego rodzaju spotykamy w późniejszych tekstach i boę „kozy połykającego.“ Żaby cieszą się niezmiernie, gdy po skwarnym lecie rozpoczyna się pora deszczowa. Skacząc z radości pozdrawiają się nawzajem; pstra intonuje pieśń wraz z żółtą, a wszystkie inne śpiewają za nimi, chórem powtarzając ich nutę. Jedna ryczy jak wół, druga beczy jak koza, mimo to jednak starają się głos swój upiększyć jak mogą. Krzyk tam, jak w szkole bramańskiej, gdzie uczniowie powtarzają w głos słowa nauczycieli. „Jak bramanowie przy nocnej pijatyce (w około pełnej kufy wina) obchodzą uroczystość Somy, tak wy, o żaby, nucąc w około pełnego jeziora święcie uroczyste ten dzień, w którym się rozpoczyna pora deszczowa“— woła poeta, pisząc cały swój hymn „do żab“ (Rigw. VII, 103), gorzką satyrę na bramanów. Sam ten przedmiot już świadczy, że hymn ten Rigwedy jest jednym z najpóźniejszych. Główna myśl satyry mieści się w ostatnich dwu zwrotkach, gdzie mówi poeta, iż żaby to właśnie strzegą boskiego porządku w naturze, ich to jest wyłączną zasługą, że po skwarnym lecie następuje pora deszczowa, one to dają ludziom bogactwa, „setki krów,” i długie życie. Wiadomo zaś, że wszystko to bramanowie przypisywali swym modłom. Nadto wspominają teksty późniejsze o jaszczurkach, żółwiach i krokodylach. Ryb prawie nie zna Rigweda, lecz zato często wspominają o nich inne teksty wedyjskie, wymieniając kilka ich rodzajów po nazwie. Są też znane rozmaite owady, jak pszczoły, muchy, komary, mrówki, rodzaj szarańczy, zresztą gąsienice, niszczące liście drzew, i rozmaite robactwo ziemne i wodne, przeciwko któremu są nawet zaklęcia w Atharwawedzie.

Panamami Pendźabu w pierwszym, a Hindostanu w drugim okresie kultury wedyjskiej byli więc Aryowie indyjscy. Dzikie plemiona krajowców (Dāsa <sup>1)</sup>) już to chroniły się przed nimi w góry Himālaja i Windhja, już to poddawały się nowym panom i jako niewolnicy przyjmowali po części mowę i zwyczaje aryjskie. Aryowie indyjscy

<sup>1)</sup> Dāsa, pierw. „niszczący, nieprzyjaciół”; z tego powstało ind. dasju (nieprzyjaciół, demon) i irańs. danhu (kraj zajęty przez nieprzyjaciół, provincia).



różnili się od Dásów głównie kolorem skóry, językiem i religią. Aryowie byli biali, Dásowie zaś czarni. Zresztą odznaczali się Aryowie regularnością rysów twarzy, prostym nosem, giętką kibicią i żywym wyrazem spojrzenia<sup>1)</sup>. Dásowie posiadali liczne trzody bydła, a mimo to nie składali bogom ofiar. Gniewało więc to Aryów, tak że czuli się uprawnieni odbierać im te trzody. Prowadzili więc z nimi ciągłe utarczki, aż wreszcie podbici zostali a pozostali w kraju Dásowie zasymlowali się z nimi, i w nowój orgnizacyi społecznej przy końcu epoki wedyjskiej utworzyli czwartą i najniższą kastę Śudra. Te zaś dzikie plemiona, które uciekły w góry, pozostały tam niezależne i często niepokoiły Aryów. Tak np. w górach Himálaja żył szczep nie-aryjski Kiráta, na południu w późniejszym kraju Magadha żyli Kíkata, z innych zaś wspominają teksty o plemionach nie-aryjskich Parnaka i Śimju. Między indyjskimi aryami odznaczało się szczególniej pięć szczepów (pancza dżanásah), przez które niekiedy rozumiano: Jadu, Anu, Druhju, Turwaśa i Puru. Szczepy te brały udział w walce „dzie sięciu królów” nad rzeką Parusznî, zostały jednakże przez króla Sudása odparte. Zresztą wyrażenie o „pięciu szczepach” aryjskich, dość często spotykane w Rigwedzie, stało się w hymnach późniejszych zapewne częścią tylko formułką. Sudás wyżej wspomniany, był królem licznego narodu Trtsu, z którym pobiwszy koalicją szczepów aryjskich nad rzeką Parusznî, poszedł na wschód ku Jamunie, a przekroczywszy ją pobił zuchwałego Bhedu i wodza nie-aryjskiego Śambaru. W walce przeciw „pięciu szczepom” aryjskim, był naród Trtsu połączony z innymi mniejszymi szczepami aryjskimi, mianowicie: Paktha, Bhalânas, Alina, Wiszânin i Śiva. Pomimo jednak świetnych zwycięstw, jakie Trtsu odnosili i nad innymi szczepami bratnimi, jak Jakszu, Wajkarna, Matsja, Bharata, wkrótce ich imię ginie zupełnie, a nad Jamuną i Gangą występuje w całym blasku szczep Bharata i inne niegdyś pobite plemiona aryjskie, jak Kuru-Kriwi, Srdżaja, i t. p., które niegdyś mieszkaly w północnym Pendżâbie. Szczepów Pârthawa i Parśu, wspomnianych w Rigwedzie, nie należy identyfikować z Partami i Persami; nazwy te bowiem mogą tylko świadczyć o bliskim pokrewieństwie szczepów indyjskich z irańskimi.

### III.

Osady Indów wedyjskich były złożone z wsi, na wszystkie strony otwartych (grâma), lub też zamkniętych wałami i płotami

<sup>1)</sup> „Le nez et la chevelure caractèrisent plus particulièrement le type aryen: le dieu principal de l'olympé védique, Indra, est souvent qualifié de *suśipra* „au beau nez”... (właściwie: o pięknych wargach). On croit retrouver le type aryen encore suffisamment pur chez les brahmanes actuels du Cache-mire: ils ont la peau blanche, les cheveux clairs, souvent blonds, quelquefois roux. Les femmes du Caohemire ressemblent à des Européennes.” (Fontane, pag. 57)

(wrdżana). Gdy bowiem Aryowie indyjscy przyszli do Pendżabu, zamienili namioty na stałe siedziby, i uprawiali role, otaczające ich wsi w około. Po za rolami było zwykle pustkowie, pokryte lasami (aramja). Dla obrony przed nieprzyjaciołmi budowano na wyżynach, i to najczęściej nad rzekami, warownie (pur), otoczone wałami i kamieniami. Tam to chroniono się z dobytkiem w czasie napadu nieprzyjaciół lub w razie wylewu wód po porze deszczowej. Czasem taka warownia znajdowała się we wsi. Miast jeszcze nie budowali wedyjscy Indowie, podobnie jak starzy Słowianie, Germanie i Italowie. Gdy jaki szczep po wędrówce i walkach znalazł sobie dogodne miejsce, zatrzymywał się i zakładał osady. Głowa rodziny zapalała ognisko i wyzuaczała w koło niego miejsce na dom i podwórze. Wtedy brano się do budowy, a za materiał służyła przeważnie glina, jak i dziś często w Pendżabie. W Hindostanie budowano już domy z samego prawie drzewa. Dom (dama) taki był dość prymitywnej budowy; podwaliny, słupy i belki wiązano w najprostszy sposób, czasem nawet powrozami i rzemieniami. Dach był z długich trzcin bambusowych, a ściany wypełnione wiązkami słomy lub trzciny. Do jednego słupa u przedniej ściany przymocowane były drzwi, które zamykano jak u Homera rzemykiem (sjuman). Z początku dom taki był podzielony na różne części (grhah), później zaś według przepisów bramańskich miał on się składać z 4 izb, którymi były: główna izba z ogniskiem ofiarnym (agniśala), komora z przyborami ofiarnymi (havirdhana), izba dla kobiet (patniñam sadana), i boczny budynek (sadas). O umeblowaniu domu nie wiele wiadomo. Są ławki i łóżka, na których śpią kobiety, są i lekyki, na których w dzień spoczywają. Dość dokładnie opisuje Atharwaweda łożo na wozie oblubienicy, jadącej do domu męża. Na 4 nogach była rama z 4 desek, na której wzdłuż przecięnięte były gurty. Duchem opiekuńczym domu był Wastosz-pati, do którego modlono się o opiekę, pomoc i obronę. W około domu było obejście (pastja), otoczone najczęściej płotem (harmja). Jeżeli wody we wsi nie miano, kopano studnie i przykrywano je z wierzchu wiekiem. Wodę zaś dobywano z nich wiadrami za pomocą rzemienia, owiniętego na kole kamiennym, i wylewano do żłobów. Aby zdala sprowadzać wodę źródlaną lub zbierać deszczówkę, zakładano nawet pewnego rodzaju wodociągi.

Urządzenia państwowe były u Indów wedyjskich prawie te same, co u starych Irańczyków, Italów, Germanów i Słowian. Szczep (dżana, γένος), jako najwyższa jednostka polityczna, obejmował pewną ilość powiatów (wiś); te składały się z wsi, a te obejmowały pewną liczbę rodzin. Szczepy żyją samodzielnie, a łączą się tylko w celach wojennych, zachowując i wtedy taki sam podział. Każdy szczep bowiem miał swoje wojsko, które dzieliło się na pułki i (wiś), te na kompanie (wrdża), a te składały się ze zdolnych do broni członków rodziny (kula). Na czele szczepu stał król dziedziczny

lub wybieralny, który miał najwyższą władzę cywilną, wojskową i kapłańską. W czasie pokoju był on „stróżem narodu“, którego wszyscy poddani musieli słuchać; we wojnie był wodzem naczelnym (satpati), a w chwilach ważnych sam w imieniu narodu składał bogom ofiary. Za to wszystko składali mu poddani dobrowolne dary, zresztą jako wódz dostawał znaczną część zdobyczy, i tём się różnił od innych, że był wspaniale odziany, obwieszony złotem i klejnotami, a mieszkał w pięknym pałacu. W otoczeniu królów aryjskich żyją rodziny piewców, którzy sławią czyny panów swych i narodu, jak Vasiszta u szczepu Trtsu, Viśvāmitra u słynnych później Bharata. Żyli oni z łaski królów, starali się więc okazywać im niezbędniymi. Ofiara bez pieśni nie była bogom przyjemna, a ponieważ nie każdy król posiadał dar pieśni, wyręczali go czasem tacy wieszczowie. Jeżeli skutek pomysłu był zaraz widoczny, umieli z niego korzystać i przymawiali się do hojności i szczodroblewości królewskiej. Mówili, że sam Indra powołał ich do pieśni i dał prawo pobierać hojną nagrodę; bogaty więc a szczodroblewy był u nich pobożnym, bezbożnikiem zaś tym większym, im kto był biedniejszy. Ofiary te dobrowolne stały się później stałym podatkiem, który płacić musiano kapłanom za wszelkie czynności liturgiczne, gdy jako kasta bramańska stanęli na czele narodu.

Na czele powiatu stał wiśpati<sup>1)</sup>, lecz wyraz ten oznacza w Rigwedzie nieraz tём pana domu lub wsi. Zresztą wieś reprezentuje grāmanī, zwany tём wrádzapati.

Był to więc rząd monarchiczny, lecz nie absolutny; władza bowiem królewska była ograniczona wolą narodu, który się zbierał w swych zgromadzeniach i radził o swych potrzebach. I tak członkowie wsi zbierali się pod wodzą swego naczelnika (grāmanī) na wiec (sabhá), by rozstrzygać spory wzajemne a następnie zabawić się razem. Po ukończeniu więc czynności urzędowej bawili się w kostki, rozmawiali o swym dobytku, zwłaszcza o krowach, śpiewali i żartowali. Cały szczepek zbierał się na sejm (samiti), na którym obierano króla. A nie była to rzecz łatwa, jeśli było więcej kandydatów, a między nimi niejeden, który nawet sejm potrafił steroryzować. Zresztą narodom sejmu przydawał król, tak w zwykłych zebraniach jak i w uroczystych (vidatha). Czasem w miejscu króla spotykamy rząd oligarchiczny, gdzie członkowie rodziny królewskiej (rádzānah) w swych zebraniach, zwanych również samiti, radzą o sprawach publicznych.

Stosunki wzajemne między członkami szczepeków indyjskich nie zawsze były spokojne; czytamy bowiem o rabusiach, oszustach, złoczyńcach, krzywoprzysięzczach, złodziejach nocnych, przeciwko którym wzywano pomocy i opieki bogów. O sądownictwie nie wiele się można z tekstów dowiedzieć, to pewna jednak, że pojęcia prawne były już wyrobione. Prawo (dharman) stanowił porządek na ziemi i nie-

<sup>1)</sup> Litew. wieszpata oznacza tём pana, lecz tylko o bogu lub królu.



bie; wykroczenie przeciwko niemu było grzechem (agas). Są też wyrazy na winę, karę i obronę. Sąd był najczęściej doraźny. Złoczyńcę przywiązywano do słupa; a jeśli nie umiano go wysledzić, udawano się—zwłaszcza przy kradzieży bydła—do mędrców, którzy za uatchnieniem boga Puszana pomagali go znaleźć i bydło skradzione odszukać. Niekiedy rozstrzygał sąd boży, przy którym poszlakowany brał rozpalony przedmiot do ręki, lub kroczył przez ogień.

Był też rodzaj klientów u Indów wedyjskich; lecz co to byli za ludzie, i jakie było ich stanowisko prawne, nie wiadomo. Może byli to członkowie gmin aryjskich, którzy za jakiegokolwiek przewinienie stracili wolność osobistą i prawo obywatelstwa. Wypędzeni zbrodnia-rze uciekali najczęściej na południe, gdzie zajmowali niezamieszkałe jeszcze wybrzeża Indu.

(d. n.)

# MOJE WSPOMNIENIA.

## USTĘP Z NIEWYDANYCH PAMIĘTNIKÓW

LEONA DEMBOWSKIEGO \*).

5-go lutego w nocy na 6-ty przyszyły sztafety, donoszące o przejściu granicy w okolicy Łosośni przez oddziały jazdy rosyjskiej. Natychmiast rozkazano dwom pułkom piechoty, stanowiącym garnizon Warszawy, wyjść tejże samej nocy. Pułk II-gi jazdy strzelców konnych opuścił Warszawę 6 go lutego.

7-go lutego przy otwarciu Izby poselskiej marszałek zawiadomił, iż wojska rosyjskie wkroczyły w granice Królestwa. Zwierkowski zdał sprawę z projektu przez niego podanego względem zaprowadzenia gwardyi narodowych w całym kraju z wnioskiem, ażeby projekt ten odłożyć do czasów spokojniejszych, z uwagi, że wśród wojny zdeorganizowałaby się straż bezpieczeństwa już istniejąca a organizacya gwardyi narodowej ulegałaby trudnościom. Morozewicz wniósł następnie projekt o środkach do przedsięwzięcia w razie napadu nieprzyjaciela tudzież o wynagrodzeniu strat z wojny wynikających. Kaczkowski, Wiśniewski, Szymkiewicz, Węzyk, Wołowski, i Mazurkiewicz brali udział w dyskusyi. Projekt ten jednomyślnością Izba przyjęła. Opiewał on w artykule I-ym, że zagrożone zajęciem województa, obwody, miasta i gminy rząd ogłosi za będące w stanie wojny. Artykuł II-gi stanowił, że w podobnych miejscowościach mają być drogi, mosty, przeprawy, składy i zabudowania niszczone a zapasy żywności, sprzężaj i ludność mają być usuwane do miejsc im wskazanych, że w tej mierze działanie rządu nie może być ograniczone ani prawami o wolności osobistej ani o własności. Artykuł III-ci kazał wymierzać kary z prawa wynikające na wszystkich, którzy będą opierać się wykonaniu tej uchwały, którzy będą ułatwiać nieprzyjacielowi do-

\*) Ciąg dalszy — patrz zeszyt za m. czerwiec r. b.

wóz żywności lub pochód wojska. Tę samą surowości podlegają urzędnicy, którzy pozostaną w częściach kraju zajętego przez nieprzyjaciela. Artykuł czwarty obiecywał, że wszystkie straty z wykonania tego prawa wynikłe przez ogół kraju będą wynagrodzone. Podobne projekty i prawa, gdyby mogły być wykonane, niewątpliwie utrudniałyby ruchy wojska nieprzyjacielskiego; lecz podobne skutki następują nie wskutku praw albo rozkazów; ale w następstwie ogólnego zapału i przekonania o potrzebie obrony. Mieliśmy w ciągu minionych lat dwudziestu od owiej epoki przykłady na wojnach w Hiszpanii, Portugalii i Rosyi. W dwóch pierwszych krajach tak działo się, a nawet lepiej działo się, bez rozkazów, bo ludności, które się usuwały chwilowo, wracały nazad i przecinały komunikacje na tyłach wojsk; lecz podobne działanie prócz zapału, poświęcenia się dla sprawy podjętej, wymaga jeszcze uzbrojenia stosownego całej ludności. Tak było i w Portugalii i w Hiszpanii, tak być nie mogło u nas, gdzie nawet wojsko liniowe nowo formowane broni nie posiadało. Co do Rosyi, tam podobno były rozkazy, ale był też i zapał patryotyczny, wpojony w ludność, gdzie u nas ludności wiejskie wcale podobnego zapału nie okazowały. Było to więc prawo niewykonalne, jakoż pozostało martwą literą i posłużyło tylko do pozbawienia życia niektórych osób a w istocie ani na chwilę nie utrudniło pochodu wojska rosyjskiego. Te i tym podobne środki do niczego doprowadzić nie mogły, Należało, ile mi się zdaje, przywiązać całą ludność do sprawy.

9-go lutego sesye Izby poselskiej zajęły dyskusye nad prawem o porządku wewnętrznym Izby poselskiej. Po długich dyskusjach uznano wniesiony projekt za niedostateczny i do powtórnego przerebienia komisjom został zwrócony. Tymczasem usiłowania naszej dyplomacji w Paryżu zaczęły się objawiać w dyskusjach Izby. Pierwszy pan Mangnin 27-go stycznia wniósł zapytanie, jakie rząd ma zamiary względem wspierania sprawy polskiej. Nadmieniał, że ten naród ma prawo do życzliwości Francyi. P. Dupin starszy dowodził niepodobieństwa pomocy dla Polski. P. Salleverte radził, ażeby Polsce pomagać w pieniądzach, broni i ludziach. P. Guizot bardzo miało o tём wspominał. Nazajutrz p. Gridaine mniemał, że Polsce dyplomatycznie tylko należy nieść pomoc, nakoniec p. Bignon, przebiegając cały szereg wypadków, konkludował, że Francya nie może opuszczać Polski, że mocarstwa mogą i powinny tak się zająć sprawą Polski, jak się zajęły Belgią. Ministra spraw zagranicznych mowa bardzo była zręczna, lecz nie wyraźnie nie objawiła, poczem powtórnice p. Mangin oskarżał, że minister nie zupełnie wyjawia, jakie rząd ma względem nas zamiary.

11-go lutego Izba poselska zatrudniła się rozbiorem prawa, dotyczącego miejsc wakujących w Izbie poselskiej. Prawo to przyjęte przez senat stanowiło, że na miejsca wakujące mają nastąpić nowe wybory, że posłowie, czynną wojskową służbę pełniący, nie utracają swoich miejsc w Izbie, że przy zwoływaniu sejmików przepisy statutu



organicznego będą zawieszane, zamiast marszałków, przewodniczyć mają lub sędziowie pokoju lub radcy obywatelscy a w ich niedostatku podsędek; że w razie śmierci lub niewoli posła sejmiki do nowego wyboru będą zwołane. Tego samego dnia zapadło i drugie prawo, mocą którego członkowie Izby oddalający się bez pozwolenia lub przetrzymujący urlop tracą swoje miejsca. Marszałek nie może dawać urlopów jak na dni 15, a wcale ich udzielać nie będzie, skoro komplet Izby wynosić będzie tylko połowę członków więcej 10. Co do senatu postanowiono, iż komplet senatu składa się z 19-tu senatorów.

Na posiedzeniu 12-go lutego Świdziński zawiadamił Izbę, iż minister spraw zagranicznych we Francyi na posiedzeniu 29-go stycznia zapawnił, iż, ponieważ od konsula francuzkiego w Warszawie żadnego nie otrzymał uwiadomienia o znalezionych w Warszawie korespondencyach, udowadniających zamiary Rosyi, ażeby zmusić Francją do przywołania starszej linii Burbonów, uważa te wieści za płonne. Gustaw Małachowski, odpowiadając na te wnioski, dosyć niejasno na to odpowiedział, bo w całej mowie nie znajduję śladu, ażeby ta korespondencya była za pośrednictwem dyplomacyi komunikowana.

Kiedy tak Izba nasza zajmowała się w istocie mało znaczącemi przedmiotami, wojska rosyjskie rozpoczęły działanie zaczepne. Przebyły Niemen w kilku punktach, mianowicie: uaprzeciw Augustowa korpus księcia Szachowskiego z dywizją grenadyerów, ile mówiono, liczącego 18 batalionów, 4 szwadrony i 60 dział, tudzież parę kozackich pułków. Tę siłę oceniano na 18,000 ludzi. Drugi oddział koło Grodna pod wodzą generała Mandersterna, wynosił 7,000 ludzi, a składał się z 5-ciu batalionów, 2-ch szwadronów, 12-tu dział i 1-go pułku kozackiego. Koło Tykocina przeszedł granicę generał Rosen z korpusem litewskim, t. j. 24-tą i 25-tą dywizjami, mając przytem 24 szwadrony, 120 dział, 2 pułki kozackie, w ogóle 30,000 ludzi. Przy nim znajdowała się główna kwatera feldmarszałka Dybicza, a przy niej 2,000 żołnierzy. Pod Surazem przeszedł 1-y korpus z 3 dywizyi złożony, a liczący 24,000 ludzi, mając 21 batalionów, 16 szwadronów, 72 działa i 2 pułki kozackie. Cokolwiek niżej generał Witt, dowodzący oddziałem 14,000 ludzi, a złożonym z 4-ch batalionów, 48 szwadronów, 43 dział. Przez Bug przeprowił się korpus w-go księcia Konstantego, wynoszący 24,000 ludzi, a mający 22 bataliony, 12 szwadronów i 36 dział. Pod Brześciem pułkownik Anrep na czele dywizyi ułanów i pułku kozackiego w sile 3,000 ludzi. Pod Włodawą wkroczył generał Geismar na czele 6,000 ludzi to jest 24 szwadronów, 24 dział i 2 pułków kozaków, nakoniec pod Uściługiem przeprowił się generał Kreutz także z siłą 6,000 ludzi, to jest 24 szwadrony dragonów, 24 działa i 2 pułki kozackie. Ogół sił rosyjskich, które przekroczyły granicę 6-go lutego, wynosił 106 batalionów, 136 szwadronów, 396 dział i 11 pułków kozackich, a oceniano tę siłę na 132,000 ludzi, mianowicie 91,800 piechoty i 30,000 jazdy,

i 10,000 artylerji. Te wkracające wojska tworzyły na prawém skrzydle siłę 25,000, w środku 96,000, na lewém skrzydle saméj jazdy 15,000. Obydwa skrzydła przebyły granicę 5-go lutego, inne 6-go. Korpus Rosena skierował się ku Łomży, Pahlena ku Ostrołęce, w-go księcia ku Sokołowi, Witta na Ciechanowiec, Geismara ku Wieprzowi, a Kreutza na Lublin.

W Petersburgu otrzymano wiadomość o sesji z dnia 25-go stycznia 30 stycznia i natychmiast wydano rozkazy, ażeby wojska rosyjskie wkroczyły do Królestwa i siłą przytłumiły bunt, jeżeli mieszkańcy i władze uległości nie okażą. Feldmarszałek Dybicz wskutku tego ogłosił dwie proklamacye, obie bez daty, lecz w styczniu wydane. Co do wojska proklamacya ta, przypominając wykonaną przysięgę, wzywała do jój spełnienia przez posłuszeństwo rozkazom. Do polaków — obwieszczała, iż za zbliżeniem się wojsk cesarskich należy mieszkańcom wyjść naprzeciw tychże z białą chorągwią, obiecując zupełne przebaczenie wszystkim, co w tymże sposobie do posłuszeństwa prawej władzy wrócą. Obydwie te proklamacye w aneksach dołączam.

Wojsko polskie zajmowało następujące pozycye: w twierdzy Zamłościu znajdowało się prócz artylerji miejscowej 5 batalionów piechoty, w Lublinie były tylko formujące się nowe pułki piechoty i jazda Jaraczewskiego; ta ostatnia zaraz za wkroczeniem wojska rosyjskiego udała się do sił głównych, bo pułk ten już był umundurowany i uzbrojony. Co do piechoty, ta ustąpiła w Sandomierskie. Rezerwa kawaleryi to jest V-te i VI-te szwadrony z okolic Łowicza posunęły się do Góry Kalwaryi i nad tą siłą objął dowództwo generał Dwernicki. W Modlinie zostawiono na garnizone 5 batalionów. W Warszawie jako garnizon pozostały gwardya narodowa, która wynosiła do 5,000 ludzi, wprawdzie z użyciem broni nie obznajomionych, lecz którzy do patrolowania i trzymania straży użytymi być mogli, a nadto formowały się tutaj jeden pułk piechoty zwanéj „Dziećmi warszawskimi“, jeden pułk jazdy i owe legie świeżo przez sejm nakazane, pod nazwą „litewskiej“ i „wołyńskiej.“ 38 batalionów piechoty dobrze uzbrojonej stanowiło prawdziwą siłę, przy tém znajdowała się cała artylerya, której siłę powyżej opisałem, nakoniec co do jazdy, z dawnych pułków było jój 36 szwadronów, z nowych zaś przybyło dwa pułki mazurów kaliskich, tyleż mazurów krakowskich, jeden pułk z Mazowieckiego, jeden pułk z Lubelskiego, inne zaś jeszcze nie były gotowe w uzbrojeniu, lecz zwolna po rozpoczęciu kroków wojennych na linię bojową przybywały. Linia bojowa wojska polskiego zajmowała prawem skrzydłem Siedlce, posuwając swoje przednie straże ku Międzyrzecowi, środek zajmował pozycye nad Liwcem, posuwając swą przednią straż za Węgrów ku Bugowi, nakoniec lewe skrzydło zajmowało Łomżę, posyłając swe forpocztę do Długosiola. Lecz to lewe skrzydło, którem dowodził Krukowiecki, zaraz za otrzymaniem wiadomości o wkroczeniu głównych sił rosyjskich w Augustow-

skie cofnęło się, zajmując Serock, Zegrz i opierając się o Modlin. Miał Krukowiecki pod sobą 13 batalionów, 18 dział i dywizyjną jazdę pod wodzą pułkownika Jankowskiego. Prawe skrzydło, dowodzone przez generała Żymirskiego liczyło 12 batalionów, 28 dział, zajmowało Kałuszyn, Mińsk i Siennicę. Generał Suchorzewski z dywizyjną kawalerją, złożoną z I-go i IV-go pułku ułanów i nowych pułków Lubelskiego i Sandomierskiego, zajmował Siedlce i jego okolice. Środek składał się z dywizji Skrzyneckiego, liczącej 8 batalionów i 8 dział. Dywizja ta znajdowała się w Warszawie i Okuniewie, lecz za otrzymaniem wiadomości o wkroczeniu rosyjan posunęła się aż pod Węgrów. IV-ta dywizja, należąca także do środka, pod wodzą Szembeka, liczyła 11 batalionów i 16 dział, i tak jak dywizja Skrzyneckiego, po części znajdowała się w Warszawie, po części w Stanisławowskim. Nadto przy środku były trzy dywizje jazdy pod wodzą generałów: kasztelana Żubieńskiego, Tomickiego i pułkownika Rutie. Przymiennie rezerwa artylerji składała się z 5-u baterji nowo wystawionych, jednej baterji rakietników i jednej baterji szkoły bombardyerów. Skoro doszła wiadomość o wkroczeniu rosyjan, dywizje Skrzyneckiego i Szembeka, tudzież główna kwatera opuściły Warszawę. Kwatera główna przeniosła się do Okuniewa, a dywizje pomienione posunęły się ku Węgrowi i Siedlcom. Żymirski zaś stanął nad Liwcem, a dywizja Jankowskiego na lewym skrzydle posunęła się do Ostrołki. Na lewym brzegu Wisły pozostały 3 bataliony z pułków I-go, V-go i VI-go. Ogólna siła czynnego wojska składała się z 44 batalionów, 78 szwadronów i 140 dział. Siłę tę podawano na 37,400 piechoty, 1,200 jazdy i 4,000 artylerji,—do 53,400.

Wojsko rosyjskie posuwało się szybko. Korpus Pahlena 8-go lutego zajął Łomżę. Formujący się tam pułk jazdy cofnął się bez oporu do Ostrołki, lecz nie zdołano wprowadzić założonego w Łomży magazynu. Za Pahlenem, wkrótce do Ostrołki przybył także i Rosen z główną kwaterą Dybicza, kiedy generał Witt zwrócił się ku Węgrowi a Anrep ku Siedlcom. Suchorzewski, który ze swoją dywizyjną jazdą zasłaniał Siedlce, zamiast bronienia téj pozycji opuścił to miasto, zostawując na łup założone w tém miejscu magazyny. Spowodowało to, że odebrano Suchorzewskiemu dowództwo, które powierzono Rutiemu a dywizja Żymirskiego posunęła się ku Siedlcom. III-i pułk ułanów wyparł rosyjan z Siedlec a brygada Rohlanda odzyskała Węgrów. Do tego czasu zdawało się, iż planem Dybicza było zatrudnić główne siły polskie nad Liwcem, ażeby forsownemi marszami z Ostrołki dostać się do Warszawy, lecz w nocy z 9-go na 10 ty lutego nastąpiła taka zamieć, iż zmusiła rosyjan do wstrzymania pochodu. Dołączyła się do tego obawa, że trudno będzie po lodzie przebyć Narew, Bug i Wisłę. Kiedy zamieć nie ustępowała, 11-go zdeterminował się Dybicz zmienić pierwsiastkowy plan. Wskutku tego korpus Rosena udał się do Broku, Witt do Nuru. W tém posuwaniu się spotkała się jazda Jankowskie-



go pod Długosiołem z rosyjską kawaleryą. 12-go lutego korpus Rosena zajął powtórnie Węgrów a główna kwatera zajęła Sokołów. Jankowski w Ostrołęce już nie znalazł rosyjan, Krukowiecki zaś wrócił na dawne stanowisko do Serocka. Żymirski zajmował Kałuszyn, Skrzynecki zajął pozycje przed Węgrowem, za nim zaś znajdował się Szembek. 13-go lutego korpus Rosena usiłował przejść Liwiec, na którym wszystkie mosty były poniszczone. Bronił tego przejścia III-ci batalion III-go pułku z dwoma działami. Przez cały dzień zatrudniono się tylko strzelaniem z dział, w nocy rosyjanie przebyli tę rzekę. W tymże samym dniu główna armia posunęła się pod Kałuszyn; lecz tutaj postanowił Dybicz wypocząć wojsku strudzonemu marszami i poczekać z jednej strony na nadsięgnięcie grenadyerów Szachowskiego i oddziału Mandersterna, którzy połączywszy się w Łomży, mieli rozkaz na Ostrołękę dążyć ku Wiśle i atakować Warszawę od przeciwnego brzegu Wisły. W tym planie Geisler i Kreutz mieli także rozkaz przepłynąć się przez Wisłę, pierwszy w Górze, drugi w Puławach, ażeby także Warszawę od strony południowej zaatakować. Wszystkie poruszenia wojsk rosyjskich z początku nadzwyczajnie szybko były wykonane. Kreutz 5-go lutego przeszedł Bug w Uściługu, 9-go zajął Lublin, 11-go znajdował się w Puławach i wkroczył w województwo Sandomierskie. Organizujące się w Lubelskiem siły cofnęły się jedne do Zamościa, drugie w Sandomierskie. Kreutz po drodze posłał parlamentarza, wzywając załogę zamojską do poddania się. Lecz dowodzący w twierdzy, Sierawski, odmówił wszelkiego zniesienia się. Za otrzymaną wiadomością, o posuwaniu się Kreutza i Geismara, który w tym samym czasie wyruszywszy z Włodawy posuwał się ku Łukowowi, Dwernicki 10-go lutego przeszedł Wisłę pod Mniszewem. Miał on pod swoją wodzą 14 szwadronów jazdy i dwa bataliony piechoty i przytem cokolwiek dział, mianowicie 3 czterofuntowe i 3 trzyfuntowe. Ta artylerya zostawała pod dowództwem księcia Puzyny. W jeździe znajdował się szwadron Kaliski, zwany „Krakusy kościuszkowskie“. Dwernicki posunął się przez Chotyń do Żelechowa. 13-go zebrały się siły jego w Miastkowie, z kąd miał zamiar przez Stoczek zabiedz drogę Geismarowi w Róży, lecz pod Stoczkiem spotkano już oddziały kozaków. 14-go z rana opuścił Stoczek, w którym nie zastał rosyjan, a, kiedy skierował się ku Seroczynowi, niedaleko Latowicza leżącemu, spostrzegł cały oddział Geismara uszykowany do przyjęcia bitwy. Na prawém skrzydle rosyjan ustawiona była bateria z sześciu sztuk dział, którą wspierały dwa pułki dragonów, na lewém ośm dział, które zabezpieczał pułk kozacki. Dwernicki ustawił w tym sposobie swoje działa ażeby mogły obydwóm baterjom rosyjskim odpowiadać, zabezpieczył je batalionem piechoty i szwadronem IV-go pułku ułanów, sam zaś na czele trzech szwadronów ustawił się w bok baterji nieprzyjacielskiej i podobnyż oddział pod wodzą majora Russyana z czterech szwadronów złożony ku drugiemu skrzydłu skierował; dwa bataliony zaś

z V-go i VI-go pułku w rezerwie ustawił. Dwernicki w tym razie okazał się naśladowcą Hannibala, który umiał zwyciężać a nie korzystać ze zwycięstwa. Lecz były do tego dość ważne powody, przybył bowiem do niego adjutant naczelnego wodza, Kruszewski, z doniesieniem, że Kreutz przebył Wisłę i posuwa się na Kozienice. Wypadało więc zwracać się dla obrony Warszawy od strony Pilicy. Tegoż jeszcze wieczora opuścił więc Stoczek i na Parysów, dążąc ku Wiśle, 15-go tę rzekę przebył. Tymczasem Dybicz 17-go lutego rozpoczął zaczepne kroki. Korpus Rosena posuwał się od Liwca ku Stanisławowi. Sam Dybicz szedł z Siedlec do Kałuszyna. Dywizye Żymirskiego były bardziej wysunięte ku Siedlcom i należało Skrzyneckiemu, który się znajdował pod Dobrem o tyle wstrzymać posuwanie się Rosena, ażeby dać czas Żymirskiemu wycofać się z swojej pozycji zanadto wysuniętej. Postanowił więc Skrzynecki, jakkolwiek z zamiarem cofania się, utrudniać ile możności posuwanie się Rosena. Wybrał więc pozycyą, w której z powodu lasu i płynącego strumyka pod Makowcem niepodobieństwem było Rosenowi rozwinąć swoje siły. Szczęściem dla Skrzyneckiego las był tak zwarty a droga tylko jedna, iż utrudniała wszelkie rozwinięcie sił. W podobnym położeniu ustawił batalion IV-go pułku w lesie, jako tyralierów, 3-ci batalion tegoż pułku z 3-ma działami bronił traktu. III-ci pułk piechoty stanowił lewe skrzydło a dwa bataliony IV-go pułku z czterema działami prawe skrzydło. VIII-my pułk i weterani stanowiły rezerwę. Prawem skrzydłem dowodził pułkownik Bogusławski, lewem Andrychiewicz, rezerwą i środkiem Skrzynecki. O 7-ój z rana rozpoczął się atak. Tyralierzy długo opierali się w lesie, lecz w końcu musieli się cofnąć do swojego pułku. Wtenczas rosyanie, wychodząc z lasu, chcieli się uszykować do bitwy; 4 działa, które były na trakcie ustawione niedozwolity im wyjścia, wtenczas, nie mogąc wyprowadzić artyleryi i jazdy spróbowano piechotę z lasu wyprowadzić, już nie traktem, i na czele czterech batalionów uderzono na IV ty pułk, lecz napróżno. Dopiero, kiedy zmiarkował Skrzynecki, że już Żymirski miał czas wycofać się, rozpoczął swój odwrót, który z takim porządkiem i impozycyą uskutecznił, iż rosyanie bynajmniej w cofaniu zawad mu nie stawiali. W tej bitwie z naszej strony stracono 300 ludzi. Z obu stron niewolników ani zdobyczy nie miano. Skrzynecki dnia tego cofnął się do Osieczyna pod Stanisławowem. Żymirski w cofaniu swoim ku Mińskowi miał tylko pod Janówkiem i Brzozową spotkanie swojej jazdy, w której półki Lubelski i Sandomierski jazdy brały udział. 18-go lutego obydwie dywizye Skrzyneckiego i Żymirskiego uskuteczniły dalsze cofanie. Skrzynecki dnia tego stanął w Okuniewie, gdzie się połączył z Szembekiem, Żymirski zaś cofnął się do Miłosny. Mówiono, że Chłopicki, zachęcony przez okazaną wytrwałość w bitwie pod Dobrem miał zamiar wydać pod Okuniewem lub Stanisławowem bitwę korpusowi Rosena. W istocie te dwie dywizye były dosyć silne, ażeby uskutecznić podobny zamiar który byłby może jeszcze

pomyślniejszym, gdyby zdołano w nocy Krukowieckiego z Radzimina w te strony ściągnąć, co nie było niepodobieństwem. Lecz cały ten plan Chłopiczkiego nie mógł być wykończonym z dwóch powodów: najprzód Rosen tak ostrożnie posuwał się, iż dopiero wieczorem tego dnia jego przednia straż dopadła do Stanisławowa, kiedy z drugiej strony Żymirski nie mógł utrzymać się przed naciskiem rosyjan w Miłosnie. W takim razie nie tylko nie można było myśleć o atakowaniu Rosena, lecz należało opuszczać Okuniew, ażeby się złączyć dla obrony Warszawy. W nocy więc z Okuniewa Skrzynecki i Szembek cofnęli się do Wawru a Krukowiecki z Radzimina do Grochowa. Tegoż dnia pod Cyganką szwadron Sandomierski, batalion II-go pułku i strzelcy Kuszla ucierali się z przeważnymi siłami rosyjskimi, bo 6-ciu batalionami piechoty i kilku szwadronami jazdy. Musiano się przebijać przez tę masę ze stratą 100 ludzi. 19-go lutego główne siły polskie były tedy zebrane pod Wawrem, Kawęczynem i Grochowem, rosyjskie zaś potoczyły się także, zajmując całą przestrzeń od Miłosnia do Okuniewa.

Dwernicki po bitwie pod Stoczkiem Wisłą przebył pod Górą 17-go lutego. Ztąd udał się do Mniszewa, gdzie zastał generała Sierawskiego z częścią wojsk, które cofnęły się z województw Lubelskiego i Sandomierskiego. Miał więc wtedy już siły między 5-ciu a 6-ciu tysiącami, z których jednak połowa nie była ani dostatecznie uzbrojoną ani w obrotach wojennych doświadczoną. Przyłączono jeszcze do jego oddziału 2 bataliony nowo uformowane. Bitwa pod Nową Wsią nastąpiła 19-go lutego.

Te przedwstępne kroki wojenne ulegać mogą krytyce. Ze strony rosyjan, jakkolwiek zajęcie trzech z ośmiu województw, a zatem  $\frac{3}{8}$  rozległości kraju i utrudnienie przez to dalszej organizacyi sił wojskowych polskich zapewniało wielkie korzyści, to z drugiej strony można uważać za błąd, iż zanadto wielkie siły przeznaczono do wkroczenia na tak rozległej linii, jak od Uściługa do Łosośny, lecz co więcej, że żadnego związku między temi oddziałami nie było i być nie mogło, bo linię operacyjną za obszerną wybrano. Drugi zarzut, jaki czynić można, było wkroczenie orpusu Szachowskiego w punkcie zbyt odległym od głównej armii, co wystawiało ten korpus na możliwe zniszczenie, gdyby o tém sztab wojska polskiego był pomyślał. Trzecim błędem było przedsięwzięcie marszu flankowego z Łomży do Węgrowa. Co do działań generałów Geismara i Kreutza, obydwóm zarzucić można, iż niepotrzebnie przyjechali bitwę, osobliwie Geismar, który był tak blisko głównych sił, że nic mu nie przeszkadzało z niemi się połączyć. Co do Kreutza, ten bezpieczniejby działał, gdyby cofnął się za Wisłę i jej przeprawy bronił. Co do wojska polskiego, jakkolwiek generał Chłopiczki w początkach rewolucyi wiele liczył na wyższość w manewrach, nie użyto wcale tego środka, chociaż miano przykład w kampanii Napoleona w r. 1814, jak z małemi siłami można się opierać przeważnym nieprzyjacielskim armiom. Zapewne, że skutek podobnych ru-



chów byłby niepewny; być może, iż stawiając na los szczęścia wszystko, można było od razu stracić wszelkie ratunku nadzieje, lecz w wojnie, bardziej jak w każdym innym wypadku, kto nic nie hazarduje, nic też nie zyskuje. Napoleon w zupełnie podobnym będąc przypadku, małe siły zostawiał w jednym punkcie, uderzając z głównymi siłami w inny. Pozycja Warszawy w tém trójkącie rzek i fortec właśnie była najdogodniejszą do podobnych działań. Może należało zostawić Warszawę własnemu losowi, osadziwszy fortyfikacye Pragi dla powstrzymania nieprzyjaciela. Wypadało w podobnym planie uderzyć z całemi siłami na ks. Szachowskiego, który był zbyt oddalony od głównych korpusów, ażeby mógł od nich otrzymać posiłki, wypadało mieć na uwadze, że od Modlina do Warszawy jednym dniem lewym brzegiem Wisły na jój ratunek można było zdążyć, lecz, kiedy już tego nie użyto sposobu, przedstawiał się i drugi, a tym zaatakowanie Rose na przeważnemi siłami; gdyby zamiast zostawienia oddziału Krukowieckiego w Radzyminie, Szembeka w Okuniewie, połączono je ze Skrzyneckim, z przeważną siłą można było Rosena pod Dobrem atakować, gdyż Dobre od szosy Siedleckiej o 3 mile odległe, a zatem mianoby czas znieść Rosena, nimby mu przybyły posiłki. Bitwa pod Nową Wsią, aczkolwiek nie krwawa, zawsze jednak nie tylko wstrzymała pochód Kreutza, lecz zmusiła go do opuszczenia lewego brzegu Wisły. Posuwając się ku Ryczywołowi, Kreutz wysłał silny oddział dla zajęcia Radomia, Generał Dziekoński, który tu dowodził, cofnął się do Szydłowca wraz z formującemi się oddziałami. Po utarczce pod Nową Wsią ustąpili rosyanie z Radomia a generał Dziekoński przesłał Dwernickiemu ostrzeżenie, iż jakiś nowy oddział rosyjski przebył Wisłę pod Górą Kalwaryą i zagraża Warszawie. Uwierzył temu doniesieniu Dwernicki i popełnił błąd, bo cóż było łatwiejszego, jak posłać jednego po kolei kilku oficerów, ażeby się o prawdzie przekonali. Z Ryczywoła do Góry jest mil 5, a zatem mógłby mieć tegoż samego dnia od wystawców relacye o prawdziwości doniesienia. Zamiast tego Dwernicki zostawiwszy Sierawskiego z nowemi pułkami, ze swoim oddziałem ruszył napowrót do Góry; zaniechał korzystać z odniesionego zwycięstwa, nie pogonił za Kreutzem a stracił kilka dni na bezpotrzebny marsz do Góry; po przekonaniu się, że tam nieprzyjaciela nie ma, wrócił do Kozienic, kiedy już Kreutz pod tém miastem Wisłę przebył, zkąd, cofając się na Bobrowniki, udał się osobiście do Lublina, zostawując generała Kawera z pułkami dragonów kazańskich i fiu-landzkich, rozłożonych w Puławach, Kazimierzu i okolicy.

Położenie, które oddawna wybrano dla stoczenia walnej bitwy, było następujące:

Od Wisły, która naprzeciw Czerniakowa płynie pod wsią Zbytki, zaczyna się las młodociany sosnowy, mocno zwarty, który zakreśla półkole, idąc obok wsi Zastawa, karczmy pod Wawrem, do Kawęczyna a ztąd w prostą linię do Ząbków i dalej ku Wiśle znowu zbliżając się do wsi Grodziska. Przestrzeń tym lasem okolona składa, się naj-

przód z jeziora czyli łachy pod Gocławiem. Do tego jeziora wpada mała rzeczka, na której postawiony jest młyn, ta rzeczka zaś bierze początek w Miłosnie. Jezioro samo dopiero do szosy, prowadzącej z Warszawy do Miłosny. W drugiej stronie tejże szosy a niedaleko od Grochowa zaczynają się łąki bagniste, które się ciągną prawie do Kawęczyna, w środku zaś tych łąk był wówczas lasek olszowy. Łąki te i lasek dla osuszenia właściciele poprzeczynali licznymi rowami, w których wodę w rozmaitych kierunkach ku Wiśle odprowadzano. Co zaś w tej okolicy nie było łąką, stanowiło grunt piaszczysty. Od strony północnej położenie nie było ani tak silne ani przeszkodami podobnymi opatrzone. Są to po największej części piaski, wydmy wzgórzyste, na których w prostym kierunku od Ząbek ku Wiśle położona wioska Białoteka a cokolwiek bliżej pod Pragę, prawie w miejscu którejdy poprowadzona szosa do Radzymina, wieś Brudno, a tuż za Pragę Targówek. Tę pozycją wybrano dla stoczenia bitwy. W istocie pozycja ta przedstawiała tę korzyść, iż rowy stanowiły wielką przeszkodę tak dla jazdy jak dla artylleryi nieprzyjacielskiej, lecz z drugiej strony pozycja ta miała także swoje niedogodności, a to iż siły nieprzyjacielskie, w lesie ukryte, nie były wystawione na tak dotkliwe straty z ognia działowego, jak te, które w otwartem polu się znajdowały i że w każdym razie przedstawiały miejsce bezpiecznego schronienia się. Zastanowienia godną jest rzeczą, iż kiedy na tym pobojowisku zamierzono od początku lutego stoczyć walną bitwę, nie starano się pozycyi tej umocnić okopami, któreby osłonić mogły ustawione za niemi artylleryą i piechotę. Ten zarzut szczególnie się ściąga do owiej olszyny, którą za klucz położenia uważano.

19-go lutego rozpołożenie wojska polskiego było następujące: dywizya Szembeka zajęła ów młyn pułkiem grenadyerów i dwoma pułkami strzelców. Za Szembekiem w rezerwie stała dywizya Żubieńskiego jazdy, przypierając aż do jeziora. Pod olszyną ustawiono dywizyą Skrzyneckiego, za nią ku Pradze resztę jazdy. Dywizya Krukowieckiego zajmowała Kawęczyn i Ząbki, uakoniec Żymirski stał w pierwszej linii przed Skrzyneckim. Główna kwatera zajmowała pałacyk w Grochowie. 19-go około 10-éj z rana siły rosyjskie zaczęły wychodzić z lasów miłosieńskich. Że dywizya Żymirskiego przez dni poprzednie była ciągle w boju, broniąc Miłosny, Chłopicki rozkazywał Szembekowi, ażeby ją zastąpił i odtąd rozpoczęła się dnia tego w tej stronie walka między dywizyą Szembeka a korpusem Pahlena, który usiłował wyjść z lasu i spędzić wojska polskie z pozycyi zajętej. W tym punkcie prawie cały dzień zszedł na ciągłych z obydwóch stron walczących atakach. W tymże samym prawie czasie korpus Rosena pod Kawęczynem wysunął się z lasu. Krukowiecki, który w tych stronach zostawał, odpierał podobnie te posuwające się masy. W całodziennym tym boju z rozmaitem szczęściem powodziło się. Przy ataku na bagnety grenadyerów pod wodzą samego Chłop-

pickiego zniszczono prawie jeden rosyjski batalion; udało się nawet parę dział zagwoździć, które jednak uprowadzić nie zdołano. Z drugiej strony w innym ataku, piechota polska odpartą została do młyna, przyczem rosyanie wzięli do niewoli podpułkownika Bortkiewicza i majora Sosenkowskiego. Bitwa zakończyła się o 5-tój po południu. Rosyanie cofnęli się napwrót do lasu. W tém pierwszym spotkaniu już okazały się skutki nieposłuszeństwa, które wynikało ze szczególnego położenia, jakie miał przy wojsku generał Chłopicki. Wodzem naczelnym był ks. Radziwiłł, lecz w wistocie żadnych nie wydawał rozkazów, te zaś udzielał Chłopicki, który w granatowym surducie, bez szlif i bez pałasza, tylko z szpicrutą w rękę, nie tylko wszystkie rozkazy dawał, ale dnia tego i następnych sam pułki w ogień prowadził. Jedni generałowie słuchali go i wypełniali jego zlecenia, takimi byli Skrzynecki, Szembek i kilku innych, kiedy przeciwnie Krukowiecki, który komenderował dywizją i Żubieński, który komenderował także dywizją, w miarę swojego przekonania albo słuchali, albo téż nie wypełniali rozkazów Chłopickiego.—I tak właśnie w tym dniu: Tomasz Żubieński a nawet Żymirski nie chcieli wypełnić danego im zlecenia atakowania wychodzących z lasu wojsk. Jakkolwiek blisko 8 godzin w tym dniu bój prowadzono, straty z obu stron nie były tak znaczne, lecz postanowiono zmienić cokolwiek pozycją wojska i dywizją Szembeka cofnięto aż pod karczmę Wawru, polecając jej zajęcie przestrzeni od szosy do bagna Gocławskiego.

20-go wojsko polskie zajmowało następujące pozycje: Szembek, jakśmy wspominali, od Wisły do Wawru, Skrzynecki ku olszynom, od olszynek do szosy Żymirski i za Skrzyneckim Krukowiecki, cała zaś jazda zajmowała przestrzeń między Skrzyneckim a Żąbkami. Uważano, iż wielki błąd popełnionym został, iż drugiego mostu nie postawiono w Pradze, aczkolwiek bowiem Wisła jeszcze nie puściła, lód już był staby. Lecz z drugiej strony zarzut ten może nie był sprawiedliwy, bo wiadomo, iż wraże puszczenia Wisły żaden most ostać się nie może. Dopóki więc Wisła stała, drugi most nie był potrzebny, gdyby zaś puszczala, obydwą mosty byłyby bezużyteczne.

20-go lutego ponowił Dybicz swoje ataki. Rozpoczął je tą razą korpus Rosena, atakując olszynę. Po dosyć długiej kanonadzie posunęły się masy piechoty ku olszynie, które ciągle odpierał walecznie pułk IV-ty piechoty. O pierwszej zluwowano ten pułk V-ym pułkiem. Koto godziny 3-jej cofnęły się kolumny rosyjskie do lasu i resztę dnia tylko działa w czynności zostawały.

21-go przybył parlamentarz z żądaniem zawieszenia broni dla pogrzebania zabitych, na które się zgodzono. 19-go przybył do Warszawy generał Umiński, który był więziony w fortecy w Prusiech, z kąd zdołał uciec a wówczas całą jazdę rezerwową podzielono na dwa oddziały. Dotąd komenderował nią Weisenhoff, tego usunięto i jedną część téj jazdy powierzono Umińskiemu, drugą Tomaszowi Żubieńskiemu. 22-gi i 23-ci przeszły bez żadnych z obu stron dzia-



łań; 23-go przeszedł korpus Szachowskiego przez Bug pod Zegrzem i zajął Nieporęt. Odłączono dywizye Jankowskiego z oddziałem kurpiów augustowskich dla uważania jego poruszeń. Szachowski zamiast ażeby dążył na Kobyłkę dla połączenia się z Dybiczem, z Nieporętu udał się do Białoteki. To spowodowało, że Krukowieckiego dywizyą oddzielono od głównego wojska, ażeby Pragę od tej strony zasłonić. 24-go brygada Małachowskiego ucierała się w Białotę z korpusem Szachowskiego, dopiero 25-go lutego nastąpiła główna bitwa.

Krukowiecki rozpoczął działanie zaraz z rana i wyparł Szachowskiego z Białoteki. Czy ze strony Szachowskiego było to w ogólnym planie, ażeby przełamaniem szeregów Krukowieckiego zając tył pozycyi środka i prawego skrzydła, i zmusić go do cofnięcia się za Wisłę, czy też była to tylko demonstracya dla odciągnięcia sił polskich do olszyny i Wawru, nie jest wiadomém, bo w raportach rosyjskich o tym szczególe żadnego nie znajduję objaśnienia, lecz wnoszę, że drugi wniosek jest bliższy rzeczywistego planu, bo zmuszenie do cofnięcia się armii jeszcze nie tkniętej nie byłoby żadną korzyścią i gdyby miano plan podobny, to Szachowski wiecejby się upierał w obronie Białoteki i wiecejby mu powierzono sił. Lecz także nie można przemilczeć, że jeżeli miano zamiar odciągnąć od głównej armii silny oddział i udaremnić jego współdziałanie w głównej bitwie, to należało okazać wiecej wytrwałości w utrzymywaniu pozycyi Białoteki, tam bowiem już o godzinie 10-ój zrana bitwę zakończono. Krukowiecki, uderzywszy na Białotę, zdobywszy tę pozycyą, wzięwszy cokolwiek niewolnika i parę dział, dozwolił Szachowskiemu cofnąć się przez lasy z pozycyi Białoteki dla połączenia się z Rosnem, a raczej dla zastąpienia Rosena w położeniu na przeciw Kawęczyna. VI-y pułk zdobył Białotę i 3 działa. Rosyanie nie kusili się o odnowienie bitwy i, jak się wyżej rzekło, cofnęli się ku głównej armii. Co do Krukowieckiego, ten, uradowany z powodzenia, jazdę Jankowskiego posłał do Jabłonny dla zapewnienia się, czyli od tej strony jakowe siły rosyjskie się nie znajdują, sam zaś kilka godzin pozostał pod Białotką i dopiero ku wieczorowi ruszył się ku Żąbkom, mimo że kilku adjutantów Chłopickiego, mianowicie Tomasz Potocki ciągle przybywali z rozkazami, ażeby przybywał dla wzmocnienia dywizyi pod olszynką, wytrzymujących silne natarcie rosyjan. Krukowiecki, ile mówiono, oświadczał adjutantom, iż nie może słuuchać rozkazów Chłopickiego, którego położenie u wojska jest niewiadome, że tylko słuuchać będzie rozkazów naczelnego wodza, ks. Radziwiłła. Była to zapewne ekskuza usprawiedliwiona, lecz widoczném było po cofnięciu się Szachowskiego, że korpus Krukowieckiego w bezczynności zostawać będzie. Mógł więc Krukowiecki nawet bez rozkazów zbliżyć się do linii operacyjnej. Chłopicki później nadmienił, iż to nieposłuszeństwo Krukowieckiego stało się powodem przegranej bitwy, że gdyby miał jego dywizyą piechoty do użycia, była chwila, w której mógł być zaczepne kroki rozpocząć. Dodawał, że gdyby był został

przy władzy, pociągnąłby Krukowieckiego pod sąd za to nieposłuszeństwo. Jednego jeszcze szczegółu o tej bitwie Białoleńskiej przemilczeć nie można, tym jest piękny opór XX-go pułku piechoty, uzbrojonego kosami, na który uderzył pułk kirasyerów. Świeże to wojsko z samych rekrutów złożone, wytrzymało atak i nie dało się wprowadzić w nieład.

Skoro usłyszano huk dział od strony Białoleki, rozpoczął koło godziny 8-jej feldmarszałek Dybicz swoje zaczepne działania. Korpus Pahlena o 9-jej na lewem skrzydle rosyjskiem uszykował się w następującym porządku: I-sza dywizya na samej szosie, II-ga i III-a w pewnem oddaleniu na prawo; każda dywizya tworzyła dwie linie. W tymże samym czasie korpus Rosena zajął prawe skrzydło rosyjskie. II-ga dywizya grenadyerów, III-a jazdy i gwardye tworzyły rezerwę, a za korpusem Pahlena ustawiono 6 pułków jazdy. Wojsko polskie zajmowało dawne pozycye, to jest: przed Grochowem dywizya Szembeka, strzelcy zajęli ową błotnistą kępę koło młynów pod Wawrem, za nimi pod małym laskiem i przy drugiej błotnistej łasze ustawiono grenadyerów Mirberga jako rezerwę. Na samej szosie ustawiono baterią pozycyjną Piętki. Na lewo były dywizye Żymirskiego i Skrzyneckiego. Tu usypano naprędce baterią. Dywizya Żymirskiego obsadziła olszynkę, a Skrzyneckiego stała w drugiej linii w rezerwie. Pod Pragę ustawiono XIX-ty pułk, w kosy uzbrojony, dowództwa pułkownika Szymanowskiego. Miał on służyć głównie, jak część gwardyi narodowej warszawskiej do zbierania rannych. Cała jazda stała na lewo, rozciągając się aż do Pragi. Jazda zaś Umińskiego pilnowała punktów Kawęczyna i Żąbków, i utrzymywała związek z korpusem Krukowieckiego. Główne usiłowania rosyan zwróconemi zostały na opanowanie olszynki, która zakrywała zupełnie lewe skrzydło polskie, a przez to korpus Pahlena nie mógł się wzdłuż szosy posuwać, dopóki ten ważny punkt nie byłby opanowany. Postąpiła naprzód cała XXIV-ta dywizya, lecz kiedy okazało się, iż ta siła była niedostateczną, posłał jeszcze Dybicz i XXV-tą dywizyą, tak iż tę olszynkę atakowało jednocześnie szesnaście batalionów. Obsadzona była olszyna brygadą generała Żymirskiego. Ciągłe posyłał Chłopicki do Żymirskiego rozkazy, ażeby pod żadnym pozorem nie opuszczał tej pozycji. Żymirski oświadczał adjutantowi, iż czyni co może, lecz straciwszy już mnóstwo ludzi, bez posiłków utrzymać tej pozycji nie zdoła. Posłano więc z dywizyi Skrzyneckiego brygadę Bogusławskiego dla złuzowania Żymirskiego. Jednocześnie brygada strzelców z dywizyi Żymirskiego zatrzymała swoją poprzednią pozycyą po lewej stronie olszynki. Odwołano także Mirberga, któremu rozkazano zbliżyć się do głównych sił. Kiedy Bogusławski z IV-ym i VIII-ym pułkami wkraczał do olszyny, Żymirski śmiertelnie został ranny. Mimo całej waleczności brygady Bogusławskiego, wkrótce rosyanie zmusili tę brygadę do opuszczenia olszynki. Wtenczas Chłopicki na czele grenadyerów Mirberga, a Skrzynecki ze swęj strony uderzają na XXIV-tą dywizyą, a przy pomocy kartaczowego ognia

z naszych baterii zmuszają pułki Białostocki, Ingermanlandzki i Kutuzowa, które prowadził do ataku generał-kwatermistrz Niedhardt do cofnięcia się w Miłoseńskie lasy. Atak ten był tak silny, że i XXIV ta dywizja opuściła zdobytą już olszynkę. Kiedy to się w tym punkcie dzieje, Dybicz rozkazał, ażeby od strony szosy na prawém naszym skrzydle przypuścić atak jazdy. Spostrzegł przygotowania do tego Chłopicki i rozkazał adjutantowi swemu Leskiemu, żeby mu natychmiast przyprowadził dwie brygady jazdy. Ta, jak się nadmieniło, stała w tyle ku Pradze, a dowodził nią Tomasz Łubieński. Generał ten oświadczył, że innych rozkazów służyć nie może, jak wodza naczelnego ks. Radziwiłła, dodał jednakże, iż nie pojmuje co generał Chłopicki zamierza czynić z jazdą w pozycji, gdzie z jednej strony las a z drugiej łąki, rowami poprzerywane, które użyć jazdy nie pozwalają. Dodał, iż nie zaprzecza, iż generał Chłopicki jest doskonałym dowódcą piechoty, lecz na użytku kawaleryi widać że się nie zna. Zdaje się, że Chłopicki, widząc prawe skrzydło rosyjskie odparte i w nieporządku cofające się, miał nadzieję zwycięstwa i dlatego żądał tej jazdy, którą mu odmówiono. Udał się wówczas do dywizji Szembeka, która dotąd w czynności nie była, gdyż w tej stronie ograniczano się wzajemnie na ciągłym ogniu z dział. Chłopicki ostrzegł Szembeka o zbieraniu się jazdy rosyjskiej, ażeby się do niej wstrzymywania przygotował. Była już godzina 3-a, kiedy dwie brygady grenadyerów posunięto dla zdobycia znowu olszyny. Tymczasem Chłopicki od Szembeka udał się do ks. Radziwiłła, który stał ze swoim sztabem koło żelaznego pomnika, ustawionego na pamiątkę wykończenia szosy brzeskiej. Tam doniósł mu o odpowiedzi Łubieńskiego i prosił, ażeby temuż rozkazał z całą swoją kawaleryą udać się do Szembeka, ażeby rozpocząć atak na korpus Pahlena, poczem wrócił do pierwszej linii, lecz zaledwo tam się znajdował, kiedy granat pękł pod jego koniem. Był to już trzeci koń, którego w tym dniu pod nim ubito i dotąd otrzymał tylko lekką ranę, która mu dozwalała być czynnym. Tą razą odłamy granatu w obydwie go nogi raniły. Musiano po opatrzeniu ran na noszach odnieść go, a pułkownik Rzepecki dał mu swoje konie, które go do Warszawy odwiozły. Dotąd bitwa była nie zdecydowana, nawet zdawało się, że korzyści są po stronie wojska polskiego. Korpus Rosena tyle ucierpiał, że go w ogień już wprowadzić było trudno i zostawały tylko jazda, Pahlen i Szachowski. Lecz, kiedy Chłopicki przestał dowodzić, znalazły się rozmaite oddziały bez ogólnej spójni i odtąd bitwa zaczęła słabnąć, témbardziej że jednocześnie, od strony Kawęczyna Szachowski z lasów zaczął ze swoim korpusem wychodzić i na linię bitwy przybywał. Stał w tamtej stronie Umiński i pierwszy się spotkał z jazdą Szachowskiego i jego grenadyerami i zmusił do cofnięcia, lecz natychmiast posłał do Krukowieckiego, ażeby przybywał mu w pomoc, lecz nim to ustatąpiło, ogień działowy Szachowskiego zmusił dywizję Skrzyneckiego do opuszczenia olszyny. W tej chwili, to jest koło godziny 4-jej pozycja



była następująca: korpus Pahlena, dotąd nieczynny, zajmował pierwszoklasowe swoje pozycje, korpus Rosena i druga dywizja grenadierów opanowały olszynę i Kawęczyn. Korpus Szachowskiego zajmował Ząbki. Linia polska opierała się obecnie o Grochów, a rozciągała się do Ząbków. Brygada Rohlauda wzmocniła generała Umińskiego, do którego nakoniec przybył także i Krukowiecki. Wtemczas Dybicz ustawił baterią z 60-ciu dział z XVII-ój, XVIII-ój, XIX XX-ój baterii konnej pułkownika Renne, które straszliwy rozpoczęły ogień. W tej samej chwili przypuszczono atak na prawe nasze skrzydło, złożone z 3-ch dywizji jazdy. Dywizja kirasyerów, złożona z kirasyerów, z pułków ks. Alberta, Nowgorodzkiego, Starodubskiego i 5-go Jerzego posuwały się szosą, mając po lewej dywizję huzarów, a po prawej dywizję ułanów. Ten atak wsparty został korpusem Pahlena jako rezerwą. Prawe skrzydło wojska polskiego, mianowicie pułk strzelców dawny Szembeka nie dotrzymał placu i poszedł w zupełną rozsypkę, ratując się ucieczką przez Saską Kępe i Wisłę. Pułk kirasyerów ks. Alberta, idący na czele kirasyerów, zapędził się zanadto daleko, a minąwszy pierzchających a nawet baterią Rzepeckiego, natrafił na brygadę Kickiego, która go rozbiła. Wzięto do niewoli paręset ludzi i pułkownika, dowodzącego tym pułkiem, równie jak kilku oficerów niższych stopni. Na tém się bitwa skończyła. Wszystkie pułki, widząc rozbite prawe skrzydło, cofnęły się przez Pragę do Warszawy, zostawując tylko w Pradze silną załogę.

Bitwa ta niewątpliwie przez wojsko polskie przegrana została, bo nie tylko, że plac boju opuszczonym został, że prawe skrzydło w rozsypkę poszło, ale nawet wojsko rosyjskie na placu boju, który zajmowało wojsko polskie, założyło swój obóz i na nim blisko 48 godzin pozostawało.

Ze strony wojska polskiego popełniono wielkie błędy, pierwszy że ustawiono całą jazdę w miejscu, w którym działać nie mogła, kiedy, jeżeli nie wszystką, to przynajmniej znaczny jej oddział można było ustawić w rezerwie za prawem skrzydłem, drugim może błędem było, iż mając przeważne siły w jeździe, bo blisko 12,000 nie użyto jej zupełnie i nie próbowano ataków jazdy na korpus Pahlena. Jakkolwiek generał Chłopicki mniemał, kiedy udało mu się odeprzeć atak Niedhardta i wprowadzić w nieporządek XXIV-tą i XXV-tą dywizyje, że bitwa byłaby wygraną, gdyby w tej chwili jazda wykonała natarcie, zdaje się jednakowoż, że i w tym razie wygrana nie byłaby zapewnioną, bo przeważne zostawały jeszcze siły rosyjskie zupełnie nie tknięte a takimi były najprzód cała jazda, dalej korpus Pahlena, Szachowskiego i W-go Xięcia, siły, które mogły wznowić bitwę i naprawić powstały nieporządek.

W ogóle przyznać należy, że siły nie były w możliwym stosunku otrzymania stanowczego zwycięstwa, nawet położenie, jakie obrano, nie dozwalało mieć nadziei wielkich korzyści, bo lasy Miłoseńskie sta-

nowiły dla cofającego się rosyjskiego wojska rodzaj twierdzy, nader łatwą obronę stanowiącą w razie porażki. W bitwie tej w istocie miały udział z naszej strony tylko artylerya i piechota i to nawet nie cała, bo całe prawe skrzydło nasze a lewe rosyjskie przez cały dzień stały tylko w asekuracji dział. Bitwa prawdziwa i zacięta miała miejsce w środku, to jest w olszynie i w tej brały udział z naszej strony dwie dywizye, Żymirskiego i Skrzyneckiego, a ze strony rosyjan korpus Rosena i część rezerwy. Ze strony rosyjan zarzucić można, iż atak jazdy, który bitwę zakończył, za późno przedsięwzięto, że również za późno wprowadzono na linię bojową korpus Szachowskiego, że, gdyby te działania o dwie godzin przyspieszono, może zdołanoby większe odnieść korzyści, lecz to wszystko nastąpiło przed samym wieczorem a wkrótce noc zapadła nie dozwoliła odnieść korzyści ze zwycięstwa. Wojsko polskie bez przeszkody cofnęło się do Warszawy. Do tych wszystkich szczegółów dodać należy to, co w raportach Dybicza do cesarza było zamieszczone. Najprzód co do ataków, jakie rosyjanie przedsiębrali, donosił feldmarszałek, że pod Dobrem stracono 400 ludzi w zabitych i rannych a między zabitymi pułkownika Filimonowa. Donosił, że wzięto jedno działo, 200 niewolników, między którymi pułkownika Zawickiego. W dniu 20-go lutego wydano ogólną bitwę około godziny 10-jej z rana. Donosi, iż dla trudności rozwinięcia kolumn, czoło korpusu Pahlena przez 3 godziny, mianowicie: jedna brygada piechoty, jeden pułk strzelców, jedna brygada ułanów i jedna huzarów musiały wytrzymywać napady jednej dywizyi pieszej i jednej konnej przy współdziałaniu 40 dział. To zmusiło Pahlena do cofnięcia się o 2 wiorsty. Kiedy później wzmocniono Pahlena, odzyskano utracone pozycye i wzięto do niewoli majora <sup>1)</sup> Bortkiewicza. Przyznaje się do straty w zabitych i rannych ludzi 2000, między którymi ranny generał adjutant Suchozanet i generałowie Własow i Afrozymow, tudzież pułkownik Bidasko. Donosi, że ujęto do niewoli 500 ludzi, między którymi podpułkownik Kiwerski. W raporcie późniejszym donosi, iż 24-go lutego książę Szachowski, zamiast, ażeby się udał z Nieporętu do głównej armii, zaczepiony przez wojsko polskie, posunął się do Białoleki, i przez to odstąpił od zamierzonego planu. Tu rozpoczął bój, kiedy więc feldmarszałek usłyszał mocną kanonadę od Białoleki, polecił, ażeby rozpoczęto na całej linii bitwę. Dalej raport nie różni się od powyżej umieszczonego opisu. Przyznaje, że trzy razy zdobywano olszynę, i trzy razy musiano ją opuszczać. Donosi dalej o uderzeniu jazdy, nadmienając tylko, że prócz dywizyi kirasyerów znajdowały się tylko dwa pułki ułanów, że ta kawalerya doznała wielkich przeszkód, bo trzeba było przebywać trzy głębokie rowy. Píše, że dopiero później Pahlen ze swoimi huzarami rozpoczął także działanie. W tym raporcie stratę swoją podaje na 1000 zabi-

<sup>1)</sup> Wyżej nazywał go Dembowski Popułkownikiem.

tych a 3000 rannych. Donosi, że jeńców wzięto 500 i zdobyto 3 armaty. W późniejszym raporcie donosi Dybicz, iż w pierwszych chwilach doniósł o stracie, kiedy jeszcze szczegółowych nie otrzymał raportów. Po ich odebraniu okazało się, że w dniu 25-go lutego ogólna strata w poległych i rannych przenosi 8,000. Ranni zostali generał lejnant Kabłoków, generał major Dobryczyn i generał major Własow.

1-go marca major-podpułkownik Zwoliński z VIII-go pułku przeszedł do rosyjan. O stratach naszych żadnego śladu nie posiadamy. Widać, że nie chciano ogłaszać, ażeby nie osłabiać ducha, tak w wojsku, jak w narodzie. Zdaje się jednak, iż straty w wojsku polskiem były nie mniejsze jak w rosyjskiem. Najprzód co do ujętych w niewolę, tych pewno więcej nie było, jak to, z czem się feldmarszałek chwali a do tego dodać należy, że pomiędzy tymi najznacniejsza część byli to ranni, których nie zdążono w czasie boju z placu usunąć. Że zaś straty nasze w zabitych i rannych nie mogły wynosić 8000, dowodzi najlepiej, iż w istocie dwie tylko dywizye były w ogniu, które gdyby podobne straty poniosły, przestałyby istnieć, bo nasze dywizye nie były tak silne.

Dla czego Dybicz nie korzystał ze zwycięstwa? W popłochu, jak panował, należało mu—tém bardziej—opanovać Saską Kępe, usiłować przejść Wisłę. Że tego nie uczynił, ułatwił wojsku polskiemu zreorganizowanie się i chwila stracona już się nie dała wynagrodzić.

Nazajutrz książę Radziwiłł złożył naczelne dowództwo. Kiedy w istocie był tylko firmą, a wszystkie dyspozycje wydawał generał Chłopicki; zastanawia, iż rozkazem dziennym, przynajmniej w dzień bitwy Grochowskiej, nie polecił wszystkim dowódczom, ażeby rozkazom Chłopickiego byli posłuszni. Wymieniłem zdanie, iż zwycięstwo dla naszego wojska było zawsze rzeczą wątpliwą, lecz niema także wątpienia, iż przegrana, alboby nienastąpiła, albo nie byłaby tak zupełną, gdyby nie nieposłuszeństwo generałów Krukowieckiego i Łubieńskiego.

Chłopicki, po opatrzeniu ran, odjechał do Krakowa i już tam ciągle zamieszkał.

Wojsko polskie, aczkolwiek w niezupełnym porządku, koło godziny 1-szej w nocy ukończyło przejście przez most; jazdę odesłano zaraz do wsi przyległych Warszawie, piechota stanęła na ulicach. Książę Radziwiłł ze swoim sztabem ostatni z wojskowych przez most przebywał. Skoro do Warszawy przybył, udał się na posiedzenie rządu dla zdania sprawy z położenia. Oświadczył zarazem, iż dłużej naczelnego dowództwa piastować nie zamierza. Zwołano natychmiast radę generałów, po której wysłuchaniu rząd tymczasowo mianował pomocnikiem księcia Radziwiłła generała Skrzyneckiego aż do chwili, w której sejm zamianuje go naczelnym wodzem. (c. d. n.)



# MICKIEWICZ I ANKWICZÓWNA.

(Pierwszy pobyt Mickiewicza we Włoszech. 1829 — 1830).

NAPISAŁ

Dr. Teofil Ziemia \*).

## I.

Od wieków wzdychali wszyscy poeci ku czarującym Włochom. Niejeden z nich, skoro je ujrzał, zachwycał się nimi tak samo, jak jeszcze w XVI wieku nasz Klemens Janicki:

Niebo pod jasném lazuru ubraniem,  
A żadna chmurka nie błąka się na niem,  
Ni żadne grady, ni żadne zamiecie...  
Nie wiedzą ludzie o zimowej porze,  
W koło zieloność i nadobne kwiecie,  
Cały rok pytasz: „wiosnaż to na dworze“.

Tam z naszych późniejszych poetów dążyli z kolei tacy, jak Jan i Piotr Kochanowscy, Sarbiewski, Krasicki, Niemcewicz, Malczewski i tylu innych. Każdy z nich poznanie ojczyzny Dantego i Petrarki uważał za jeden z najważniejszych w swém życiu wypadków.

Podobnie i dla zagranicznych poetów były i są Włochy dotąd jeszcze marzeniem. Wiadomo przecież, czém dla Goethego była podróż do téj krainy:

Gdzie cytryna dojrzewa,  
Pomarańcz blask  
Zielone złoci drzewa,  
Gdzie wieńcem błuszczy  
Ruiny dawne stroi,  
Gdzie buja laur  
I cyprys oicho stoi..

\*) Zob. r. 1884 Zesz. za m. październik, str. 37.

Takie same uczucia i nadzieje tych samych wrażeń odezwały się niewątpliwie i w duszy Mickiewicza, gdy po noclegu na Splügen t. j. dnia 25 września 1829 roku przekroczył wraz z Odyńcem granicę włoską.

Ale cóż, kiedy to były dopiero Włochy północne, a nadto słotna pora jesienna, dokuczliwa bardzo w tamtejszych stronach, zmuszała ich do pospiechu w podróży.

I trzebaż było, żeby na samym wstępie do krainy pomarańcz i cyprysów doznali najprzykrzejszej przeprawy w całej podróży. Z powodu bowiem wezbrania rzeczki Liro, droga tak bardzo została uszkodzoną, że w żaden sposób nie można było nią dalej jechać, a nawet aby ją pieszo przebyć, potrzeba było wielkiego trudu i niepospolitej odwagi. Podróżni nasi mimo to obrali tę ostateczność, a idąc przez całe cztery godziny wśród mgły i nieustannego deszczu, dotarli nareszcie do miasteczka Chiavenny.

Zatrzymawszy się tu dla spoczynku i noclegu, i osuszwszy odzież przy ogniu na kominku, wyruszyli nazajutrz do Como, a 27 września stanęli już w Medyolanie.

Dla poznania miasta i jego wspaniałych budowli zabawili tu cokolwiek dłużej, w skutek czego dopiero 3 października zamierzili się wybrać w dalszą drogę do Werony.

Wyszukawszy w tym celu zwyczajną we Włoszech „wetturę“, czyli powóz zawsze do wynajęcia gotowy, znaleźli oraz poeci nasi nad spodziewanie miłych towarzyszków podróży.

Między tymi jednakże zwracała szczególniej uwagę jakaś signora młoda i kształtna, która siedziała naprzeciw Mickiewicza.

Mimowoli zatem spotykały się nieraz ich oczy, bo wiadomo, że i u poety naszego były one piękne i pełne wyrazu zadumy, a i u „signory“ z pod czarnego medyolańskiego weloniku, rzuconego z lekka na jej głowę, wyzierały ciekawe jak dwa palące węgle...

Było więc podobnie jak w „Panu Tadeuszu“

. . . . że cztery źrenice

Błyszczały przeciw sobie, jak roratne świece...

Jak zwyczajnie w podróży, szybko zawiązała się znajomość.

Poeci nasi dowiedzieli się wkrótce, że piękna signora zwie się Rachelą, i że celem jej podróży jest Wenecya. Ale wszystkie inne szczegóły dotyczące tej damy pozostały dla nich tajemnicą.

Ze sposobu zachowania się jej, z teatralnej cokolwiek deklamacji, a wreszcie z dokładniejszej znajomości literatury dramatycznej, domyślali się, że jest... aktorką.

Gdy zaś Odyniec zajęty był rozmową z jakimś 50-letnim „typem gadatliwej kumoszki“, Mickiewicz tymczasem rozprawiał coraz żywiej ze swoją nowo poznaną — nieznaną...

I na pytanie jej:

....Odpowiadał śmielój, szła rzecz dalej,  
W pół godziny już byli z sobą poufali,  
Zaczęto nawet małe żarciki i sprzeciżki....

Zupełnie tak, jak pan Tadeusz z panią Telimeną, do której wizerunku — jak się domyślamy — signora Rachela dostarczyć mogła niejednego rysu.

Tymczasem po noclegu w Treviglio, przyjechali nasi podróżni do Werony, leżącej w połowie drogi z Medyolanu do Wenecyi.

Obejrzawszy osobliwości miasta, a między temi i mniemany grób Julii Capuletto, stanęli 5 października w mieście Vicenza, a następnego dnia byli już w Padwie.

Nareszcie 7 października przybyli do Wenecyi, gdzie, zamierzając zabawić dłużej najęli dla oszczędności prywatne pomieszkание (Ponte dei Dai, Torre Corrente, al moro).

Aż do 20 października, zatem blisko dwa tygodnie pozostali w Wenecyi, zwiedzając galerye, kościoły i wszystkie słynne piękności tego miasta, przyczem signora Rachela, zamieszkawszy u jakiejś wdowy po adwokacie, nie odmawiała im często swojego towarzysza.

Mickiewicz, który jak wiadomo, sam zawsze źle gospodarzył swemi pieniędzmi i z tego powodu rad był, że od chwili połączenia się z Odyńcem, nie potrzebował o tem myśleć, brał od towarzysza swego w ciągu podróży zwykle niewiele dla opędzenia tylko najdrobniejszych, a często nieprzewidzianych potrzeb.

Ale w Wenecyi, być może, że z powodu poznania signory Racheli, te „drobiazgowce“ wydatki jego zaczęły się coraz bardziej powiększać, tak, że Odyniec razu pewnego nawet stosowną uczynił mu uwagę.

— Proszę mi oddać moje pieniądze, odpowiedział krótko Mickiewicz — choć później po rzeczy dokonanej, wypadło mu tego pożalować.

## II.

Tymczasem zbliżał się dzień wyjazdu z Wenecyi.

Dnia 20 października (1829) nad brzegiem Kanału Wielkiego (Canale Grande) wsiadali nasi podróżni do gondoli, którą aż do Mestre mieli popłynąć. W gronie kilku osób, żegnających się z nimi, była i signora, która według pięknych słów Odyńca „otulona czarną mantylą i czarnym woalem zakryta — była jakby uosobieniem czarnej chwili rozstania.“ Tymczasem uniosła już gondola młodych naszych poetów, którzy nie w bardzo wesołym byli usposobieniu. Mickiewicz zwłaszcza był widocznie nie w najlepszym humorze, a nadto skarżył się na ból zębów, które mu w ogólności dość często dawały się we znaki. Najawszy „wetturę,“ puścili się drogą ku Bolonii, zatrzymując się jeszcze dla noclegów w Padwie i następnego dnia (21 paźdz.)



w Santa Maria-Maddalena niedaleko Ferrary. Następnie, jadąc przez Ferrarę, przybyli poeci nasi w nocy dnia 22 października do Bolonii, gdzie stanęli „pod czarnym orłem“ (Aquila Nera). Trzy dni zabawili w tém mieście dla zwiedzenia jego zabytków i poznania słynnego polygloty, późniejszego kardynała Mezzofanti, mówiącego pięćdziesięciu rozmaitemi językami, a między temi i po polsku.

Ale niestety nie zastali go w domu, a i on, chcąc oddać im wizytę, był w hotelu właśnie w czasie ich nieobecności. Dnia 26 października w towarzystwie znanego malarza angielskiego Allan'a, ruszyli w drogę dalszą i już 27-go przybyli do Florencyi, zajechawszy do hotelu (San Luigi). Tu znowu, podobnie jak w Wenecyi, postanowili kilkanaście dni pozostać i dlatego najęli tańsze pomieszkanie w domu prywatnym. (Canto alle rondini, Nr. 7000, ulica Pianellai). Nim jednakże przenieśli się do tego miejsca, zdarzył się wypadek, który zapewne mógł pobudzić Mickiewicza do żalu, że w Wenecyi odebrał swe pieniądze od Odyńca.

Włożywszy je bowiem do woreczka, ofiarowanego mu jeszcze w Petersburgu na pamiątkę przez córki pani Szymanowskiej, nosił je zrazu dosyć starannie przy sobie, ale nakoniec zostawił raz przez zapomnienie we wspomnianym hotelu. Zdarzyło się tedy, że gdy Odyńiec dnia tego wrócił z miasta do domu, garson, mający klucze od pokoju, wita go, kręcąc znacząco głową i oddając mu pieniądze, zapomniane przez Mickiewicza. Niedługo potem spotkał się pan Edward z Mickiewiczem, pijącym spokojnie kawę w jakiejś kawiarni. Usiadł obok niego — jakby o niczem nie wiedząc, a gdy Mickiewicz już kończył swą filiżankę, zapytał go niby od niechcienia, czy ma drobne pieniądze do zapłaćenia. Adam sięgnął do kieszeni i zrazu nic nie odpowiedział. Po chwili jednak oświadczył, że nie ma, i w zamiarze udania się do hotelu, wziął za kapelusz. Już był u progu, gdy go Odyńiec nawrócił i o pieniądze uspokoił. Zapewne wówczas pomyślał sobie poeta, podobnie jak pan Tadeusz w jednym miejscu:

Dobrze! dobrze mi tak!

Potem ucałował w czoło swego przyjaciela, pod którego opieką zostawały już nadal jego finanse. We Florencyi czekało poetów naszych wiele nowych wrażeń i nowych znajomości, a wraz z nimi i wiele chwil przyjemnych. Z listem polecającym od Lelewela, udali się najprzód do ks. Sebastjana Ciampi, który w latach 1818—1822 był profesorem literatury starożytnej w uniwersytecie warszawskim, a później zamieszkał stale we Florencyi, gdzie umarł dopiero w roku 1847. On to wyszukał im niedrogie prywatne pomieszkanie i w ogóle niejedną okazał grzeczność. Być także może, że od niego dowiedzieli się o księciu Michale Ogińskim, mieszkającym wówczas we Florencyi, którego nie omieszkali odwiedzić. Książę, autor znanych „Pamiętników“, zapraszał ich odtąd ciągle do siebie, a przytém niepospolitym darem opowiadania o dawnych czasach, szczególniejszy

urok wywierał, zwłaszcza na Mickiewicu, który dar ten cenił zawsze wysoko.

Wkrótce potem złożyli wizytę ówczesnemu ambasadorowi rosyjskiemu, księciu Górczakowowi, sławnemu później ministrowi, który, według słów Odyńca, był wtedy „dziwnie pięknym młodym mężczyzną.“ Książę Górczakow przyjął poetów naszych bardzo uprzejmie i obiecał poznać ich z najpierwszym towarzystwem we Florencyi, dając im bilety na mający się wkrótce odbyć bal u księcia Bacciochi, szwagra Napoleona I-go. Tu spotkali się nasi poeci i z księciem Władysławem Sanguszką, który był na tym wieczorze ze swoją żoną, z domu księżniczką Lubomirską, a wtedy niezaprzeczoną „królową balu.“ Widok tej piękności, która z postaci podobną była do Dyany, a z twarzy do Charyty lub Anioła Canowy, napawał dumą serca naszych podróżnych, cieszących się z tryumfu swjej rodaczki. Tak więc z jednej strony na wizytach i wieczorach, z drugiej na zwiedzaniu galerie, muzeów i kościołów, szybko upłynęło kilkanaście dni spędzonych we Florencyi. Już prawie trzeci od przyjazdu upływał tydzień, gdy dnia 14 października wybrali się nasi podróżni w dalszą drogę. Tego samego dnia przybyli do Poggibonsi i to znowu w towarzystwie znanego już nam malarza angielskiego Allana. Mickiewicz, który w czasie podróży był mało mówny i zadumany, i w czasie obiadu niewiele do rozmowy okazywał ochoty. Jak niedawno na Splügen, tak i teraz jakaś myśl pracowała w głębinach jego ducha. I w rzeczy samej, niedługo potem, wyprowadziwszy Odyńca do przyległego ogródka, usiadł z nim na płotku i wydobyl papier zapełniony pismem czystym, bez żadnych prawie poprawek, jakby wprost na czysto wykonanem. Był to wiersz ogłoszony później pod napisem: „Do Matki Polki.“ Autor sam odczytał go z głębokim wzruszeniem swojemu przyjacielowi, dodając zarazem, że genezą tego wiersza miały być pamiętniki księcia Ogińskiego i rozmowy z nim we Florencyi. Było to jeszcze przed rokiem 1830 <sup>1)</sup>, a już wówczas przeczuwał poeta niedalekie wypadki i niestety, jasnowidzącym swym duchem, nie wróżył im szczęśliwego obrotu.

Po noclegu w Poggibonsi, jechali nasi poeci jeszcze przeszło półtrzecia dnia, zanim po Siennie (15 listop.), San Lorenzo (16 listop.), stanęli 17 listopada na noc w miasteczku Ronciglione. W następnym dniu mieli już ujrzeć mury „wiecznego miasta.“ Na wniosek Mickiewicza miało się to odbyć w świątecznym ubraniu — „jak do kościoła!“...

1) Wojeiech Cybulski mówi także, że jeszcze przed wybuchem powstania poznał ten wiersz za pośrednictwem Odyńca, a nawet wyuczył się go na pamięć („Odczyty o poezji polskiej“ str. 169, t. II). Opowiadanie Lonartowicza w „Listach o Adamie Mickiewiczu“ (Paryż 1875) zasługuje na uwagę, ale jako dopiero w r. 1874 pisane, ustępuje świadectwom dawniejszym.

W istocie téż nazajutrz t. j. 18 listopada (1829) w świątecznych szatach, z bijącym sercem i uroczystym nastrojem zbliżali się ku Rzymowi. Gdy naraz spostrzegli kopułę św. Piotra, odkrył Mickiewicz głowę i kazał swemu towarzyszowi uczynić to samo—przed tą, jak się wyraził „tyrą świata.“ Niedługo potem wysiedli i chociaż był jeszcze dobry kawałek drogi do miasta, postanowili odbyć go piechotą, podczas gdy wetturyn jechał z wolna przed nimi.

Gdy stanęli na moście Ponte Milvio, Odyniec dobył manierki, zaczerpnął wody z Tybru i obaj poeci spełnili toast na cześć Wili i Niemna. Nareszcie o godzinie kwadrans na piątą po południu stanęli na Piazza del Popolo i poszli zaraz do najbliższego kościoła, aby za to „podziękować Panu Bogu.“

Wówczas to może przed oczyma duszy Mickiewicza stanęła jego „płacząca matka,“ jak w owej chwili, gdy na wjeździe do Wilna w roku 1815, spełniając jej polecenie, klęczał przed ołtarzem

Panny świętej, co Jasnój broni Częstochowy  
I w Ostrój świeci Bramie! i co gród zamkowy  
Nowogrodzki ochrania z jego wiernym ludem...

### III.

Wyszędłszy z kościoła, postępowali nasi podróżni za jadącą naprzód wetturą, szukając dla siebie pomieszkania. Błądząc w ten sposób, znaleźli je dopiero po dwóch godzinach w Albergo di Europa przy ulicy Corso. Zaraz nazajutrz rozpoczęli zwiedzać pomniki wiecznego miasta. Starożytna Roma w postaci Kapitolu i Rzym nowoczesny w postaci Watykanu—jako dwa wymowne przeciwieństwa, stanęły najprzód przed oczyma ich wyobraźni, a skutkiem tego wraz z malarzem Allanem wybrali się najprzód na Kapitol. Zmówiwszy pacierz w kościele Ara coeli, stojącym na miejscu dawniej świątyni Jowisza, oglądali skałę tarpejską i zachwycali się pięknym posągiem Marka Aureliusza. Mickiewicz szczególnie przypatrywał się z wielką uwagą tej wspaniałej postaci, którą później tak wybornie opisał. Wyraz spokoju w całej postaci i łagodności w obliczu cesarza-filozofa głęboko utkwiał wówczas w jego pamięci, jak widać z opisu skreślonego po kilku latach:

Piękne, szlachetne, łagodne ma czoło,  
Na czole błyszczy myśl o szczęściu państwa;  
Rękę poważnie wznosił, jak gdyby wkoło  
Miał błogosławić tłum swego poddaństwa;  
A drugą rękę opuścił na wodze,  
Rumaka swego zapędy ukraca.  
Zgadniesz, że mnogi lud tam stał na drodze  
I krzyczał: Cesarz, ojciec nasz powraca!...



Z Kapitolu poszli nasi poeci do Watykanu, ażeby już w pierwszym dniu złożyć hołd temu wspaniałemu pomnikowi chrześcijańskiego Rzymu. Zwiedzili go tym razem pobieżnie, poczem Mickiewicz wyszukał pomieszknię księżnej Zeneidy Wołkońskiej, która go natychmiast wraz z Odyńcem zaprosiła na obiad. Odtąd już bywali obaj codziennymi w jej domu gośćmi, co nawet tem dogodniej im było, że wkrótce najeli sobie prywatne pomieszknię na Via del Orso (Nr. 35), niedaleko pałacu Feruzzi, w którym mieszkała księżna. Ona-to w swęj niewyczerpanęj dla poetów naszych uprzejmości, obwoziła ich prawie codzię w południe po osobliwościach miasta, poczem zabierała do siebie na obiady, a wieczorem najczęściej do łoży swęj w teatrze. W ten sposób już w przeciągu pierwszych dziesięciu dni zwiedzili nasi poeci najważniejsze zabytki Rzymu, które bądź starożytnością swoję, bądź ogromem żywo przemawiać mogły do wyobraźni. Mickiewicz wobec tych wielkich pamiątek dawnych czasów zarówno, jak wobec pomników sztuki bywał milczący, skupiony w sobie i gęboko zadumany. Z tego powodu w niektórych miejscach jak np. w Collosseum, gdzie silniejszego doznawał wrażenia, lubił być sam jeden, aby tem swobodnięj oddawać się dumaniu. Do takich ulubionych miejsc które wraz z Odyńcem często odwiedzał, należały także ruiny starożytnęj świątyni Minerwy. Nietyle wszakże pociągały go tam klasyczne kolumny, jak raczęj najzwyczajniejszy kawałek zielonego pola, które mu przypominało ukochaną ojczyznę. Przerzynała je bowiem droga, jakich wiele spotyka się po wsiach litewskich, utworzona przez wózki jednokonne ze ścieżką wydeptaną przez konia i dwoma pasami zielonęj trawy, leżącemi między nią, a wyżłobionemi przez wozy kolejami. Mickiewicz, ile razy przychodził w to miejsce, kładł się swobodnie na murawie, a sięgając myślą w strony ojczyste, stawał się weselszym i rozmowniészym. Kto wie nawet, czy kiedy tak się nie zdarzyło, że tego samego dnia, w którym zachwycał się pierwotną prostotą tego miejsca, wypadało mu wieczorem deptać po najpyszniejszych kobiercach w salonie królowęj Hortensyi, patrzeć z bliska na tego króla westfalskiego, Hieronima Bonaparte, na którego niegdyś w Nowogródku spoglądał z ukrycia z najwyższém podziwieniem, a nadto słyszeć, jak Odyniec, nie świadomy jego godności, w rozmowie z nim tytułuje go tak zwykłym jak francuzki monsieur wyrazem. Zaszczyt bywania na zwykłych wtorkowych przyjęciach w salonie królowęj zawdzięczali poeci znowu nieocenionęj księżnie Zeneidzie, za któręj pośrednictwem w ogóle najświetniejsze pozawiazywali znajomości. Salon bowiem księżnej był szczególnięj ogniskiem najwyższych sfer towarzystwa rosyjskiego, które wówczas miało w Rzymie przedstawiciele takich rodzin, jak księstwo Galicynowie, Gagarynowie, Dietrichsteinowie, nie mówiąc już o zamożnych rodzinach Klustinów, Siemionów i kilku innych. Wszystkie wymienione domy otaczały wysoką czią naszego poetę, który też w otoczeniu ich zachowywał wielką godność osobistą i pewną powagę, jaką przybierał rzadko w gronie swoich ro-

daków. Ambasador rosyjski, książę Gagaryn, któremu poeci nasi złożyli wizytę, przyjął ich bardzo grzecznie, a uprzedzony już przez księżnę Zeneidę o znaczeniu Adama, ofiarował mu biletkę swą na usługi. Mickiewicz poprosił wówczas o Liwiusza w oryginale i o historią rzymską Niebuhr'a. Z szczególniejszym jednak upodobaniem czytał dzieło historyka łacińskiego, o którym pisał w tym czasie do Malewskiego: „....Liwiusz tu na miejscu ma dziwny urok, bo wieczór można iść oglądać scenę wypadków czytanych zrana.“ W ogóle, jak niegdys w Moskwie i Petersburgu, tak i teraz była księżna Zeneida prawdziwie opiekuńczym aniołem dla naszego poety. Uwielbienie zaś, jakim ona go otaczała, udzieliło się także i innym damom rosyjskim, bywającym u niej, tak, że odtąd wszystkie zaczęły go otaczać czcią i troskliwością, nieraz do wysokiego stopnia posuniętą. Razu pewnego np., dowiedziawszy się o jego ochrypnięciu, przysłały mu tyle konfitur, cukrów i soków, że największemu tych rzeczy miłośnikowi wystarczyłyby to mogło na czas dość długi. „Nazajutrz—pisze Odynieć—jeszcześmy spali, słyszę pukanie do drzwi. Otwieram, aż to lokaj od księżnej Dietrichstein (z domu Szuwałow) oddaje mi bilecik i jakiś kosz zakryty. Bilecik był do Adama, a w koszu cztery słoje—nie słoiki—konfitur. Ledwie ten odszedł—stuk, stuk, znowu—i wchodzi drugi lokaj od księżnej Galicyn, także z dwoma słoikami konfitur i z tyłuż butelkami malinowego soku, który ma być bardzo pomocny na chrypkę, jak to wyraża zaperfumowany bilecik do pacyenta. Nie upłynęła godzina, aż jak trzeci Budrys z synową, zjawia się trzeci posłaniec od pani Klustin z pudłem cukierków i paczką skórki paniieńskiej od panny Anastazyi.“

Ale któż to był owa panna Anastazyja de Klustin, do której i od której w korespondencyi Mickiewicza znajdują się tak pełne czarującej woni bilety i bileciki?... Była to córka bogatej wdowy, z domu hrabianki Tołstoj, która wraz z matką od kilku lat podróżowała po świecie. Posiadała ona we wszystkich kierunkach tak wysokie wykształcenie, że w kołach znajomych nazywano ją Korynną z nad Donu lub Borystenu, a nawet sam Mickiewicz jeden list do niej, wysłany prywatnie, wyprawił pod adresem: „A mademoiselle Corinne Boristénide.“ Panna Anastazyja, która obok wysokiego wykształcenia, daleką przecież była od najmniejszego pedantyzmu lub chęci popisywania się swemi wiadomościami, miała szczególniejszą przyjemność w zawieraniu znajomości z ludźmi sławnymi. Z tego powodu oczekiwała też z upragnieniem owęj chwili, w której na obiedzie u księżnej Zeneidy poznać miała autora „Wallenroda.“ Wrażenie doznane z jednej i drugiej strony było niepospolite. Mickiewicz był ożywiony i zachwycony—tém więcej, że panna Anastazyja miała nietylko wiele uroku w swęj rozmowie, w całym swém zachowaniu i zjawisku, lecz nadto była wysoce wykształconą w muzyce, i grała jak skończona artystka, a to wszystko robiła jakby tylko od niechcenia i bez najmniejszej rachuby na olśniewający efekt. Słowem, panna Klustin mogła się na-

wet dla naszego poety stać wielce niebezpieczną, gdyby... właśnie niedawno przedtem nie zaszła okoliczność, która z czasem jego myśli i uczucia miała stanowczo w inną stronę skierować.

#### IV.

Około tego samego czasu, gdy obaj poeci przybyli do wiecznego miasta, bawiło tam już wielu polaków z różnych stron kraju i z różnych sfer towarzyskich.

Byli tam zatem i tacy, jak książę Władysław Sanguszko, który niedawno wraz z żoną przyjechał tu z Florencyi, i książę Wilhelm Radziwiłł i hrabiowie Alfred i Artur Potoccy ze swemi rodzinami i młody wówczas książę Aleksander Czartoryski, podróżujący w towarzystwie uczonego Antoniego Strzeleckiego, później bibliotekarza w Willanowie. Prócz wymienionych byli jeszcze i państwo Węsierscy z księstwa poznańskiego i dawniejsi już Odyńca znajomi państwo Der-nałowiczowie z Warszawy. Prócz tego i duchowieństwo polskie miało tam wówczas swoich przedstawicieli, np. takich, jak ks. Scipion z Krakowa, ks. Zajączkowski, Zamojski, lub niedługo potem zmarły Parczewski. Sztukę polską, a zwłaszcza malarstwo reprezentował litwin Karczewski i krakowianin Wojciech Kornel Stattler, którego zajmujące z owych czasów *P r z y p o m n i e n i a* ogłosiły „Kłosa“ w roku 1873.

W ogólności towarzystwo polskie, bawiące w owych latach w Rzymie, było dość liczne, bo według listu Odyńca do Wójcickiego, wynosiło ono przeszło 60 osób.

Gdy tedy młodszy i bezzenni zbierali się najczęściej dla swobodnej rozrywki w pomieszkaniu młodego księcia Aleksandra Czartoryskiego przy placu Hiszpańskim; gdy starsi gromadzili się na wytwornych rautach w pałacu Gregorio, zamieszkiwanym przez hrabiów Alfreda i Artura Potockich — ogniskiem skupiającym wszystkich, był gościny dom hrabstwa Ankwiczków, przy ulicy Mercede.

Pan Stanisław Habdank Ankwicz, syn kasztelana sandeckiego i niegdyś pełnomocnika polskiego na dworze duńskim, był właścicielem znacznego majątku w Galicyi, gdzie też przemieszkiwał w obwodzie tarnowskim, niedaleko Pilzna, we wsi Machowój. Tu w roku 1812 (29 listopada) urodziła się państwu Ankwiczom córka Ewa Henryetta, którą jako jedynaczkę ukochali nad życie. Ale Ewunia nie cieszyła się zdrowiem najlepszym; z tego powodu troskliwi o nią rodzice wywieźli ją do Włoch, gdzie dla jęj wzmocnienia, a oraz i dla edukacyi mieszkali przez lat kilka po różnych miastach. Bawili zatem z kolei to w Pizie, to we Florencyi, to nawet na Korsyce, w miarę rad i wskazówek najznakomitszych lekarzy. W końcu roku 1828 przybyli na dłuższy pobyt do Rzymu, gdzie panna Ewa brała lekcyce historyi i archeologii od najznakomitszych uczonych, jak np. od sławnego w owym czasie profesora Visconti. Robiła także w muzyce i w ję-



zykach wielkie postępy, tylko język i literatura ojczysta pozostawał u niej, jak się to zresztą niestety dość często działo, w pewnym dotychczas zaniedbanu. Ale właśnie w tym czasie usłyszeć miała nazwisko wielkiego polskiego poety. Przyjaciółka bowiem jej matki p. Puszetowa, donosiła w liście swym z Polski o zjawieniu się niepospolitego talentu poetycznego, którego kilka ballad posłała nawet w odpisie w liście do państwa Ankwiczów. Ewunia była niemi zachwyconą i w krótkce umiała je na pamięć. Niedługo potem otrzymała od Strzeleckiego, guwernera księcia Aleksandra Czartoryskiego, całkowite wydanie dzieł Mickiewicza. Przeczytała je z zapamiętaniem, a wiele ustępów z „Konrada Wallenroda“ i z „Dziadów“ deklamowała z pamięci, zazdroszcząc w duszy owój Maryli, która tak silne uczucie zdołała rozbudzić w sercu poety. Odtąd już zaczęła Ewunia marzyć o tak gorąco kochającym Gustawie, gdy niespodzianie pewnego razu dowiedziała się, że autor „Dziadów“ jest już w północnych Włoszech i niezadługo zjawi się w Rzymie. Z upragnieniem tedy oczekiwała chwili, w której miała nadzieję go zobaczyć, tém więcej że w duszy swój już pierwój utworzyła sobie jego obraz i była z tego powodu bardzo ciekawą, czy rzeczywistość nie wiele różnić się będzie od owego młodzieńca wysokiego wzrostu, z rozrzuconym na bladym czole włosiem, z książkami wyglądającymi z kieszeń długiego, popielatego surduta, w jakim widziała poetę w swój wyobraźni. Tymczasem ambasador rosyjski, książę Gagaryn, dawał bal 28 listopada roku 1829, na który byli zaproszeni i państwo Ankwiczowie, ale dla niewiadomych przyczyn przybył tylko—sam hrabia. Na balu owym znajdowało się mnóstwo osób znakomitych tak fortuną, jak i sławą, zdobytą na polu sztuk i nauk. Między innymi byli tam także nasi dwaj poeci i mieli sposobność zapoznania się z rzeźbiarzem Torwaldsenem, malarzami: Horacym Vernetem, Cammucinim, Overbeckiem i wielu głośnymi wówczas artystami. W ciągu zabawy przystąpił do nich p. Dernałowicz z drugim około 50 lat liczyć mogącym mężczyzną. Był to właśnie hr. Ankwicz, który sam życzył sobie zabrać z nimi znajomość. Poważna jego postać i pełne ujmującej uprzejmości obejście, zrobiły korzystne na poetach wrażenie. A śnać i jemu podobali się odrazu młodzi poeci, bo rozmawiał z nimi dość długo i w końcu zaprosił ich do siebie na wieczór, mający się odbyć nazajutrz z powodu urodzin jego córki. Gdy zaś wrócił do domu i oświadczył swym paniom, że poznał się z Mickiewiczem i że go wraz z Odyńcem zaprosił na wieczór jutrzejszy, powstała ztąd wielka radość i większe jeszcze oczekiwanie — w duszy marzącej panny Ewy.

## V.

Następnego wieczoru rzęście biło światło z okien mieszkania państwa Ankwiczów, przy ulicy Mercede. Ale tym razem nie znajdował się tam Mickiewicz, zatrzymany w domu z powodu silnego bó-

lu zębów. Na wieczorze zjawił się zatem tylko jego przyjaciel Odyniec, który zaraz na wstępie zrobił to spostrzeżenie, że nieobecność Mickiewicza wywołała na twarzach gospodarstwa jakby wyraz doznanego zawodu. Wytlómaczwszy swego przyjaciela, wnet uczuł się w swoim żywiole, gdy ujrzał się w gronie panienek. Ze szczególną jednakże ciekawością zwrócił się najprzód ku pannie Ewie Henryecie, tém więcéj, że był to właśnie dzień jéj urodzin, dzień, w którym ona rozpoczynała rok ósmnasty. Panna Henryeta nie zrobiła na nim wrażenia pierwszorzędnéj piękności, nie była nawet wcale piękną, gdyby wypadło sądzić ją podług zewnętrznych rysów twarzy. Ale mimo to sprawiała wrażenie pełne wdzięku, jakby jakieś eteryczne, lecz pełne duchowego wyrazu zjawisko. Mimowoli przypomniła się Odyńcowi postać „Świtezianki“ i obraz jéj, skreślony piórem Mickiewicza:

Jéj twarz, jak rózy bladéj zawoje,  
Skropiona jutrzeńki łezką;  
Jako mgła lekka, tak lekkio stroje  
Obwiały postać niebieską...

Taką wydała mu się w pierwszój chwili panna Henryeta, z tą tylko różnicą, że sukienka na niéj była tym razem różowa. Ale po chwili bliższego wpatrzenia się a zapewne i rozmowy spostrzegł w niéj Odyniec jeszcze coś więcéj, bo nawet wyraźne w ogólném wrażeniu — podobieństwo do Maryli, a wówczas już oddawna pani Puttkamerowéj. Obok panny Henryety czyli Ewuni, jak ją późniéj nazwano, znajdowała się jeszcze w domu państwa Ankwiczów starsza od niéj o lat kilka jéj siostra cioteczna — panna Marcelina Łempicka, silniejszój od niéj budowy, ale także bardzo miła, „istna różyczka“ wykwitająca z pączka, a do tego nawet zielono ubrana. Ale nietylko panienki zrobiły od pierwszój chwili tak korzystne wrażenie, bo i sama pani, około 40 lat liczyć mogąca, była typem szczeréj, otwartéj i gościnnéj damy polskiéj, widocznie przywiązanej do staropolskich zwyczajów. Z tego właśnie powodu pani Ankwiczowa, pomimo doskonałej znajomości obcych języków, najchętniéj przecieź mówiła po polsku i do domu swego najchętniéj zapraszała polaków, do czego zwłaszcza „wigilia“ i „święcone“ tak dobrą nastęrczały sposobność. Można nawet powiedzieć, że czém był dom księżnéj Zenejdy dla towarzystwa rosyjskiego, tém dla polaków bawiących w Rzymie był w tym samym czasie gościnny dom hrabstwa Ankwiczów. Tam gromadzili się wszyscy od największych panów począwszy aż do ubogiego księdza i uboższego jeszcze artysty polskiego, jakim był np. Wojciech Stattler lub Karczewski. To téż wszyscy oni znajdowali się na owych urodzinach Ewuni, a Stattler wraz ze Strzeleckim przyszli tam jeszcze i w téj nadziei, że będą mogli zrobić znajomość z Mickiewiczem. Jednakże Mickiewicz dopiero w kilka dni po owym wieczorze, wybrał się tam z wizytą, zaciekawiony słyszaniami z ust Odyńca pochwałami,

a najwięcej może owém mniemaném do „Maryli“ podobieństwem. Wróciwszy, przyznał wprawdzie Odyńcowi, że nie przesadził w swych pochwałach, ale zresztą nie zdawał się panną Ewą być bardzo zachwyconym. Nierównie więcej unosił się nad jej matką, a zwłaszcza otwartym, szczerym jej charakterem. Ale i nawzajem panna Ewa nie znalazła też przy pierwszym z poetą spotkaniu tego, co w swojej wymarzyła wyobraźni. Zamiast owego smukłego, bladego młodzieńca w długim, popielatym surducie stanął przed jej oczyma pełen naturalnej prostoty już blisko 30-letni mężczyzna, od którego opalonej twarzy odbijało, jakąś smętną zadumą nacechowane czoło.

Ze zwykłą 17-im panienkom nieśmiałością, mówiła Ewunia bardzo mało, a natomiast połykała chciwie każde słowo poety. Pamiętała też jeszcze po wielu latach jego pełne naturalnej prostoty a przecież charakterystyczne na owój wizycie wyrażenie, kiedy poeta, mówiąc o kościele św. Piotra, powiedział o nim, że ma „czapkę na głowie.“

Takie było tedy pierwsze z jednej i drugiej strony wrażenie, ale niedługo zaszła zmiana w scenach naszego widzenia...

## VI.

W kilka dni potem hr. Ankwicz odwiedził naszych poetów osobście i zaprosił ich znowu do siebie na „skromny polski obiadek.“ Tym razem poszli już obaj, a Mickiewicz siedział nawet przy stole obok—panny Ewy. Na obiedzie znajdowało się jeszcze kilka osób, a między innymi i ksiądz Zajączkowski, wymowny i pełen zapału misionarz. Rozprawiano o Rzymie nowym, w porównaniu ze starożytnym, a przy tej sposobności wyraził się Mickiewicz, że Rzym nowożytny podobny jest do parweniusza, który sobie z gruzów starego zamku wystawił sklep lub kamienicę. Ksiądz Zajączkowski, biorąc to za lekceważenie Rzymu chrześcijańskiego, powstał z zapałem przeciw płochym i niedojrzałym zdaniom młodzieży. Wywiązało się tedy dość trudne położenie rzeczy, któremu tylko spokój i takt Mickiewicza zdołał ostatecznie dobry nadać kierunek.

Panna Ewa w ciągu całej tej drażliwej rozprawy była bardziej jeszcze milczącą i prawie zatwożoną. Siedząc obok sławnego poety, bała się wyrwać z jakimś słówkiem, któreby może za dowód dziecinnego jeszcze umysłu mogło być poczytane. Ale właśnie ta naturalna nieśmiałość zwróciła jego uwagę.

— Zbudowała mnie pani—odezwał się do niej ku końcowi obiadu—pani, jak widzę, nie grzeszysz wcale wielomówstwem.

Tymczasem deszcz ulewny zaczął padać; niepodobna było wracać do domu, choć obiad dawno był skończony. Uprzejmi gospodarstwo zachęcali do zostania na wieczór, co też uczynili chętnie wszyscy uczestnicy obiadu.

Wśród swobodnej rozmowy upływał czas przyjemnie, aż w koń-



cu odezwał się fortepian. Panna Ewa była uczennicą Moschelesa, a Kalkbrenner grywał z nią przed rokiem na cztery ręce. W istocie też grała bardzo dobrze. Mickiewicz słuchał z zachwyceniem takich utworów jak „La Violette“ Hertza, ale mimoto zapragnął—piosenki o Filonie.

— Któżby dziś grał takie stare rzeczy! odezwała się sama pani Ankwiczowa.

— Stare rzeczy! I wartoż to pisać poezye, które za lat dwadzieścia policzą się już do „starych rzeczy“ — odpowiedział poeta.

Po tych słowach, sama pani domu siadła do fortepianu i zagrała „Filoną;“ a poeta usłyszawszy swą ulubioną nutę, byłby może w owęj chwili improwizował, gdyby go do tego wezwano.

Tak odbył się tedy ów „obiadek polski“ i wieczór w domu państwa Ankwiczów.

Mickiewicz wrócił do siebie w bardzo dobrym humorze, a Odyńcowi powiedział przy téj sposobności, że Ewunia jest „miłą i rozumną“ panną... Ale i ona zadowoloną była z tego wieczoru; przekonawszy się zaś, że poeta tak lubi muzykę, rada była, że w ten sposób zrobić mu może przyjemność. Nie zaniedbała też sposobności, aby nauczyć się piosenki o Filonie i zagrać ją przy najbliższém spotkaniu. Jakoż niedługo potem byli nasi poeci znowu u państwa Ankwiczów. Panna Ewa grała coraz swobodniej, czuła się coraz pewniejszą, zwłaszcza gdy usłyszała z ust Mickiewicza pochlebne słowa:

— Pani grasz, jak skończona artystka.

Mickiewicz stawał w czasie muzyki zwykle blisko fortepianu, aby w przestankach swobodnie mógł z grającą rozmawiać. Panna Ewa nie stroniła od tego, tembardziej, że sam ojciec, wychodząc tego wieczoru na ricevimento do pośła hiszpańskiego, polecił jęj wyraźnie, aby nie pozwoliła znudzić się poecie. Ale niebawem miał się Mickiewicz dowiedzieć, że prócz dokładnej znajomości muzyki, posiada panna Ewa wiele naukowego wykształcenia, że zna Rzym stary i nowożytny wybornie, że razem z panną Klustin brała w roku przeszłym lekcye archeologii. O tém wszystkiém powiedziała mu sama pani Ankwiczowa, ofiarując się nadto w cieplejszój porze obwozić poetów po Rzymie i jego okolicach. W ten sposób poznawał poeta w pannie Ewie coraz więcej przymiotów, które cenił tém więcej, że nie uderzały one odrazu, lecz ukrywały się w cieniu, jak skromne fiołki. Z dniem każdym uważał w nim Odyńce jakąś zmianę. Stawał się bowiem słodkim, miłym, przyjaciela swego często całował i gładził; słowem, widocznie był rozpromieniony. Tymczasem nadchodziły święta Bożego Narodzenia. Państwo Ankwiczowie, którzy zawsze obyczaj polskie zachowywali, zaprosili obydwu poetów na wigilię, tém więcej, że był to oraz dzień imienin Mickiewicza. Nie obeszło się tedy bez życzeń i toastów, a ksiądz Zajączkowski wniósł nawet zdrowie—Adama i Ewy!... Od tego czasu coraz częściej bywał Mickiewicz w domu przy ulicy Mercede, gdzie zwłaszcza pani

domu i obie panny widocznie lubiły go coraz więcej. Panna Ewa i Marcelina postanowiły nawet na intencją poety, zapewne z powodu jego rozpraw z księdzem Zajączkowskim, odmawiać nowennę każdego poranku i wieczoru. W istocie też pod wpływem tej znajomości, poeta nasz, jak wiadomo, zawsze religijny, ale skutkiem kilkoletniego pobytu w Rosji może cokolwiek zobojętniały w rzeczach wiary, nawracał teraz do zasad, które mu od lat dziecięcych były wpojone.

Już wtedy może widział on w niej owego opiekuńczego anioła, którego później przedstawił w III-jej części „Dziadów“, w owej scenie pod Lwowem, kiedy Ewa poprawia kwiaty przed obrazem Matki Boskiej, modli się za autorem „pięknych“ piosenek, a nareszcie usypia.

Chór aniołów zjawia się wówczas nad uspioną i śpiewa ową piosenkę, którą poeta po wielu latach tak lubił w ustach swych dzieci:

Braciszka miłego sen rozweselmy,  
Sennemu pod głowę skrzydło podścielmy,  
Oczami, gwiazdami twarz mu oświecmy  
Śpiewając i grając, latajmy wiankiem  
Nad czystym, nad cichym naszym kochankiem...

Taką była odtąd Ewunia przed oczyma duszy marzącego poety.

Nic też dziwnego, że teraz pragnął widywać ją jak najczęściej, że z przyjemnością bywał z nią w teatrze, że wreszcie oczekiwał końca zimy, aby w jej towarzystwie odbywać wycieczki po pięknych Rzymu okolicach.

A panna Ewa?..

Panna Ewa czytała tymczasem książki polskie, które jej poeta zalecał, robiła pilnie z nich wyciągi, i nosiła zwykle kokardę zieloną, jakby wymowny znak dobrej nadziei. Pan Ankwicz nie zwracał z początku na to uwagi, ale w końcu zaczynał się naprawdę cokolwiek niepokoić. Ułynęło wszakże jeszcze nie mało czasu, nim otwarcie zaczął objawiać swoje niezadowolenie. Tymczasem przyniósł tylko córce książkę zawierającą zbiór powiastek angielskich, w których między innymi zawierały się słowa—o niestałości uczucia u poetów.

## VII.

Powoli wlokła się zima roku 1830, może tém powolniej jeszcze dla naszego poety, że końca jej oczekiwał on z takim upragnieniem. Nawet częste wieczory, bywanie na rautach i teatrach nie zdawały się przyspieszać nadejścia wiosny, do której poeta wzdychał teraz więcej niż kiedykolwiek. Oto, co sam pisał z Rzymu 6 lutego 1830 r. w liście do Lelewela. (Kor. III, 296): ...Gniję tu już trzeci miesiąc, bo ustawiczne deszcze nie pozwalają uic widzieć oprócz kościołów i galerii. Tych znowu liczba niezmierna zaczyna mordować; mimo nowości i rozmaitości przedmiotów, z którymi pierwszy raz zabieram

znajomość, czekam niecierpliwie wiosny, ażeby kiedy niekiedy odświeżyć imaginacją widokiem żywej natury.

Poeta wszakże czas niezajęty teatrem lub wieczorami, na które go często zapraszano, zapełniał poważnemi studjami, które mu w obecnym jego położeniu zapewne tak potrzebną sprawiały różnaitość i rozrywały myśli jego. Z tego powodu pisze w dalszym ciągu przytoczonego listu do Lelewela: „...Dotąd dni całe trawię nad książkami, szczególniej nad pisarzami włoskimi i historią rzymską. Czytanie Liwiusza, którego z dziwnym interesem skończyłem, i przeczucie Niebuhra i Gibbona obudziło znowu we mnie zapał do historii, powzięty kiedyś ze słuchania twoich lekcji i przytłumiony różnemi przeszkodami. Od siedmiu lat nigdy nie byłem pewny, że na miejscu jednem rok przebawię i ustawiczna włośćga rozrywała wszelkie zatrudnienia, wymagające czasu i ciągłego myślenia! Gdybym kiedy osiadł nareszcie, gdybym z twoich rad mógł korzystać, wziąłbym się najprzód za jakąś epokę przechodzących siły i usposobienie moje, lubię jednak o nich marzyć. Jak długo w Rzymie zabawię, sam jeszcze nie wiem. Jeśli mi się uda coś napisać, na czembym mógł oprzeć nadzieję zasilenia finansów, wtenczas puściłbym się dalej ku wschodowi, w przeciwnym razie będę musiał dla ekonomizowania we Włoszech pozostać, gdzie jeszcze mam wiele do widzenia i do uczenia się.“

Okazuje się więc, że poeta około tego czasu powziął myśl pisania jakiegoś nowego utworu, i to zapewne na większe rozmiary, skoro na nim opierać się miała nadzieja zasilenia finansów. Z Listów Odyńca wolno się nawet domyślać, że utworem owym miała być tragedia w rodzaju Prometeusza. Mickiewicz bowiem jeszcze w grudniu 1829 r. kupił sobie w oryginale dzieła greckiego tragika Aischylosa, czytał je pilnie, a nawet nieraz całe sceny wygłaszał z zapałem, w natychmiastowym tłómaczeniu.

Razu pewnego Odyńiec, wróciwszy już dość późno z przedstawienia teatralnego, na którym był tym razem bez swego towarzysza, zastał go siedzącego i zadumanego nad Aischylosem. Mickiewicz był pod urokiem świeżego odczytania Prometeusza w okowach. Szczególniej rozmowa Prometeusza z Hermesem zach wyciła go w wysokim stopniu, dla tego zaczął ją Odyńcowi z zapałem deklamować. Doszedłszy do miejsca, gdzie Prometeusz uniesiony pychą, nie chce się przed Zeusem ukorzyć, lecz owszem wyzywa go do walki, wołając:

Ja nieśmiertelny! nie zginę!

Tak był poeta wzruszony, że usta mu drgały i łzy zabłyśły w oczach. Wreszcie powstał szybko z kanapy i przyznał się Odyńcowi, że myśli o napisaniu podobnego utworu, gdzie cztowiek uniesiony pychą, wyzywa do walki wyższe potęgi, i w walce tej nierówniej gotuje sam sobie upadek, z którego go dopiero Chrystus jako syn pra-



wdziwego Boga może wybawić. Utworu tego, jak wiadomo, nie wykończył poeta, ale mimo to główna myśl jego odbiła się później w owéj improwizacji Konrada, gdzie słowa:

Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę,  
Cóż ty większego mogłeś zrobić Boże?

przypominają aż nadto ustęp z Aischylowego „Prometeusza.“

W czasie tym, gdy poeta z jednej strony może dumiał nad tym nowym utworem, z drugiej odbywał owe wspomniane w liście do Lelewela studia, odwiedzał go często Kornel Stattler, a przychodząc dość wczesnie zastawał go nieraz śpiącym jeszcze. „Po rozbudzeniu się — mówi Stattler — bywał w kwaśnym humorze, dopóki zapaleniem fajeczki nie rozpałił w sobie życia. Z gołą szyją, obrzucony starym granatowym płaszczem, siedząc pochylony i zadumany, a zawsze milczący, zdawał się być okazem samotnika, zamkniętego w celi, miewającego straszne widzenia.“ To téż takim przedstawił go Stattler w portrecie, który wykończył w owym właśnie czasie. Obraz ten pełen wysokich zalet artystycznych, nazywany przez p. hrabinę Alfredową Potocką (matkę byłego namiestnika Galicji) II nobile Veneto, nabył później ks. Konstany Czartoryski dla swéj galeryi, znajdującéj się w Weinhaus pod Wiedniem.

## VIII.

Nareszcie skończyła się zima. Poeta, który dotąd, jak sam pisał w liście do Malewskiego, siedział „zaszyty w kaftanie, szlafrok i płaszcz,“ teraz dopiero ożywił się pod tchnieniem wczesnej, jak zwyczajnie w tamtych stronach i nader przyjemnej wiosny. Ogród na Monte Piucio i piękna willa Ludovisi okryły się wkrótce świeżą zieloną szatą i zapraszały do siebie mieszkańców miasta. To téż zapewne na jednéj z takich przechadzek, odbytych w towarzystwie państwa Ankwiczów, zaproponowała Mickiewiczowi panna Henryeta najwną grę w „zielone“ i od téj chwili nosiła już na zawsze bukietik za paskiem swojego płaszczyka. Wkrótce potém miały się zacząć wycieczki, mające na celu zwiedzenie starożytnych pamiątek Rzymu, przy którój to sposobności panna Henryeta, stosownie do obietnicy saméj pani Ankwiczowój, miała być ciceronem dla obydwu naszych poetów, bo przecież brała lekcyę od tak znakomitego archeologa, jak profesor Visconti i miała nawet według zapewnienia matki, bardzo dokładne z nich zapiski. Jednego zatém dnia zajęchali państwo Ankwiczowie dużym powozem przed dom na Via del Orso, gdzie mieszkali Mickiewicz i Odyniec, chcąc zabrać ich na dawno upragnioną wycieczkę, którój celem miała być willa Pamphili-Doria. Pan Ankwicz i obaj poeci umieścili się we trzech na przodzie, matka zaś i panienki zajęły miejsca w głębi powozu. Odyniec w „Listach z po-

dróży“ opisał dokładnie tę wycieczkę i nazwał ją najmilszą ze wszystkich, jakie aż do dnia tego odbywali. Ale lepiej jeszcze utkwiała ona w pamięci Ewuni, skoro po blisko 50 latach jeszcze tak świeże zachowała jej wspomnienie.

Oto własne jej słowa, wyjęte z nader zajmujących jej „Zwierzeń“, ogłoszonych w „Kronice Rodzinnéj“ w 1879 r.

„...Ten spacer otworzył przed Ewą jakby nowy świat myśli, uczuć, spostrzeżeń. Wszak to ona Rzym znała, ona miała pół żartem, pół seryo powtórzyć, czego ją nauczył Visconti, o tym lub owym gmachu, obok którego przejeżdżali. Tymczasem Adam, tysiąc razy lepiej niż Visconti, rozjaśniał karty téj minionéj przeszłości; rozwinał skarby wiedzy, wszystkich nas zachwycił genialnym poglądem. Była to formalna prelekcyja, w której dotknął wszystkich epok, naznaczonych w wieczném mieście tyłu pomnikami. W téj chwili jeszcze po latach tyłu widzę go rozprawiającego w powozie. Miał on na sobie zarzucony niedbale płaszcz hiszpański czerwonawéj barwy, głowę odkrytą, włosy czarne, długie, wiatr rozrzucał na białém czole; oczy pałały tém światłem wewnętrzném, które tworzyło jakoby aureolę, a z ust płynęły słowa mistyczne mądrości chrześcijańskiéj... Byliśmy i u grobu Tassa w San Onofrio, i na miejscu, gdzie św. Piotr męczeństwo poniósł, i u fontanny Paoliny, i wszędzie i ciągle Mickiewicz był wielkim, był poetą, filozofem, uczuciowym“...

Nakoniec po zwiedzeniu wzgórza Janicolo i grobu Tassa, znajdującego się w San Onofrio, przybyło nasze towarzystwo do wspaniałéj willi Pamphili-Doria.

Wszyscy — pisze dalej Ewunia — byli tu odurzeni bogactwem budzącej się do życia południowéj przyrody.

Adam bawił się jak dziecko, zbierał fiołki pełnemi dłońmi i rzucał je na kolana Ewy, siedzącej na trawniku. A gdy Marcelina chciała je chwycić w locie, twierdził, że się Ewie należą, bo ona gra la Violette Hertza, ma więc prawo do nazwy „królowéj fiołków.“ Ewa w zamian uwiła mu wieniec z lauru, do którego wplotła różę. „Jedne zapóźno, drugie za wcześnie“—rzekł jej na to smutnie poeta.

Wracając ku zachodowi słońca z téj pełnéj uroku wycieczki, powiedział jeszcze do Ewy z cicha te słowa:

— Szkoda, że dziś nie umieram; po dniu takim żyć dłużej nie warto; chwil podobnych nie ma się wiele w życiu. A pani, co na to powiada?

„Ewa zamilkła, a serce jej biło mocno i téj nocy spać nie mogła; śniło się jej nad ranem, że Adam ją kocha, że jej to wyznaje, a ojciec, gniewny na niego i na nią, zakazuje surowo myśleć o czémś podobném.“

Tak opisała Ewunia sama ową prześliczną sielankę w uroczej willi włoskiéj, a pisała to wówczas, gdy liczyła lat... sześćdziesiąt pięć!..

Łatwo tedy pojąć, co się działo w jej duszy, gdy miała ich dopiero—siedmnaście.

Ale i Mickiewicz spał podobno niespokojnie po owęj pamiętnej dla Ewuni wycieczce. Domyślamy się bowiem, że i on przewidywał już wówczas trudności, jakie go spotkać mogły na tej drodze, na której, jak niewątpliwie czuł, posuwał się krokiem przyspieszonym. Poeta dobrze pojmował trudność swojego położenia, a nie chcąc bez celu zaprzętać wyobraźni i serduszka siedmnastoletniej panienki, powziął zaiste szlachetną myśl — ustąpienia jej z drogi. Z takim to właśnie postanowieniem, on, co zwykł był sypiać dość długo, zerwał się nazajutrz wcześniej niż zwykle i zaczął chodzić w kółko po drugim pokoju. Odyniec był pewny, że jego towarzysz ułożyła w głowie poemat i dlatego umyślnie przedłużał drzemkę, aby mu nie przeszkadzać. Tymczasem przy kawie wystąpił Adam z niespodziewanym projektem wyjazdu do Neapolu, dokąd wtedy właśnie wybierał się i Aleksander Potocki. Kto wie nawet, czyby ten zamiar już wtedy nie przyszedł do skutku, gdyby nie Odyniec, który, będąc jeszcze tego samego dnia u państwa Ankwiczów, zastał tam nadzwyczaj przychylnie dla swego przylaciela usposobienie, nie wyjmując i samego hrabiego, rozpływającego się nad jego nauką i geniuszem. W skutek tego rozmówił się Odyniec otwarcie z Mickiewiczem, podzielił się z nim otuchą, której zaczerpnął w rozmowie z samą matką Ewuni, i w ten sposób stanęło—jak mówi—na dewizie Bayarda: „Fais ce que tu dois, advienne ce que pourra.“ Odtąd przez długi czas nie było już mowy o wyjeździe do Neapolu, lecz owszem, coraz nowe w towarzystwie państwa Ankwiczów odbywały się wycieczki, których celem z kolei były wille: Albani, Niels i San Severino. Tymczasem nadchodziły coraz cieplejsze dni marcowe, a wraz z nimi i coraz więcej podróży przybywało do Rzymu. Między tymi był jeden, z którym się nasz poeta miał niezadługo najserdeczniejszą połączyć przyjaźnią. Było to właśnie 3 marca, gdy do mieszkania jego wszedł młodzieniec wówczas 25 lat mający (ur. 1805), przystojny, rumiany blondyn, z wesołym na twarzy uśmiechem. Widocznie pewny był radosnego przyjęcia i dlatego szedł wprost ku Adamowi. Ale Mickiewicz go nie poznał, nie ruszył się nawet z kanapy, na której siedział.

— Pan mnie nie poznaje! Jestem Stefan Garczyński.

Jeszcze i po tych słowach zdawał się Mickiewicz nie przypominać sobie swojego z Berlina znajomego. Jakoż nie można się dziwić, że wśród wielu zrobionych w Berlinie znajomości mógł o Garczyńskim zapomnieć, ale i to łatwo zrozumieć, że tak chłodne przyjęcie zmieszkało cokolwiek późniejszego autora „Wacława dziejów.“ Dopiero Odyniec stosownem przemówieniem o niedobrej Mickiewicza pamięci, zwłaszcza gdy chodzi o zapamiętanie fizyognomii, naprawił całą sprawę. Wkrótce atoli obaj nasi poeci pokochali serdecznie sympatycznego Stefana i wprowadzili go do domu państwa Ankwiczów, gdzie miał sposobność poznania się z całym, bawiącym wówczas w Rzymie, towa-



rzystwem polskiém. Około tego samego czasu, bo właśnie 10 marca, postanowili państwo Ankwiczowie odbyć cokolwiek dalszą wycieczkę do miasteczka Fiumicino, leżącego już nad brzegami Śródziemnego morza, przy ujściu Tybru. Zaproszony był i Garczyński, ale dla jakiejś przeszkody nie mógł z tego korzystać. Pojechali więc tylko państwo Ankwiczowie w towarzystwie Mickiewicza, Odyńca i młodego księcia Alexandra Czartoryskiego, wraz z jego guwernerem Strzeleckim. Podróż zajęła dzień cały i odbyła się jak najpomyślniej. To też każdy powrócił z miłymi wspomnieniami i w wesołym humorze. Tylko panna Ewa była tym razem więcej niż zwykle poważna i zadumana. Przyczyną zaś tego miało być następujące zdarzenie.

Oto przy sposobności owęj wycieczki, zwiedzano także i ruiny stariej świątyni Jowisza, znajdującęj się na Isola Sacra przy ujściu Tybru. Wszyscy byli pod wrażeniem uroczej miejscowości, gdy nagle zjawia się jakaś obszarpana cyganka i obiecuje panienkom wywróżyć z dłoni przyszłość. Panna Ewa podała natychmiast rączkę; toż samo uczyniła i Marcelina, pociągnięta przez nią do tego.

Co wywróżyła cyganka, nie wiedziała wówczas reszta towarzystwa. Dopiero później wyszło na jaw, że według téj przepowiedni, Ewunia miała po dwakroć wychodzić za mąż. Marcelina zaś — wstąpić do klasztoru.

## IX.

Po jednej z owych wycieczek na których panna Ewa obiecała być przewodniczką, wrócili obaj poeci weseli i ożywieni do pomieszkania swego. Wówczas przypomniał sobie Mickiewicz, że oddawna ma u siebie jéj album, w którym mimo nalegań Odyńca dotąd nic jeszcze nie napisał. Być może, że teraz właśnie album owo wpadło mu w oko. Wziął je tedy do ręki, a napisawszy u góry kartki swoje nazwisko, skreślił pod niém następujące wyrazy:

Mój Cicerone! Oto na pomniku  
 Jakieś niekształtne, nieznanome imię  
 Wędrownik skreślił na znak, że był w Rzymie...  
 Ja chcę oś wiedzieć o tym wędrowniku.

Może go wkrótce przyjmie do gospody  
 Kłótniwa fala; może piasek niemy  
 Zatai jego życie i przygody,  
 I nigdy o nim nic się nie dowiemy...

Ja chcę odgadnąć, co on czuł i myślił,  
 Gdy w księdze twojéj, śród włoskiej krainy,  
 Za cały napis to imię wykreślił,  
 Na drodze życia ten swój ślad jedyny...

Czy drżącą ręką po długim dumaniu —  
 Rył go powoli — jak nagrobek w skale?  
 Czy go odchodząc uronił niedbale,  
 Jako samotną Izę przy pożegnaniu?

Mój Cicerone! dziecinne masz lice,  
 Lecz mądrość stara świeci nad twém czołem;  
 Przez rzymskie bramy, groby i świątnice,  
 Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem.

Ty umiesz przejrzeć nawet serca z głazu,  
 Gdy błękitnemi raz rzucisz oczyma,  
 Odgadnąć przyszłość z jednego wyrazu,  
 Ach! ty wiesz może i przyszłość pielgrzyma!

Na drugi dzień odniósł poeta sam album do państwa Ankwiczów. Łatwo więc pojąć, z jakim uczuciem czytała panna Ewa wiersz, dla niej umyślnie napisany. Ale ojciec jój, który go zapewne także przeczytał, nie okazał wcale zadowolenia. Być nawet może, że nie zdołał już teraz ukryć złego z tego powodu humoru, że nawet wówczas już (po raz pierwszy) nie podał ręki odchodzącemu poecie. Zrozumiał to dobrze Adam, ale podobnie jak Jacek Soplica w „Panu Tadeuszu“ choć czuł, ile jest piekła w obrażonej dumie, nie zdradził przecież tego, co było na dnie jego duszy, a co mimo tego nie uszło zapewne uwagi pani Ankwiczowej i jój córki:

Ale Ewa, zważając mój wzrok i mą postać,  
 Zgadywała, nie wiem jak, co się we mnie działo,  
 Patrzyła błagająca, lice jój bledniało;  
 A był to taki piękny gołąbek łagodny,  
 I wzrok miała uprzejmy taki! tak pogodny,  
 Taki anielski, że już nie wiem, już nie miałem  
 Odwagi zagniewać jój, zatrwożyć, milczałem...

Zdaje się, że słowa te napisał poeta pod wpływem wspomnienia owego pamiętnego dla siebie wieczoru, po którym wrócił do domu w takim usposobieniu, iż gotów był zaraz uazajutrz wyjechać do Neapolu, a nawet zamiar ten oświadczył swemu przyjacielowi. Odyniec, domyślając się powodu tego nagłego postanowienia, poszedł zaraz nazajutrz do państwa Ankwiczów, a nie zastawszy hrabiego, rozmawiał z pannami i panią domu, która natrącając coś o splenie, napadającym nieraz jój męża, dodała kilka słów o potrzebie wyrozumienia dla starszych. Gdy nadto jeszcze tego samego dnia miał sam hrabia być u naszych poetów, aby ich znowu zaprosić na wieczór, w następnych zaś dniach nastąpiły znowu rozrywki takie, jak wycieczka do Frascati, wieczór u księżnej Dietrichstein, lub wreszcie zwiedzenie przy pocho-

dniach muzeum watykańskiego, zapomniał poeta jakoś powoli o swym zamiarze opuszczenia Rzymu i o chwilowém z panem Ankwiczem nieporozumieniu. Do wyrównania tych stosunków przyczyniła się może najwięcej sama pani hrabina, która kochając córkę i dbając o wątlej jej życie, zdawała się widocznie sprzyjać skłonności którą bystre oko matki spostrzegło niezawodnie od pierwszej chwili. Bardzo wiele zrobił w tej sprawie także Odyniec, lubiony przez całą rodzinę Ankwiczów, nie wyjmując nawet samego hrabiego, który mu zawsze dawał dowody swęj życzliwości i przyjaźni. Mimoto zdaje się, że nie zaraz gotów był poeta pojawić się znowu w domu przy ulicy Mercede. A przecież smutno mu było nie widzieć Ewy; dlatego być może, że wtedy kupił sobie rycinę Magdaleny Correggia, do której zdaniem jego, Ewa była podobna. Tymczasem nadarzyła się inna sposobność do widywania się z panną Ankwiczówną. Około tego bowiem czasu najznakomitszy wtedy portrecista Craffonari robił właśnie jej portret. Poeta dowiedział się o tém, i przychodził do pracowni Craffonarego, gdzie zastawał Ewę w towarzystwie jej matki. Portret był już naszkicowany, ale rodzice nie byli z niego zadowoleni. Posłuchajmy, jak sama Ewunia po latach kilkudziesięciu opisała to w swoich „Zwierzeniach“

...„Do Craffonarego trzeba było iść wysoko, jak na wieżę, do pałacu weneckiego, w którym na najwyższém piętrze miał swoją pracownię. Ewę trudziły wschody, więc wnoszono ją tam. Podczas długich posiedzeń bawił prawie ciągle Adam, rozmawiał to z Craffonarem, to z nią samą; to téż portret nabrał życia i wyraz srogich nudów, który wprzódk miały jej rysy, przemienił się w ożywiony. Wpatrując się w nią z malarzem, znajdował tysiąc razy sposobność powiedzenia jej jakiejś grzeczności, która ją podnosiła w własnej opinii. Cieszyła się tém w głębi ducha, a jednak bała się zajrzeć w serce swe, bała się ojca i przyszłości. Puszczala się jednak na to pole uczuciowe, jak dziecko nieprzezorne. Matka zdawała się dzielić jej wrażenia. Marcelina ostrzegała, ale tych rad nie lubiła słuchać; zaczęła nawet myśli swe przed nią tacić“...

Niedługo potem ułożyli państwo Ankwiczowie wycieczkę do Genzano, miasteczka położonego w górach Abruzzo, gdzie się znajdował najdawniejszy klasztor Augustyanów, słynący oraz cudownym obrazem Pocieszenia N. Panny. Wycieczka ta, a raczej pielgrzymka, odbyła się w kwietniu 1830 roku, w towarzystwie dość liczném, bo prócz rodziny Ankwiczów wzięli jeszcze udział obaj nasi poeci, a prócz nich książe Aleksander Czartoryski, ze swoim guwernerem Strzeleckim, Felicyan Niegolewski i Stefan Garczyński ze swym krewnym Gajewskim. Po noclegu, odbytym tego samego dnia w Palestrynie (dawnem Preneste), przybyło całe towarzystwo w dobrym humorze na miejsce przeznaczone. Damy spowiadały się i przystąpiły do Stołu Pańskiego, a Mickiewicz całą wotywę przekłęczał w kaplicy przed cudownym obrazem Matki Bożęj, od której i on spodziewał się pocieszenia. Gdy zaś po nabożństwie zwiedzano piękny ogród klasztorny,



i z tego powodu wszczęła się o życiu zakonnem rozmowa, skreślił Mickiewicz obraz tego życia w tak czarujący sposób, że panna Marcelina, słuchała go ze łzami w oczach. Widok tych łez zrobił na poecie wielkie wrażenie, zadumał się i w powrocie do Rzymu mówił niewiele. Za to, wróciwszy do domu, napisał wprost na czysto ów prześliczny wiersz do Marceliny Łempickiej:

Dziś cię za stołem swym Chrystus ugościł,  
Dziś tobie anioł niejeden zazdrościł,  
Ty spuszczasz oczy, które bóstwem gorą;  
Jak ty mię swoją przerażasz pokorą!  
Święta a skromna! Grzesznicy nieczuli,  
Gdy my w spoczynku skroń ospałą złożym,  
Tobie, klęczącej przed Barankiem Bożym,  
Jutrzenka usta modlące się stuli...

## X.

Szybko ubiegło następnych dni kilkanaście, urozmaiconych, zwiedzeniem Forum i Kolosseum przy świetle pochodni, wycieczką do Ostii, leżącej przy ujściu Tybru, a nakoniec uroczystém świąconem u państwa Ankwiczów, gdzie znajdowali się prawie wszyscy bawiący wtedy w Rzymie Polacy. Nareszcie po dwóch jeszcze wycieczkach do Tivoli (12 kwietnia) i do Subiaco, w których obaj nasi poeci wzięli udział, zaczął już pan Ankwicz coraz częściej wspominać o zamiarze opuszczenia Włoch i powrocie do kraju. Do stanowczego postanowienia mógł się przyczynić list otrzymany od jednego z jego wiejskich sąsiadów, w którym między innymi były te słowa:

„Rozchodzi się wieść, że wydajesz córkę za sławnego wieszczka polskiego“.

— Widzisz, do czego to wszystko prowadzi, rzekł wówczas hrabia do żony, ale mimo to nie miał przecież odwagi zabronić przystępu do domu swego człowiekowi, który bywał na salonach królowej Hortensyi, najpierwszych rodzin książęcych—poecie, którego geniusz wszyscy tak wysoko wielbili, a osobisty charakter cenili tak powszechnie. Bywanie więc takiego człowieka w domu jego może nawet schlebiało próżności hrabiego Ankwicza,

bom miał zachowanie

U szlachty i lubili mnie wszyscy ziemianie,  
Więc on niby miłości mojej nie dostrzegął,  
Przyjmował mnie jak dawniej, a nawet nalegał,  
Abym częściej przyjeżdżał, a ilekroć sami  
Byliśmy, widząc oczy me przyćmione łzami  
I pierś zbyt pełną i już wybuchnąć gotową,

Chytry starzec wnet rzucił obojętne słowo,  
 O mych dawnych miłośkach, bo prawda niestety!  
 Że już bałamucilem i dawniej kobiety—  
 Zwyczajnie młody głupiec! On gadając o tém,  
 Przy córce, jakby serce przeszywał mi grotem,  
 I po takich wspomnieniach w rozpacz i gniewie,  
 Czułem, że już nie mogłem nic mówić o Ewie...

Tak opowiada Robak w „Panu Tadeuszu,” ale widać, że poeta właśnie dlatego tyle prawdy wlał w swoje słowa, że i sam w podobnym zajdował się położeniu. Ale i następujący ustęp zgadza się z prawdą rzeczywistą:

W tem stolnik posepny,  
 Zimny jako słup soli, grzeczny, obojętny,  
 Wszczął dyskurs o czym? o czym? o córki weselu...

W istocie bowiem nieraz głośno odzywał się hrabia:  
 — Muszę wracać do kraju, czas córkę za męża wydać.

Około tego czasu Mickiewicz może i z powodu moralnych cierpień, które teraz podobnie, jak niegdyś w Kownie, wypadło mu przechodzić, zachorował i prawie przez cały tydzień nie mógł wychodzić z domu, choć tylko cztery dni pozostać musiał w łóżku. Na szczęście bowiem skończyło się tylko na gorączce czy też pewnego rodzaju febrze. Wszyscy znajomi otoczyli go swemi staraniami, a nieoceniona księżna Zeneida nawet z tego jedynie powodu wyjazd swój w góry o pięć dni opóźniła, i wyjechała dopiero wtedy, kiedy poeta już do zdrowia powrócił. Rozumie się, że i panna Ewa-Henryeta dowiadywała się o zdrowiu poety, a nawet nie zapomiała o „zielonym.”

Zdarzyło się, że właśnie w owym czasie pani Ankwiczowa, skutkiem jakiegoś przegranego z poetą zakładu, przysłała mu piękny portfel na papiery. Do tej przesyłki dołączony był bilecik i—cukierki dla Odyńca. W odpowiedzi na to, dziękując za cukierki, dodał Odyńiec następujące słowa:

„Odpowiadam na pytanie panny H., iż w chwili odebrania listu, Mickiewicz nie miał przy sobie koloru nadziei.”

Ale na tej samej kartce dopisał się zaraz sam rekonwalescent:  
 „Dziękuję nieskończenie memu szczęściu i pani hrabinie za piękny portfel. Pannie H. mam honor pokornie oświadczyć, że u nas nie godzi się grać z damami w żadną grę przez pošty... Ilekroć zechce przekonać się o mojej pamięci, a przysięgam na wszystko, co zielone od myrtu aż do pokrzywy, że o każdej z dwudziestu czterech godzin, znajdzie u mnie kolor nadziei. Edwardowi wierzyć nie można; ucukrował świerzgo usta z łaski Pani, jest więc świadkiem przekupionym. Mam nadzieję, że dziś u państwa wszyscy zdrowi i jednostajnie na nas łaskawi.

Najniższy i najzieleńszy sługa

Mickiewicz.”

Niedługo potem, dzień wyjazdu państwa Ankwiczów był już stanowczo oznaczony. Z tego więc powodu odbył się u nich 27 kwietnia 1830 obiad pożegnalny, na którym znajdowało się liczne, prawie z samych Polaków złożone towarzystwo.

Po obiedzie panna Ewa grała, a poeta słuchał—według słów Odyńca, jak—„nasepiony sokół.“

## XI.

Zanim wszakże Ankwiczowie wyjechać mieli z Rzymu, postanowili ci wszyscy, którzy tyle chwil przyjemnych spędzili w ich domu, urządzić na ich cześć rodzaj pożegnawczego festynu. W tym celu uzyskano pozwolenie od właściciela pięknej willi Pamphili-Doria, a nawet do użycia potrzebnej do tego sali pałacowej, porcelany i sreber stołowych, czego wszystkiego kredencarz pałacu miał udzielić. Mickiewicz radził z początku, aby wyprawić ucztę czysto polską i to według starej księgi, którą nawet jako rzadką osobliwość woził ze sobą po świecie. Była to zaś ta sama, o której wspomina i w „Panu Tadeuszu:“

Księga ta miała tytuł: „Kucharz doskonały“  
W niej spisane dokładnie wszystkie specyjały  
Stołów polskich; podług niej hrabia na Tenczynie  
Dawał owe biesiady we włoskiej krainie,  
Którym się Ojciec święty Urban ósmy dziwił;  
Podług niej później Karol-Kochanku-Radziwiłł,  
Gdy przyjmował w Nieświeżu króla Stanisława,  
Sprawił pamiętną ową ucztę, której sława  
Dotąd żyje na Litwie we guinnéj powieści.

Ale myśl Mickiewicza była w danych warunkach trudną do wykonania, i dlatego poprzestano na projekcie, zrobionym przez Strzeleckiego, którego szczegółowe wykonanie polecono kredencarzowi pałacu. Chodziło tedy jeszcze tylko o to, aby pod jakim pozorem sprowadzić do willi hrabiego Ankwicza wraz z rodziną, tembardziej, że z jednej strony nie było pewności, czy przyjąłby wyraźne zaproszenie, a z drugiej była i wielka ochota do zrobienia miłej w ten sposób niespodzianki. Wiedząc o tém, że hrabia jest zapalonym archeologiem, i że każde nowe odkrycie może go bardzo zainteresować, pobiegł Mickiewicz tego dnia rano do państwa Ankwiczów z wiadomością, że w willi Pamphili odkryto starożytne columbarium, które warto zobaczyć, zanim się inni ciekawi o tém dowiedzą. Hrabia w tej chwili posłał po powóz i z całą rodziną pojechał na miejsce wskazane. Tu dopiero wykryła się cała mistyfikacya, ale trudno było się gniewać za to, co z najlepszych wypływało chęci, a nadto urządzone było, jeżeli nie zbytownie, to przynajmniej z wdziękiem niezaprzeczonem. Po uczcie, złożonej z wybornych potraw, a podanych na książęcym serwi-



sie, po toastach, spełnionych dobrém winem przy użyciu najpiękniejszych pałacowych kryształów, puszczone wszystkie wodotryski, a prócz tego w pewném oddaleniu ukazał się ludowy balet, saltarella, wykonany przez Transteweranki, a właściwie miejscowe ogrodniczki. Wszystko to razem wzięte sprawiło uroczą dla państwa Ankwiczów niespodziankę, która długo zachować się miała w ich pamięci. Wszyscy też w najlepszym, prawdziwie sielankowym usposobieniu, przechadzali się po wspaniałym ogrodzie. Mickiewicz rozmawiał najwięcej z Ewunią, zbierał dla niej kwiaty i prawie od niej nie odstępował. Szybko i przyjemnie ubiegło w ten sposób kilka godzin, aż gdy ku zachodowi słońca, pan Ankwicz z obawy chłodnego wieczoru, odwiózł swoje panie do domu.

Wszyscy pamiętali długo tę wycieczkę, a Ewunia jeszcze po latach kilkudziesięciu, opowiadając ją szczegółowo p. Duchniński, miała dodać z westchnieniem:

— Był to dzień najpiękniejszy w mojem życiu! Jak będę umierać, jeszcze go nie zapomnę.

## XII.

Wróciwszy z willi Doria, dowiedzieli się nasi poeci o smutnej dla nich nowinie. Przyjaciel ich, ksiądz Parczewski, dla charakteru swego i nauki kochany przez całe towarzystwo polskie, ale niestety chory już od dłuższego czasu,— znajdował się w dniu owym w wielkim niebezpieczeństwie. Mickiewicz i Odyniec pospieszyli do niego tego samego wieczoru, chcieli nawet obydwa całą noc przy nim czuwać, ale na przedstawienie przyjaciół, troskliwych o zdrowie poety, który i tak niedawno sam był chory, odprowadził Garczyński Mickiewicza do domu i przenocował z nim zamiast Odyńca, który tymczasem pozostał przy Parczewskim. Nazajutrz przez cały dzień nie odstępował Mickiewicz chorego przyjaciela, który w nocy z dnia 30 kwietnia na 1 maja pożegnał się z tym światem.

Śmierć ta sprawiła na poecie, zarówno jak i na wszystkich ziomkach, głębokie wrażenie. Państwo Ankwiczowie opóźnili nawet swój wyjazd, aby być na jego pogrzebie.

Parczewskiego pochowano 3 maja w kościółku św. Stanisława, gdzie też w posadzce kościelnej znajduje się tablica z napisem polskim, który ułożył Mickiewicz.

Stattler w „Przypomnieniach starych znajomości“ (ogłoszonych w „Kłosach“ z r. 1873), opowiada, w jaki sposób powstał ten napis, przy którego układzie poeta z taką gotowością odstępował od własnego pomysłu, aby uwzględnić życzenia i uwagi swoich przyjaciół. Oto Mickiewicz wziął pióro do ręki i zaczął pisać. Już ułożył kilka wraźców, gdy Garczyński zwrócił uwagę, aby nie pominąć historycznej daty 3 maja, inni zaś chcieli, aby na tablicy wyrażono kto ją położył.

— Czyż wam koniecznie chodzi o to, aby obok wspomnienia umarłego było i o was wspomnienie? — zapytał Mickiewicz.

— Nie, nie chodzi o nasze nazwiska, lecz o narodowość tych, co kamień położyli — odpowiedzieli niektórzy.

Poeta przekreślił na to słów kilka, a w skutek tego powstał napis, którego pierwszy wiersz był pomysłu Strzeleckiego, ażeby całość miała charakter chrześcijański:

W imię Ojca, Syna i Ducha Św.  
Stanisław ks. Parczewski  
Urodził się w Litwie. Umarł w Rzymie 1830 r.  
Pochowany dnia 3 maja.  
Ziomkowi  
Ten kamień położyli  
Przyjaciele.

Na drugi dzień po pogrzebie księdza Parczewskiego wyjechali państwo Ankwiczowie z Rzymu, udając się do majątku swego w Galicyi. Strzelecki wraz z uczniem swoim, księciem Aleksandrem Czartoryskim, towarzyszyli im aż do Florencyi. Mickiewicz, Odyniec, Garczyński i kilku innych młodych ludzi odprowadzało ich także.

Mickiewicz jechał w powozie wraz z damami, i wtedy ofiarował pannie Ewie dwa tomiki swoich poezyj. Na okładce położył jęj imię i nazwisko, a potęm słowa: „W dzień odjazdu z Rzymu. Adam Mickiewicz.”

Na pierwszój kartce dopisał prócz tego: „W bramie del popolo. Wyjeżdżamy z Rzymu, nie będziemy płakać ani w dzień ani w nocy, będziemy w dobrém zdrowiu. Do widzenia!”

Na drugim tomiku, w którym zawierały się „Dziady,” położył słowa: „Nie wolno czytać!” a nadto wiele ustępow ołówkiem na krzyż poprzekreślał.

Gdy przybyli do Ponte Mole, zamierzał Mickiewicz pożegnać się z odjeżdżającymi, aby wracać do Rzymu i sposobić się do zamierzonej podróży do Neapolu. Jednak pani Ankwiczowa zachęcała, aby ich odprowadził do pierwszój stacyi pocztowój w Starta. Mickiewicz nie mógł odrzucić zaproszenia, tęm bardziej, że Odyniec, wracający do Rzymu, obiecał wszystko do podróży neapolitańskięj przysposobić.

Rozstawszy się z rodziną Ankwiczów, wrócił poeta do Rzymu, i według świadectwa Odyńca był nadzwyczajnie słodki i miękki, tak, że nie zmarszczył się nawet, chociaż nie zastał jeszcze żadnych do wyjazdu przygotowań. Tęgo samego wieczoru w gronie znajomych poszedł na forum i do Kolosseum, aby je przy świetle księżyca po raz ostatni oglądać i pożegnać. Kolosseum bowiem dziwny zawsze miało dla niego urok. Tam — jak opowiada Statler — siadał skromnie jak pielgrzym pod drewnianym krzyżem na środku areny i skupiony w sobie dumiał nieraz całęmi godzinami. Dzień następný zeszedł na przy-

gotowaniach do podróży, pakowaniu rzeczy i poszukiwaniu koni. Na koniec dnia 6 maja (1830) puścili się nasi poeci w dalszą drogę w towarzystwie Stefana Garczyńskiego i Adolfa Januszkiewicza, którzy ich odprowadzili do Albano. I trzebaż było, że w ten sposób z dwójga ludzi, których myśli i uczucia już wtedy tak ściśle zaczynały się łączyć, w tych samych dniach jedno udawało się na północ, drugie zaś dążyło ku południowym stronom. Państwo Ankwiczowie bowiem, wyjechawszy ze Rzymu 4 maja, przepędzili całych sześć dni w podróży, zanim przybyli do Florencyi, zaś Mickiewicz jeszcze równocześnie z nimi znajdował się w drodze do Neapolu. Już ta sama okoliczność dawała powód do częstych i wzajemnych o sobie wspomnień.

Mickiewicz może nieraz wówczas spoglądał na obrazek Magdaleny Correggia, który dla podobieństwa z Ewunią lubił przy sobie nosić, może przypominał sobie owe czarowne chwile, spędzone razem w pięknej willi Pamphili-Doria.

A panna Ewa? I ona nie wypuszczała go ze swęj myśli... Miała przecież ze sobą jego poezye. Z tych dawniej już umiała wiele na pamięć, teraz zaś odczytywała nieznanne jęj przedtęm sonety i powtarzała je z pamięci. W ten sposób zdawało się jęj, że rozmawia z samym autorem, że widzi go obok siebie i słyszy żywe jego słowa...

### XIII.

Ósmego maja 1830 roku przybyli nasi poeci do Neapolu, w towarzystwie Felicjana Niegolewskiego, który w drodze połączył się z nimi. Tu, zamieszkawszy w domu prywatnym Via Conzezione n. r. 39, zaczęli rozpatrywać się w mieście i w czarownych jego okolicach.

Wkrótce tedy poznali

I straszne Pauzylipu skaliste wydroże <sup>1)</sup>

i wiele innych osobliwości tamtejszych, które zwiedzili, korzystając z pwozu uprzejmego dla nich hr. Aleksandra Potockiego <sup>2)</sup>.

Do ożywienia wycieczek przyczyniła się niemało znajoma już nam panna Anastazyja Klustin, która tu z matką swą i bratem także przybyła. Jednak teraz nie była ona już niebezpieczną dla naszego poety, chociaż Byron polski, jak go nazywała w swym dzienniku, jak

<sup>1)</sup> Odwieczny tunel wykuty w skale, stanowiący drogę z Neapolu do Puzzoli (dawnego Puteoli). Wyraz grecki Pauzylipu znaczy tyle, co „zaniechaj troski“, odpowiada więc francuskiemu Sans-souci.

<sup>2)</sup> Aleksander hr. Potocki okazywał tyle uprzejmości dla Mickiewicza, że otworzył mu nawet kredyt u jednego z bankiorów Neapolitańskich, o czém opowiada Fontille w biografii Mickiewicza i Odyniec w „Listach z podróży.“ (Tom IV, str. 104).



dawniej tak i teraz zachwycał ją swoim geniuszem i charakterem. Panna Anastazyja przez cały czas pobytu we Włoszech spisywała dziennik swoich wrażeń. Są w nim naturalnie i niektóre wzmianki o Mickiewiczu, począwszy od pierwszej z nim znajomości, co nastąpiło jeszcze 14 grudnia 1829 r. W cztery dni potem, czytamy już notatkę:

„Wczoraj rano poeta Mickiewicz zachwyił mię swoim umysłem.“  
(Le poète Mickiewicz m'a enchantée par son esprit).

W dziesięć dni potem pisze panna Anastazyja:

„Wzrok Mickiewicza zapalił się, oczekuję od niego przynajmniej ody na cześć moję.“ (Les yeux de Mickiewicz se sont allumés, et j'attends au moins une ode en mon honneur).

Dnia 10 marca pisze autorka dziennika, że jego poezye czytała w tłumaczeniu, że one ją podnoszą i zachwycają, a gdyby sądzić można o autorze z charakteru, jaki nadał swęj bohaterce, byłby Mickiewicz aniołem; Aldona bowiem nie ma nic ziemskiego w sobie.

(J'ai appris à connaitre le Byron de Pologne. J'ai lu des traductions de ses oeuvres, je les trouve aussi poétiques, mais plus douces par le coeur, elles m'élèvent, me transportent. Si on pouvait juger d'un auteur par le caractère qu'il donne à son héroïne, Mickiewicz serait un ange).

Ale nareszcie dwudziestego pierwszego kwietnia 1830 pisała już panna Anastazyja: „Mickiewicz mi się podoba nieskończenie. Nie mogę odgadnąć, co on myśli o mnie.“ (Mickiewicz me plaît infiniment. Je ne puis démeler ce qu'il pense de moi). Któż wie, czy pełna egzaltacyi Rosyauka nie przybyła teraz właśnie do Neapolu, aby między innymi dowiedzieć się także o tém, czy o nięj i co o nięj pomyśli nasz poeta. Ale myśli jego zwrócone były stanowczo w inną stronę. Zrozumiemy téż łatwo, z jaką radością powitał list, który właśnie teraz z owęj strony przybywał. Oto, co pisała do niego zawsze dla niego łaskawa matka Ewuni:

„Florenecya 11 maja 1830 r.

Po sześciodniowęj podróży, stanęliśmy szczęśliwie we Florencyi dnia wczorajszego, i najpierwszém mém zatrudnieniem jest pisać do pana. Będąc pewną jego przyjaźni, wiem, że mu to zrobi przyjemność dowiedzieć się o podróżujących. Droęę całą mieliśmy smutną z różnych powodów. Henryetta było cierpiącą na ból zębów i głowy, do tego żal rozstania się z przyjaciółmi, tak łaskawymi dla nas, ciągle nam towarzyszył. Ostadzaliśmy sobie jak mogli te przykre momenta, odczytując jego śliczne poezye, w których jeszcze zdawało się nam głos pana słyszeć. Mówiliśmy zawsze o nim i prędkiem znowu zobaczeniu się, lecz wszystko to nie było tém, cośmy pożegnali i utracili. Pan Strzelecki, który jest prawdziwie najzyczliwszym panu, jechał z nami często, i także pomagał nam myśleć i mówić przyjemnie o upłynionych chwilach w Rzymie. Zwiedziliśmy sławną kaskadę w Terni, która jest cudnęj piękności i jedną z najpiękniejszych w Europie, lecz cóż! dla

mnie była niecznołą z powodu bólu zębów, jaki cierpiała moja córka nie do opisania, a do tego tak późno tam przybyliśmy i tyle było rzeczy do widzenia, że do późnej nocy przy świetle księżyca tam obchodziliśmy. Prosiłam litości tych panów, żeby się wrócili; nic nie pomogło, chora utrzymując, że jój nic z tym bólem i cierpieniem, wszędzie być musiała. Zwiedziliśmy różne miejsca, jak to: Spoleto, Perugia, Arezzo i sławne jezioro Trasimeńskie, zgoła cała ta podróż jest złożona z najpiękniejszych miejsc, szkoda, żeśmy jój razem nie zrobili. Strzelecki za parę dni nas odjeżdża, a tak zostajemy sami, niepewni jeszcze gdzie pojedziemy, a od doktora wiele zależeć będzie, co się ma z nami stać; en tout cas, nie zapominaj pan o nas. Pisz téż tylko o sobie, o swojém zdrowiu, jak się podróż udała i czy się Neapol podobą. Ja znowu pisać będę, gdzie pojedziemy ztąd, a tak zostanie nam ta pewność, że czy razem, czy w oddaleniu, będziemy na zawsze jego najszczerzej życzliwości przyjaciele

Ankwiczowie.

„Mąż mój łączy swe ukłony. Mój mąż, książę Aleksander, pan Strzelecki, książdź Zamojski, wszyscy są we Florencyi, a ja, słuchając pięknej muzyki, która pod mojém oknem różne tańce wygrywa, piszę niniejszy list. Może téż, kiedy go przy takich wesołych tańcach kreślę, i wesołe myśli wzbudzi, bo prawdziwie bardzo smutni jesteście.“

Do powyższego listu dołączony był drugi, pisany ręką panny Ewy. Zaczynał się on od słów następujących:

„Z ukontentowaniem biorę się do wypełnienia mojej obietnicy, w opisanu kaskady „delle marmore“ w Terni, a chociaż czuję, iż na to bieglejszego trzebaby pióra, jednak zaufana w dobroci Pana i pewna, że przebaczy nieudolności swjej siostry, zaczynam to dzieło...“

Opisawszy następnie dość szczegółowo i nie bez pewnej poezyi ową piękną kaskadę, kończy autorka list swój w sposób następujący:

„...Wieczór był śliczny, spokojny, i gdyby nie mocny ból zębów, byłby zapewne przyjemniejszą pamięć mi zostawił. Może téż ten ból jest przyczyną, że się jój źle przypatrzyłam i tak niedokładnie opisałam. Jakkolwiek jest, niechaj Pan nie widzi w tém, tylko dobrą chęć od zawsze mu życzliwej

Henryety Ankwicz“.

Poznawszy Neapol i niektóre, zwłaszcza najbliższe jego okolice, wybrał się Mickiewicz 15 maja do Sycylii. Pojechał tym razem bez Odyńca, który nie miał ochoty do téj wycieczki. Nie umiemy powiedzieć, czy był wówczas poeta pod opoką, którą Sycylianie zwą „Birbante-Rokką“, ale pewną jest rzeczą, że zwiedził Palermo i Messynę, i że w ogólności nie bardzo z wycieczki téj zadowolony, powrócił do Neapolu 20-go lub według Odyńca 24 maja. Tego samego dnia odebrał list od pani Ankwiczowej, w którym zawierała się wiadomość, że z powodu śnierzci jój ojca, hrabia, chcąc ją rozerwać, postanowił nie wracać jeszcze do kraju, lecz jechać najprzód do Paryża, a potem zwiedziwszy Szwajcaryą, na zimą znowu do Rzymu powrócić. W ten

sposób mógł się poeta cieszyć nadzieją, że po niedługim czasie zobaczy znowu pannę Henryetę.

Tymczasem zaś wyprawił list, w którym oprócz współczucia z powodu doznanego ciosu, znajdowało się naśladowanie pięknej piosenki Goethego:

Znaszli ten kraj  
Gdzie cytryna dojrzewa.

Pani Ankwiczowa odebrała sama list na poczcie i dała go także córce do przeczytania. Z jakimże uczuciem czytała ona wówczas dawniejsze wspomnienia i nowe wezwanie do Neapolu:

Znaszli ten gmach.  
Gdzie wielkich sto podwoi,  
Gdzie kolumn rząd  
I tłum posągów stoi?  
A wszystkie mnie  
Witają twarzą białą:  
Pielgrzymie nasz,  
Ach co się z tobą stało?  
Znaszli ten kraj?...  
Ach tam, o moja miła!  
Tam był mi raj,  
Pókiś ty ze mną była!...  
Znaszli ten brzeg,  
Gdzie po skalistych górach,  
Strudzony muł  
Swój drogi szuka w chmurach?  
Gdzie w głębi jam  
Płomieniem wrą opoki,  
A z wierzchu skał  
W kaskadach grzmią potoki?  
Znaszli ten kraj?...  
Ach tu o moja miła!  
Tu byłby raj,  
Gdybyś ty ze mną była!...

Zwiedzenie odleglejszych cokolwiek okolic Neapolu, jak starożytne Bajae, Pestum, Sorrento, Herkulanum i Pompei zajęło jeszcze czas do 19 czerwca, w którym to dniu po blisko 6-tygodniowym pobycie w Neapolu, poeci nasi wybrali się napowrót w drogę do Rzymu, zkad znowu mieli się udać do Szwajcaryi.

Państwo Klustin zostali jeszcze w Neapolu, ale oznaczyli Genewę jako miejsce spotkania się z naszymi poetami w miesiącu sierpniu tego samego roku.



## XIV.

Tym razem szybko jechali nasi poeci, bo 20 <sup>1)</sup> czerwca byli już w Rzymie. Nieoceniona księżna Zeneida, która wówczas mieszkała na wsi w okolicy, przybyć miała umyślnie na pewien czas do miasta, aby nie pominąć sposobności widzenia się z Mickiewiczem.

Według opowiadania Kornela Stattlera, Mickiewicz, przyjechawszy teraz do Rzymu, pobiegł najprzód do jego pracowni. Stattler, mieszkający od lat siedmiu przy znacznej rodzinie włoskiej państwa Zerbini, oddawna kochał się w ich córce, pięknej pannie Klementynie i był już z nią po słowie. W tym właśnie czasie wykończył jej portret, którym się Mickiewicz w wysokim stopniu miał zachwycić.

— Jak ty duszę pochwyciłeś!... duszę piękną!... i serce pomieścisz na tych ustach, w tém spojrzeniu! — wołał poeta z zachwyconiem wpatrując się w dzieło malarza.

Potém zachęcał Stattlera, aby się żenił jak najprędzej, aby nie lękał się o chleb i miał ufność w Bogu, który i najbiedniejszych nie opuszcza.

— Ale spiesz się — dodał — bo chcę ci żonę do ołtarza poprowadzić, a wyjeżdżam niedługo.

Zachęcony temi słowy, uzyskał Stattler wkrótce zezwolenie rodziny swój narzeczonej i załatwił wszystko, czego wymagać mogła podobna okoliczność. Za kilka dni, t. j. 27 lipca, Mickiewicz z jednej strony, z drugiej zaś Odyniec, prowadzili już jako drużbowie — pannę Klementynę do ołtarza. Po ślubie, który odbył się między 10 a 11 godziną zrana odbyło się śniadanie, o 5-tój obiad w mieszkaniu nowożeńców. W niezlicznym kole biesiadników znajdowali się jeszcze Stefan Garczyński i jego krewny, Apolinary Gajewski, oraz kilku artystów włoskich, a między tymi był znany nam już portrecista Craffonari i kolega Stattlera Giacomo Sogni. Rzecz naturalna, że w kole artystów toczyła się rozmowa o sztuce i wniosostóm jój zadaniu. Mickiewicz mówił z zapałem o tym przedmiocie, a przy toaście na pomyslnieść młodej pary wypowiedział tak piękną, w języku francuskim improwizacją, że Sogni rozplakał się jak dziecko, a pięćdziesięcioletni Craffonari, zerwawszy się z krzesła, zaczął poetę gorąco ścisnąć i całować.

Odyniec spamiętał treść owiej improwizacji. — Poeta mówił o talencie artystycznym, jako o darze Boga i o sztuce, która dlatego powinna myśli i uczucia ludzkie uszlachetniać i dążyć — do Boga. Następnie, biorąc pobudkę z pięknego obrazu Stattlera, znanego pod nazwą *Machabeusz*, wyraził poeta życzenie, aby plemienny wpływ matki, jako córki ojczyzny Rafaela, Michała Anioła i Rossiniego, w połączeniu z obywatelsko-chrześcijańskim duchem polskiego artysty, odbił się kiedyś w zdolnościach i natchnieniach ich potomków.

<sup>1)</sup> Według Przypomnień Stattlera zaś dopiero 24 czerwca 1830 r.

Winniśmy dodać na tém miejscu, że życzenie to w istocie spełniło się po wielu latach, gdyż synowie Stattlera, obdarzeni niepospolitym talentem, poświęcili się sztukom takim, jak rzeźba, malarstwo i muzyka.

Nazajutrz po tym ślubie — według Przypomnień Stattlera <sup>1)</sup>, albo też dopiero 1 lipca, według Odyńca <sup>2)</sup>, mieli się poeci nasi pożegnać z Rzymem; ale wprzód jeszcze pomodlili się na grobie ks. Parczewskiego, odwiedzili wieczorem Kolosseum i przechodzili umyślnie przez ulicę Mercede, gdzie przed niewielu tygodniami mieszkali państwo Ankwiczowie. Nazajutrz rano odprowadził ich Garczyński aż do bramy del Popolo, poczem, pożegnawszy się z nim serdecznie i ze smutkiem, udali się poeci nasi w drogę — ku Florencyi.

Sześć dni, podobnie jak przedtém państwu Ankwiczom, zajęła im ta podróż. Zwiedzili też po drodze te same miejsca, oglądali ten sam wodospad, którego opis znany nam już z listu panny Ewuni.

Nie chcemy opowiadać szczegółowo tej podróży, znanój zapewne wszystkim czytelnikom z pięknych Listów Odyńca, ale mimo to nie możemy pominąć jednego szczegółu. Było to jeszcze w pierwszym dniu podróży, w małym miasteczku Civita Castellana, niedaleko Neapolu, gdzie podróżni nasi zatrzymali się dla odpoczynku i obiadu. Piękna, górzysta i pełna zieloności miejscowość zachęcała do przechadzki. Wyszli tedy obaj poeci i w jakimś uroczym wąwozie usiedli sobie pod drzewem oliwném na murawie. Rozmawiali wesoło, nie zwracając wcale uwagi, że niedaleko tego miejsca

Było wielkie mrowisko. Owad gospodarny  
Snuł się w koło po trawie, ruchawy i czarny...

Mrówki, podobnie jak w Świątyni dumania, choć tym razem nie

...znięcone blaskiem bieluchnej pończoszki,  
Wbiegły, gęsto zaczęły łaskotać i kąsać...

Nie było inszjéj rady, tylko podobnie, jak Telimena w Panu Tadeuszu, trzeba było:

...uciekać, otrząsać,  
Nakoniec na murawie sięść i owad łowić...

Scena ta, chociaż nie bardzo przyjemna, zabawiła naszych poetów, a Mickiewiczowi niewątpliwie przypomniała się wówczas i dostarczyła rysów, gdy pisał znany ustęp w czwartej księdze Pana Tadeusza.

<sup>1)</sup> Kłosa z r. 1873, str. 246.

<sup>2)</sup> Listy z podróży, tom IV, str. 145.

Z wrażeń, odniesionych w dalszej do Florencyi podróży, warto zapisać zwiedzenie Assyżu, gdzie Mickiewicz z uwielbieniem mówił o zasługach, pochodzącego ztamąd św. Franciszka, oraz przejazd koła dawnego jeziora trazimeńskiego (zwanego dzisiaj perugijskim), przy której to sposobności poeta nasz, zapewne pod wpływem dość świeżego czytania Liwiusza, szeroko i zajmująco mówił o słynnej na tém miejscu bitwie.

Przybywszy do Florencyi 6 lipca, zabawili tu nasi poeci przez dni cztery, poczem wyjechali do Pizy, a 14 lipca byli już w pysznej Genui (La soperba). Tu spotkali się niespodziewanie z synem Goethego, który w towarzystwie znanego Eckermana, wybrał się w podróż włoską, nie przeczuwając zapewne, że właśnie w sercu tej ziemi, t. j. w Rzymie, zaskoczył go miała śmierć w niedługim czasie, bo w końcu października 1830 r.

Z Genui udali się nasi poeci 18 lipca przez Pawią do Medyolanu, gdzie też przybyli 20 tego miesiąca. Miasto to znane im prawdzie było, ale mimoto zwiedzenie pracowni kilku pierwszorzędnych artystów, a nadewszystko niespodziewane spotkanie się z Klustinami zajęło im parę dni czasu. Gdyby nie ta ostatnia okoliczność, a oraz i chwilowa słabość Mickiewicza, byłby i on wziął udział w wycieczce do niedaleko ztąd mieszkającego Manzoni'ego, u którego jednakże z wymienionych powodów był tym razem tylko sam Odyniec. Dnia 24 lipca 1830 roku puścili się poeci nasi parowcem przez Lago Maggiore — ku granicom Szwajcaryi.

Tak tedy skończył się dla nich ów dziesięciomiesięczny (od 26 września 1829 r. trwający) pobyt we Włoszech.

Nieraz jeszcze w późniejszym życiu wypadło Mickiewiczowi przez dłuższy czas bawić w tej krainie; ale nigdy już później nie czuł się w niej tak szczęśliwym i swobodnym, jak właśnie za tego pierwszego pobytu.

Urok świeżych i nowych zupełnie wrażeń, towarzystwo tak serdecznego — jak Odyniec — przyjaciela, bliższe poznanie i pokochanie Stefana Garczyńskiego, a wreszcie owa idealna mitość Ewuni, — wszystko to razem wzięte opromieniło mu kilka może najswobodniejszych w całym życiu miesięcy. Poeta pełną czarą pił rozkosz tych wszystkich wrażeń tak, że w przeciągu tego czasu mimo sposobności do nachnień, nie miał wielkiej ochoty do pisania poezyi. Ztąd i zamierzona o Prometeuszu tragedia nie przyszła wcale do skutku, i w ogólności prócz kilku drobnych wierszy, nie przybyło nic więcej do jego teki. I nie można się temu dziwić; poeta bowiem był wierny swemu właśnie w tym czasie wypowiedzianemu zdaniu, że, „gdy człowiek żyje poezją, szkoda czasu na jej pisanie.”

A poezya ta wtedy ze wszech stron wciskała się w głąb jego duszy; była i w jego życiu wewnętrznym, zarówno jak na zewnątrz w jego otoczeniu, w rozrzuconych do koła najpiękniejszych sztuki i natury zjawiskach...



# TOWARZYSTWO

NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH W GALICYI

i jego I-szy walny zjazd we Lwowie

(w d. 24 i 25 maja r. b.).

PRZEZ

*Romana Zawilińskiego.*

## I.

Nauczyciele wszelkiej kategorii, związawszy się przed laty siedmnaście w jedno wielkie Towarzystwo pedagogiczne, które już tyle dobrego zdziałało, nie taili od początku istnienia tego Towarzystwa, że lubo drogę wszystkim poniekąd wspólną, cele przecież mają odrębne nauczyciele ludowi a nauczyciele szkół średnich. Ta świadomość ujawniła się najlepiej wtedy, kiedy Towarzystwo pedagogiczne, wydając swój organ „Szkołę,” postanowiło drukować dla nauczycieli szkół średnich osobny miesięczny dodatek. Nie wielki to był wprawdzie dodatek, ale przyznać trzeba, że zwłaszcza pod redakcją dyr. Br. Trzaskowskiego w granicach możności dawał wiele dobrych rzeczy. „Szkoła” tymczasem, idąc odrębną drogą, stawała się wyłącznie organem spraw szkół ludowych, a dodatek miesięczny dla nauczycieli szkół średnich, nie mogąc spełnić swego zadania w ciasnych ramach, niepoparty przez interesowanych, musiał zamilknąć zupełnie.

Przez lat przeszło dziesięć, pozbawieni byli nauczyciele szkół średnich wszelkiej spójni; ci, którzy byli we Lwowie, mieli jeszcze choćby ogólny interes w należeniu do Towarzystwa pedagogicznego i zwykle, wchodząc do wydziału, skutecznie dla ogólnego dobra pracowali,—ci, co na prowincyi lub w Krakowie pozostawali, należeli do Towarzystwa pedagogicznego ze zwyczaju, lub osobistej jakiej sympaty. I tak nadszedł—powoli czas, w którym nauczyciele szkół śre-

dnich, widząc żywotne swe interesa w niebezpieczeństwie, zobaczyli zarazem, że im brak do obrony téj siły, jaką daje jednostkom silny związek w stowarzyszeniu. Postanowiono ztemu zaradzić.

Pierwsi nauczyciele szkół średnich lwowskich, członkowie Towarzystwa pedagogicznego, nawiązując nić dawną, stworzyli w oddziale tegoż Towarzystwa we Lwowie, jeszcze z początkiem marca r. 1883 kółko, które stanowiąc część Towarzystwa pedagogicznego, miało na celu uzupełnienie prac przez nie podejmowanych. Pomyślny rozwój tego kółka i życzenie grona nauczycieli innych miast zawiązywania podobnych kółek, skłoniły Zarząd główny Towarzystwa pedagogicznego, do projektu zmiany statutu w tym duchu, aby utworzyć w łonie Towarzystwa sekcją kółek nauczycieli szkół wyższych. Projekt ten przedłożono Walnemu Zgromadzeniu Towarzystwa odbytemu w Stryju w lipcu tegoż roku. Zgromadzenie jednogłośnie go uchwaliło.

Tę zmianę statutu przedstawiono do zatwierdzenia Namiestnictwu, a tymczasem wypracowano odpowiedni regulamin dla „kółek nauczycieli szkół wyższych“ na wzór kółek i oddziałów Towarzystwa pedagogicznego na prowincyi tworzyć się mających i wezwano do łączenia się grona wszystkich szkół średnich.

Było to w listopadzie r. 1883.

Tymczasem w grudniu t. r., ministerstwo spraw wewnętrznych zabroniło tworzenia podobnej sekcji w Towarzystwie pedagogicznem. Niespodziewany ten grom wywołał chwilową konsternacją; górą poszli ci, którzy od pierwszej chwili radzili utworzenie osobnego Towarzystwa. Debatowano nad tém równocześnie, w gronach krakowskiem i lwowskiem. Rzeczywiście nie było innego wyjścia; prawie w jednym czasie zapadły uchwały utworzenia oddzielnego Towarzystwa, tak w Krakowie jak i we Lwowie. Ale zanim w Krakowie ułożono projekt, we Lwowie już uzyskano potwierdzenie statutu przez c. k. Namiestnictwo, (d. 15 marca 1884) i wezwano powtórnie wszystkie grona nauczycielskie do przystąpienia, ogłaszając zarazem: 1) zgromadzenie walne na d. 9 kwietnia (Wielka środa) t. r., celem wyboru wydziału, przyjęcia wniosków członków co do ewentualnej zmiany statutu, i ułożenia programu wydawać się mającego pisma.

Powstało więc nakoniec Towarzystwo we Lwowie. Krakowscy członkowie, po niejakiem wahaniu się, postanowili przystąpić do Towarzystwa, zastrzegając sobie atoli większą od zwykłych kółek autonomią. W maju r. 1884, wybrano wydział i prezesa, a w czerwcu uzyskano regulamin, mocą którego wydział lwowski Towarzystwa, ma „we wszystkich sprawach ogólnych, zarówno naukowych, jak stanu nauczycielskiego dotyczących, zasięgać zdania koła krakowskiego, i zdanie to w danym razie jako wotum mniejszości do uchwał i pism swoich dotaczać.”

Równocześnie prawie z krakowskiem kołem, powstało „Koło“ w Przemyślu; w grudniu t. r. w Drohobyczy; w marcu r. 1885 w Brodach, w kwietniu b. r. w Stanisławowie,

w maju w Tarnowie. Nawet sceptycy poczeli się powoli łączyć i tak obecnie liczba członków Towarzystwa doszła do 482.

Towarzystwo przybrało nazwę nie nauczycieli szkół średnich, ale wyższych. obejmując tą nazwą i profesorów najwyższych w Krakowie i we Lwowie zakładów naukowych, którzy oświadczyli chęć przystąpienia do Towarzystwa. Oczywiście, że takie zbliżenie się może tylko wyjść na korzyść wzajemną członków: z jednej strony profesoriowie uniwersytetu, powołani niejednokrotnie do obrony spraw szkolnych w sejmie i Radzie Państwa, będą mogli przez obcowanie z nauczycielami szkół średnich, nabrać dokładniejszego o ich stanie wyobrażenia; z drugiej zaś nauczyciele szkół średnich, korzystając mogą wiele od tamtych, szczególnie przez poznawanie najnowszych zdobyczy naukowych, których śledzenie nauczycielowi gimn., nieraz jest wprost niemożliwe. Cieszyć się przeto wypada, że z ogólnej liczby członków, 52 należy właśnie do szkół najwyższych.

Zapytać nam jeszcze wypada, w jakim kierunku przedewszystkiem rozwinęło Towarzystwo swą działalność?

Jeszcze w łonie Towarzystwa pedagogicznego, członkowie Kółka lwowskiego na wniosek prof. Fr. Próchnickiego, zajęli się żywiej sprawą nauki języka polskiego w szkołach średnich, i obok odczytów o tym przedmiocie mianych na posiedzeniach miesięcznych, wybrali 12 maja 1883 r. osobną komisją, „któraby się zajęła zebraniem ważniejszych wskazówek do nauki języka polskiego w szkołach gimnazyalnych i realnych.“ Komisją tę złożyło 10 profesorów, przeważnie języka polskiego uczących, z dyr. Dr. Z. Samolewiczem na czele. Po odbyciu kilkunastu posiedzeń w przeciągu roku, poleciono opracowanie wskazówek prof. Fr. Próchnickiemu, i wydrukowawszy je, rozesłano wszystkim członkom Towarzystwa, za rok 1884<sup>1)</sup>. „Wskazówki“ zainaugurowały świetnie istnienie Towarzystwa. Jakkolwiek ani doskonałe ani zupełne nie są, i potrzebują zmian szczególnie w części, traktującej o nauce gramatyki, i w części metodyki czytania i objaśniania ustępów w wypisach szkolnych, jednak jako suma tego, co dotąd napisano o metodyce języka polskiego i języka niemieckiego jako ojczystego, stanowią nieoceniony fundament, na którym dopiero gruntownie dalej budować można. Nad dalszą budową pracuje komisja kółka krakowskiego, starając się przedewszystkiem o to, aby językowi polskiemu, wyrobić takie samo w gimnazyach galicyjskich stanowisko, jakie na podstawie najnowszego planu posiada język niemiecki, jako ojczysty w prowincjach niemieckich monarchii austriackiej.

1) Tytuł cały brzmi: Wskazówki do nauki języka polskiego. Na podstawie obrad komisji wybranej przez Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych, opracował Franciszek Próchnicki. We Lwowie — nakładem Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. — 1885. — 8 maj, str. 91 i 3 nl.



Wspomniany powyżej plan, wraz z instrukcjami bardzo szczegółowemi do każdego przedmiotu nauki w gimnazyum wydany został w samą porę, aby Towarzystwu dać materyał do pracy bezpośredniej, nad rozwojem szkół średnich w Galicyi. Napisany przez wytrawnych pedagogów, będących powagami fachowymi, uwzględnia przecież tylko kraje niemieckie Austro-Węgier, i dlatego w zastosowaniu do Galicyi przedewszystkiém potrzebuje znacznych modyfikacyj. Powyżej już zaznaczyliśmy, że na podstawie instrukcyj dla języka niemieckiego jako ojczyzstego opracowywać, a przynajmniej uzupełniać trzeba instrukcyą, dla języka polskiego. Ponieważ wskutek tego, język niemiecki zajmuje w szkołach galicyjskich takie stanowisko, jak w szkołach niemieckich jakikolwiek drugi język nowożytny, nie można przeto już przepisów w instrukcyach dla niego napisanych, stosować do szkół galicyjskich, ale wypracować inne, odpowiednie dla stosunków odmiennych. To przedewszystkiém drugi punkt pracy, którą czeka Towarzystwo, aby naczelnéj władzy ułatwić to zadanie.

Ale i stosowanie zupełne innych przepisów, szczególnie odnoszących się do materyału lektury łacińskiej i greckiej, do historii powszechnej i ćwiczeń piśmiennych, skrzywiłoby cel, jaki mają w odmiennych warunkach postawione gimnazya galicyjskie. Stosowne więc zmiany, których proponowanie władzy szkolnej Towarzystwo sobie przedsięwzięło, wymagają oględności i koniecznej miary, (ob. jeszcze niżej przy omawianiu czasopisma „Muzeum“).

W ten sposób przypadkowo prawie, ale bardzo szczęśliwie jęto się Towarzystwo pracy nad przedmiotem, będącym *conditio sine qua non* nietylko pomyślnego rozwoju szkół średnich, ale przedewszystkiém odpowiedniego wykształcenia naszej młodzieży. Że praca ta w kompetentne złożona ręce, zyska przychylnosc władz szkolnych i wyda najpiękniejsze owoce—o tém wątpić nawet nie można.

Drugim kierunkiem, w którym się objawiła działalność Towarzystwa, jest uregulowanie stosunków służbowych nauczycieli, a przedewszystkiém ich zastępców t. zw. *suplentów*. Sprawę suplentów nazwano <sup>1)</sup>, słusznie „chroniczną chorobą“ organizacji szkolnej szczególnie gimnazyów galicyjskich. Z instytucyi, która miała zaspakajać chwilową potrzebę zastąpienia słabego nauczyciela, powstała instytucya stała, która dostarcza szkołom połowy nauczycieli z połową ich płacy, ale ani z częścią ich praw i prerogatyw. Wynikło to z potrzeby dostarczenia sił nauczycielskich zakładom, które się szybko rozwijać poczęły i w których frekwencya dochodziła do coraz wyższej liczby uczniów. Zamiast tworzyć w miarę tego nowe gimnazya, lub nowe posady dla klas równorzędnych, zapełniano potrzebne miejsca suplentami. Powstał w ten sposób stan ludzi inteligentnych, bo skończonych akademików, którzy chwilowo zyskiwali podstawę bytu; ale gdy i po kilku latach, mimo uzyskanéj kwalifikacyi posady

<sup>1)</sup> „Muzeum“ str. 113, (zesz. 3 z r. 1885).

rzeczywistój otrzymać nie mogą, popadają w apatyę a często i w nędzę. (Zob. „Muzeum“ zes. 3, z r. 1885).

Na ten anormalny stan rzeczy, właściwy tylko Galicyi, postanowiło Towarzystwo na drodze legalnej szukać środka; jeszcze jako kółko Towarzystwa pedagogicznego, wysłało petycją do sejmu krajowego i do Rady państwa i uzyskało przyrzeczenie pomnożenia posad nauczycieli nadetatowych.

Nie zaniedbało też Towarzystwo i kwestyi podręczników szkolnych—kwestyi, stojącej w tak ścisłym związku z pomyślnym tokiem nauki i poruszyło sprawę fizycznego kształcenia młodzieży, zaniedbaną ogólnie; na zgromadzeniach zaś miesięcznych kótek obok wzajemnego pouczenia się o najnowszych zdobyczach umiejętności, poruszano i użytecznej poddawano dyskusyi stosunek domu do szkoły, wadliwości szkół, sprawę przeciążenia; zastanawiano się nad metodą przedmiotów naukowych, dążąc tym sposobem na podstawie zbiorowych spostrzeżeń do możliwej doskonałości.

Kiedy się pomyśli, że to wszystko robiono—a wiele zrobiono w przeciągu niespełna dwu lat, i że to robią ludzie, oprócz ciężkich obowiązków szkolnych obarczeni nieraz lekcyjami;—jeżeli się rozważy, że robiono to dopiero w niewielu kółkach, a przedewszystkiēm lwowskiēm i krakowskiēm, że zaś kótek takich z czasem może być dwadzieścia kilka—to się z jednej strony zrozumie zapał dla sprawy podjętej i miłość zawodu, z drugiej z pewną otuchą spojrzysz się w przyszłość młodzieży galicyjskiej.

## II.

Na 24 i 25 maja, r. b. tj. na same Zielone Świąta zaprosił wydział Towarzystwa członków swoich na drugie walne zgromadzenie czyli I walny zjazd do Lwowa. Zdawać się mogło, że wobec szczupłości czasu, zwłaszcza dla oddalonych więcj od Lwowa, przybycie będzie utrudnione, jeśli nie niemożliwe; tymczasem przeszło 100 członków zamiejscowych przybyło, aby uczestniczyć we wspólnej pracy, przypomnieć się znajomym i uściśnąć przyjaciół i kolegów niewidzianych lata.

O godzinie 11 z rana (dnia 24 maja), poczęta się powoli sala Rady miejskiej w ratuszu ożywiać, aż się zupełnie zapełniła. Między obecnymi było kilku członków Rady szkolnej krajowej, i sam jej prezes, p. Namiestnik. Posiedzenie zagał prof. Dr. Bron. Radzi-sz e w s k i, jako prezes Towarzystwa. W długiej przemowie powitałszy zebranych licznie członków i skonstatowawszy tym sposobem życzliwość dla Towarzystwa i jego rozwój, mniema, że przedewszystkiēm cel, jakim jest podniesienie oświaty krajowej, zdaje się łączycy wszystkich, którym dobro ogółu leży na sercu.

Warunki, od których owo podniesienie oświaty zawisło, mieszczą się—zdaniem d-ra Radziszewskiego—w trzech czynnikach: or-

ganizacyi i materyalnych warunkach szkół, w dzielności sił nauczycielskich, i w samém społeczeństwie, które swe dzieci do szkół posyła. Omawiając te czynniki szczegółowo, wspomniał szanowny mówca, że dziś pierwszy z nich zawisł w znacznej części od Rady szkolnej krajowej, do której też z należnym uszanowaniem zwracać się będzie Towarzystwo, ilekroć spostrzeże braki, które usunąć i skazy, które poprawić potrzeba. Obowiązku tego wyrazem, jest postawienie na porządku dziennym, kilku spraw odnoszących się właśnie do tego warunku podniesienia szkół. Do należytego utrzymania drugiego czynnika potrzeba, aby nauczyciele zostawali w nieustającym związku z ruchem naukowym i przyswajając sobie wszystkie zdobycze umiejętności dla szkoły zarazem zużytkować je umieli. Cel ten spełnia poniekąd czasopismo „Muzeum,“ dające sposobność do poważnych rozpraw pedagogicznych i naukowych i obznajamiania się wzajemnego z najnowszymi zdobyczami aktualnej nauki. — Trzeci czynnik nie zależny od nauczycieli, najmniej też może zajmować Towarzystwo; mimo to bezpośrednio oddziaływaniem na społeczeństwo i utrzymywaniem należytego stosunku między domem a szkołą, usunie się wiele przesądów i uprzedzeń, działających szkodliwie.

Osiągnięcie tego celu nie tak łatwe, ale stanie się ono pewnym, jeśli się będzie postępować powoli a wytrwale. „Niech że więc — zakończył szanowny mówca — cierpliwość będzie naszą zbroją, wytrwałość orężem, pobudką miłość kraju, przewodnikiem nauka a celem zwycięstwa — dobro i szczęście obywateli kraju.“

Mowę tę przyjęto długotrwałemi oklaskami; a kiedy załatwiono formalności takie, jak uwolnienie wydziału od sprawozdania z czynności, które jest wydrukowane (wniosek D-ra Zippera) i wybór komisji kontrolującej z trzech członków (wniosek D-ra Aug. Sokółowskiego), przystąpiono do porządku dziennego.

Prof. Fr. Próchnicki, jako referent wniosków w sprawie nauki języka polskiego, przedstawiwszy z jednej strony, że według słów Libelta „naród złożył w języku co miał najlepszego,“ z drugieją powtarzając za Szujskim, że język ojczysty u nas ogólnie zaniedbany a to przedewszystkiem: 1) z braku instrukcyi do jego nauczania; 2) dla braku nauczycieli należycie ukwalifikowanych i 3) z braku dobrych książek szkolnych — zwrócił baczniejszą uwagę na punkt pierwszy. Nauczyciel przedmiotu każdego, musi wiedzieć czego ma uczyć i w jakim zakresie. Tymczasem doświadczenia szkolne wymownie dowodzą, jak się rozmaicie zakres nauki pojmuje; w całym kraju niema dwu zakładów, w którychby program nauczania języka polskiego był jednakowy. I tak np. w nauce gramatyki w trzech gimnazyach, trzymano się planu samego prof. Małeckiego, w innych postępowano najdowolniej; dyktaty ortograficzne dawano w jednych zakładach tylko w I-jej, w innych w I i II-jej klasie; zadań w ogólności bywało np. w I klasie, w jednych zakładach miesięcznie 4, w innych 3, 2, a nawet 6, w V klasie zaś w jednych miesięcznie 3, w innych 2, w innych nakoniec 1 na miesiąc.



(Wszystkie te szczegóły zaczerpnął szan. referent, ze sprawozdań gimnazyalnych ostatnich lat 4). A dalej co do lektury np. nie jeden nauczyciel, nie wie jak ma postępować: czy mu wolno wybierać ustępy, czy postępować porządkiem książki? czy każdy ustęp może brać do analizy gramatycznej, czy tylko pewne? czy ma czytać utwory prozaiiczne naprzemian z poetycznymi? i t. d. i t. d. W wyższem gimnazjum postępowano w historii literatury, w jednych zakładach porządkiem historycznym: od czasów najdawniejszych w V klasie wiek złoty, w klasie VI epokę upadku i Stanisława Augusta w VII, a epokę romantyczną w VIII,—w innych czytano utwory w. XVI już w kl. V, a na najnowsze poświęcano kl. VII i VIII,—w innych nakoniec czytano w V już niektóre utwory literatury najnowszej. Nie zawsze też spotkać można i stosowny wybór; czytano np. w szkole „Zamek Kaniowski“ Goszczyńskiego, „Mazepę“ Słowackiego, „Dziadów“ części IV, Fredry mniej stosowne komedye i t. p. Rzeczy takie jak „Irydyon,“ „Przedświt“ i inne Krasieńskiego mogą być pożyteczne chyba dla bardzo rozwiniętych uczniów. Potrzeba więc koniecznie planu i szczegółowej instrukcyi, aby raz wszelkie dowolności usunąć i sprawę tę uregulować, tém więcej, że nauka języka polskiego spoczywa często w rękach młodych, niedoświadczonych nauczycieli, którzy sami sobie metodę wyrabiać muszą. Czując potrzebę podobnych Instrukcyi, Towarzystwo właśnie od ich ułożenia rozpoczęło swą pracę, pragnąc, aby ona była podstawą dla władzy szkolnej w ułożeniu podobnej Instrukcyi, o którą Towarzystwo prosić zamierza.

Punkt drugi podniesienia nauki języka polskiego dotyczy wypisów, które są podstawą lektury. Przez nie powinni uczniowie poznawać bogactwo języka ojczystego i jego literaturę, powinni czytać się kochać to, co swoje i szanować pamiątkę przodków. Takich wypisów nie mamy, a szczególnież brak ich czuć się daje w gimnazjum wyższem. Są wprawdzie dawne wypisy w 2 tomach, a 4 częściach i są dwutomowe wypisy Mecherzyńskiego, ale te doczekały się już słusznej krytyki prof. St. Tarnowskiego. Po tej recenzji, po długim spisie grzechów, nie powinny się wcale w szkole znajdować. Jeszcze wypisy Mecherzyńskiego dziś (zwłaszcza tom I) częściej używane mają pewien plan, i wybrane ustępy ale hołdują zasadzie „non multa sed multum.“ Przynajmniej jedna trzecia część jest nieprzydatną lub niestosowną; obok wybitnych pisarzy są osobistości podrzędne, a brak wielu znakomitych, co więcej: są w ustępach nawet miejsca niemoralne. Dodawszy do tego liczne błędy drukarskie, ma się obraz tej książki szkolnej.

Potrzeba więc koniecznie wypisów; tylko nie w ten sposób oczekiwać ich należy, aby się spuścić na dobrą wolę czyjaś, ale potrzeba wskazówek i zachęty od władzy przełożonej, do której z prośbą się udamy.

Trzecie życzenie, jakie wyrazić trzeba, żeby nauka języka polskiego odpowiednio mogła czynić postępy, odnosi się do samych na-

uczycieli. Wiadomo, że przy każdym zakładzie znajduje się tylko jeden nauczyciel wykwalifikowany do nauczania tego przedmiotu. Gdyby nawet chciał, nie może udzielać w większej ilości klas nad cztery, (razem 12 godzin tygodniowo), resztę wypełnia zwykle filologia klasyczna. A cóż się stanie, jeżeli zakład nie 8, ale 18 klas posiada? Oto nauczyciel kwalifikowany uczy w  $\frac{1}{5}$  lub  $\frac{1}{4}$  klas, a resztę rozdaje się między innych nauczycieli, zwykle młodszych. Ci przejęci nieraz zapałem uczą z powodzeniem, ale są i inni, którzy sami nie władają dobrze językiem, bo i takim się również język polski nieraz dostaje, ponieważ przy rozkładzie przedmiotów, jest liczba godzin obowiązkowych dla nauczyciela decydująca. Że rezultat nauki w takich stosunkach bywa mały—łatwo zrozumieć.

Poddawszy to wszystko rozwadze Walnego Zgromadzenia, postawił szan. referent następujące wnioski:

a) Walne Zgromadzenie uznaje konieczność wydania osobnej instrukcyi dla nauki języka polskiego i wydania wypisów polskich, dla wyższych klas gimnazyów i szkół realnych;

b) Walne Zgromadzenie wyraża przekonanie, że nauki języka polskiego powinni udzielać tylko nauczyciele do tego przedmiotu wykwalifikowani;

c) Walne Zgromadzenie upoważnia wydział Towarzystwa, aby powyższe uchwały przedstawił w osobnym memoryale Wysokiej Radzie szkolnej krajowej i prosił o ich wykonanie, dołączając projekt szczegółowej instrukcyi.

Nad każdym z tych wniosków rozwinęła się dyskusya, która nie naruszając zasadniczych postulatów, zmierzała do uzupełnień i poprawek. I tak wniosek: a) uzupełniono dodatkiem słusznym, że „Walne Zgromadzenie uznaje potrzebę wydawnictwa stosownych utworów poetów i prozaików polskich dla lektury prywatnej w klasach wyższych,“ (wniosek prof. Wójcika ze Stanisławowa). Przeciwno brzmieniu wniosku b) wystąpił prof. Dr. Œwikliński i żądał poprawki wyrazów: „nauczyciele do tego przedmiotu wykwalifikowani“ na „nauczycieli do tego przedmiotu należycie przygotowani,“ opierając się na tém, że w obec powyższego rozporządzenia administracya dyrektorów byłaby bardzo utrudnioną, a przecież każdy kandydat musi z języka polskiego zdawać egzamin, a zmuszony go znać, może go i uczyć. Słuszném było zupełnie wystąpienie przeciw tej zmianie prof. F. r. H a b u r y (z Tarnowa), który zakwestyonował kompetencyą rozstrzygania o uzdolnieniu, czy nauczyciel może języka polskiego udzielać lub nie. Gdyby nawet tak było, że egzaminowani z rozmaitych fachów kandydaci posiadają język polski w stopniu potrzebnym do wykładu swego przedmiotu, to jeszcze ten fakt nie przesądza o ich uzdolnieniu do nauczania tego języka, bo im brak najważniejszej rzeczy tj. metody. A wszak często uczą nauczyciele młodzi, którzy jeszcze żadnego egzaminu nie odbyli — któż o ich „przygotowaniu“ wyrokować może? Dyrektor czy grono nauczy-

cieli zakładu? Popiera tedy usilnie wniosek referenta prof. Próchnickiego, rozumiejąc go tak, aby przynajmniej w normalnej liczbie klas 8, udzielali nauczyciele do tego „ukwalifikowani.“ Ilu ich ma być—pozostawia się to władzy szkolnej do rozstrzygnięcia.

Mimo tej zupełnie racjonalnej obrony wniosku, nie uchwalono go w pierwotnym brzmieniu, ale z poprawką samego referenta na „uzdolnieni“, na którą się i dr. Œwikliński zgodził. Szkoda — bo ani ostatni wyraz, ani poprawka dr. Œwiklińskiego „przygotowani“ nie stawia rzeczy tak jasno jak pierwotny wniosek. Na podstawie takiego wniosku jest tylko możliwy—status quo...

Do wniosku c) proponowano zmiany, aby uprzedzając intencje rady szkolnej samo Towarzystwo zwołało komisją z fachowych nauczycieli złożoną i aby ona opracowała rzecz, gotowy operat R. Szk. do potwierdzenia przedłożyła (prof. Habura), co doznawało pewnej modyfikacji praktycznej (ze strony prof. Sękiewicza z Jasła), aby ta sama, co dotąd nad instrukcją pracowała komisja, tylko każdy fachowy nauczyciel miałby jej swe uwagi piśmiennie nadesłać.

Przy głosowaniu przyjęto wniosek referenta.

Wystąpił następnie p. Sędzimir jako referent koła krakowskiego w sprawie dalszych co do języka polskiego wniosków, a uznając należne zasługi komisji lwowskiej w ułożeniu „wskazówek“ przedstawił zarazem, że komisja krakowska, pracując nad nimi, w pewnych punktach idzie dalej a mianowicie, uważa za konieczne przyznanie językowi polskiemu tego samego stanowiska w rządzie przedmiotów gimnazjalnej nauki, jakie zajmuje język niemiecki w szkołach, w których jest wykładanym, a więc przedewszystkiem powiększenie liczby godzin tygodniowych w kl. I i II, z 3 na 4, podając żądanie swe w formie wniosku:

a) Walne zgromadzenie wyraża przekonanie; iż dla skuteczności nauki języka polskiego jako ojczystego i wykładowego koniecznym jest powiększenie liczby godzin wykładowych o tyle, iżby wyrównała liczbie godzin, wyznaczonych dla języka niemieckiego w austriackich szkołach z językiem wykładowym niemieckim.

Następnie, uzupełniając poniekąd referat prof. Próchnickiego, p. Sędzimir uznał i Wypisy dla klas niższych za nieodpowiednie, podnosząc natomiast zalety wysokie wypisów Ant. Bądzkiewicza, wydanych w Warszawie. Życzenie zmiany wypisów sformułował również w następującym wniosku:

b) Walne zgromadzenie wyraża przekonanie, iż dla metodycznego traktowania nauki języka polskiego w klasach niższych, koniecznym jest ułożenie i wprowadzenie stosownych wypisów dla klas niższych.

Obydwa te wnioski doznały zasadniczej opozycji. Przeciwno a) podniósł stanowcze veto ze względów praktycznych prof. dr. A. Matecki, mniemając, że nasze szkoły i tak mają znacznie wyższą liczbę godzin tygodniowych aniżeli w innych prowincjach austriackich, a lubo potrzebę tę już dawno odczuwano; wzgląd na przeciążenie zawsze zwyciężał.



Jeżeli uczniowie siedzą już po 5 do 6 godzin dziennie trudno jeszcze znaleźć bez uszczuplenia innych przedmiotów godziny żądane. Sądzi przeto, że wniosek ten jest niepraktyczny i radzi żądać mniej a celu dopiąć, niż wygórowanemi żądaniami utrudniać zwrot ku lepszemu. W tym samym duchu przemawiali prof. Wójcik i Polak (ze Stryja), poczem na wniosek prof. dr. Ćwiklińskiego przekazano tę sprawę wydziałowi Towarzystwa, aby się nad nią zastanowił i na przyszłe walne zgromadzenie wnioski swe przygotował. Przeszedł tylko bez zmiany dodatek prof. Tretiaka, który, wykazawszy anormalne stosunki gimnazjum niemieckiego we Lwowie, uważa za rzecz nagłą, aby godziny nauki języka polskiego w tém gimnazjum koniecznie powiększono.

Wniosek b) jeżeli nie większego, to pewnie równego doznał oporu. Prof. Wojcik dowodził, że wypisy dla klas niższych nie są tak złe, jak je referent przedstawił, że się z każdym wydaniem ulepszają, a jeżeli się dotąd nikt przeciwko nim nie odzywał, skądże nagle tak nieodpowiednie celowi się stały? Błędów pewnych zataić trudno, ale jeżeli się na nie w „Muzeum“ zwróci uwagę i poda propozycją zmian, będą się mogły w następném wydaniu poprawić i tak się powoli doskonalić. Wniósł przeto, aby zgromadzenie nad tym wnioskiem przeszło do porządku dziennego. W tym samym duchu przemawiali prof. Polak, Zalesski i Habura, z których ostatni radził nie rozpoczynać od systemu burzenia, zwłaszcza, że i z tych wypisów może dobry nauczyciel wiele nauczyć; wszyscy radzili odroczenie téj sprawy. Referent potępił stanowczo wypisy; ale niestety nie przytoczył choćby małego spisu ich błędów, tylko mniej więcej w ogólnikach się obracał. Sprawa poczęła jak najgorszy brać obrót gdyby nie członkowie koła krakowskiego, prof. Bobrzyński, Siedlecki, German, którzy wykazawszy, jakie są owoce nauki z tych wypisów, które wcale do młodej duszy dobrem usteępów nie przemawiają i trwalszego po sobie nie zostawiają wspomnienia, i skonstatowawszy, że wszyscy zgodzili się na'ich braki, a nie chcą zmiany na lepsze, jak gdyby chodziło o monopol wydawnictwa, uratowali sytuacją przynajmniej o tyle, że za stanowczem przyjęciem wniosku przemówił prof. dr. Ćwikliński i prof. Pl. Dziwiński, poczem skoro referent oświadczył, że nie miał na myśli zupełnego odrzucenia tych wypisów; ale konieczne ich przekształcenie, zarządził przewodniczący głosowanie, w którym większość przyjęła propozycją krakowskiego koła, odrzucając wnioski co do odroczenia.

Na tém zakończono pierwsze posiedzenie.

Posiedzenie popołudniowe rozpoczęło się o god. 4. Przedmiotem obrad były wnioski wydziału Towarzystwa w sprawie szkół realnych i instrukcyi do nauki poszczególnych przedmiotów w gimnazjach.

Z pomiędzy dwóch referentów, którym sprawa reformy szkół realnych była powierzona, wystąpił najpierw dr. Placyd Dziwiński (docent politechniki lwowskiej) i wykazał ważność podniesionej kwestyi, prze-

biegając powstanie i historyczny rozwój szkół realnych. Obecny ich stan w Galicyi nie odpowiada wymaganiom; metoda błędna nie obudza zupełnie zapału do nauki i wskutek tego szkoły te upadają.

Drugi referent prof. J. Rotter (z Akademii techniczno-przemysłowej w Krakowie), podnosząc szczegóły wykazuje, że w Galicyi na 6 milionów mieszkańców, jest tylko 6 szkół realnych i to ledwie wegetujących. Symptomat to niezdrowy i nad jego zbadaniem należy się głębiej zastanowić. Przyczyny tego upadku widzi referent najpierw w różnicy między planem z r. 1872 a instrukcją z r. 1879, na podstawie której w innych krajach austriackich szkoły realne się rozwijają, a która u nas nie obowiązuje; powtórnie w braku obowiązkowej nauki języków nowożytnych, mianowicie francuzkiego i angielskiego. Uważa tedy za konieczne danie nowej podstawy szkołom realnym, zrównanie ich co do liczby klas z gimnazjami klasycznymi i kończy rezolucją: „Zanim sejm krajowy, do którego ustawodawstwo dla szkół realnych należy, sprawę tę załatwi, należy dla galicyjskich szkół realnych przyjąć en bloc plan normalny z r. 1879, (obowiązujący już w całej Austrii) z dołączeniem języka niemieckiego, jako przedmiotu naukowego (język polski bowiem zajmie stanowisko jęz. niem. wyznaczone mu przez plan wspomniany).

Po wysłuchaniu tych gruntownych referatów, wszczęła się żywa dyskusya, dotycząca punktów zasadniczych. Reformować szkoły realne, lub pozwolić im upaść, aby na ich gruzach albo gimnazya albo szkoły przemysłowe wzrosły—czy téż z drugiej strony: podnieść je i postawić na odpowiedniej wysokości a potem obserwować czy one dla kraju są pożyteczne—oto były pytania, na które dyskutujący starali się odpowiedzieć.

Pierwszy prof. Bobrzyński oświadczył się przeciwko szkole realnej, sądząc, że gimnazjum (klasyczne) może spełnić zadanie przygotowania do uniwersyteckich i politechnicznych studyów.

Zdaniem mówcy, myśl rady szkolnej złączenia szkół realnych i gimnazjalnych w jedną szkołę średnią jest bardzo dobra. Ale stoimy wobec kwestyi szkół przemysłowych, któreby mogły kształcić podmajstrzych, a na ich brak, nie na brak techników skarżą się powszechnie. Zaznacza więc mówca ważność szkół przemysłowych, aby tego nie pominięto.

W tym samym duchu przemówił prof. dr. Aug. Sokołowski, zaznaczając jeszcze raz ważność szkół przemysłowych; przytem zauważył, że przyczyną upadku szkół realnych jest to, że u nas nie kwitnie przemysł, i że technicy skończeni nie mogą potem znaleźć posad i zajęcia.

Za wnioskiem wydziału przemawiał prof. Gredojć, który przytém zwrócił uwagę na opłakany stan nauki matematyki i liche książki i podał samoistny wniosek opracowania instrukcyi i podręczników dla szkół realny.

Również bronili wniosku wydziału prof. Bryk i Polak, tylko p.

Sędzimir zauważył, że wprowadzenie do szkół realnych planu normalnego z r. 1879, a z nim oprócz języka polskiego trzech jeszcze języków nowożytnych (niemiecki, francuzki, angielski) będzie przeciążeniem uczniów.

Pośredniczące poniekąd stanowisko zajęli prof. dr. German i prof. dr. Żuliński. Z tych pierwszy sądzi, że obok szkół przemysłowych istnieć mogą szkoły realne, bo jedne drugich nie zastępują. Potrzeba nam podmajstrzych, ale potrzeba i techników, ale techników skończonych i z egzaminami, bo tacy zawsze i wszędzie umieszczenie znajdują. Ponieważesmy sami przez własną niedbałość upadek szkół realnych spowodzili, musimy je teraz podnieść, sposobem przez wydział proponowanym. Dr. Żuliński zgadza się z dr. Bobrzyńskim, że szkoła gimnazyalna może również do politechniki przygotować, ale nie może dać tego praktycznego wykształcenia, jakie onby chciał widzieć w zreformowanych szkołach realnych. Za przykład daje b. gimnazjum realne w Warszawie, którego uczniowie mieli liczne laboratoria, odbywali pomiary, zwiedzali fabryki i zakłady i t. p.

Po przemówieniu obydwóch referentów i ten wniosek wydziału w głosowaniu przyjęto.

Wśród oklasków przeciągłych stanął następnie za stołem referentów ogólnie szanowany dyrektor dr. Z. Samolewicz, aby umotywoać wnioski wydziału w sprawie instrukcyi do nauki poszczególnych przedmiotów w gimnazyach <sup>1)</sup>. Instrukcye te zastosowane w całej rozciągłości do galicyjskich gimnazyów, musiałyby wprost przeciwne wydać owoce, niż te, jakie przez nie władze szkolne osiągnąć chciały, dlatego zdaniem wydziału potrzebne są pewne modyfikacye. Powody tych modyfikacyi rozmaite. A najprzód liczba uczniów w klasach jest tak wysoka, o jakiej w innych prowincyach państwa austryackiego ani pojęcia nie mają; powtóre liczba godzin szkolnych obowiązkowych w tygodniu dochodzi u nas do maximum, którego przekroczyć żadną miarą nie można; potrzebie, my mamy o jeden przedmiot naukowy t. j. o język niemiecki więcej.

Przerzeczone instrukcye, pisane dla prowincyi niemieckich, nie uwzględniają języka polskiego jako ojczystego, i co za tém idzie nie dają wskazówek co do języka niemieckiego, jako obcego. Dotąd u nas instrukcyi takiej nie ma, a ceune „uwagi“ d-ra Euzeb. Czerkawskiego nie mają mocy obowiązującej. Z tego względu wnosi szan. referent:

a) Walne zgromadzenie, uznając wydane przez wys. ministerstwo w. o. instrukcye do nauki poszczególnych przedmiotów w gimnazyach za cenne i oddawna pożądane, uważa za konieczne ich uzupełnienie przez dokładną instrukcyą do nauki języka niemieckiego w tych gimnazyach, w których ten język nie jest wykładowym.

<sup>1)</sup> Wydanych przez ministerstwo wyznań i oświocenia d. 26 maja 1884 r. i częściowo już w życie wprowadzonych. *Przyp. sprawozd.*



W ogólności charakter instrukcyi zbyt idealny; zawierają one maximum celu nauki, który się u nas osiągnąć nie da. Referent wykazał już w „Muzeum“ (zesz. 1 i 2), że np. w lekturze utworów klasycznych materyał bądź mylnie wybrany, bądź za obfity i mieszanym, (u nas np. „Germania“ Tacyty nie przedstawia interesu), a zeszytów i pisaniny w niższych klasach za wiele. Toż samo da się powiedzieć i o innych przedmiotach. W historii główna waga spoczywa na historii Niemiec, w geografii punktem wyjścia znowu Niemcy i Alpy. W matematyce są instrukcyje dobre, ale zdaniem fachowych nauczycieli nie są również dziełem skończonóm. W ten sposób motywując przedstawia referent wnioszek.

b) Walne zgromadzenie uważa za potrzebne w instrukcyach do nauki poszczególnych przedmiotów, zwłaszcza do nauki języków klasycznych, wprowadzenie pewnych modyfikacyi, które bez uszczuplenia ostatecznego celu nauki tych przedmiotów, pod względem środków dydaktycznych i objętości lektury, uwzględnić mają właściwości szkół galicyjskich, jako to większą liczbę uczniów, przedmiotów i godzin tygodniowej nauki.

Nakoniec niezawodnie wynika z poprzedzających wniosków, że jeżeli się chce instrukcyje wykonać, to potrzeba do nich zastosowanych podręczników. Wnosi tedy referent:

c) Walne zgromadzenie wyraża przekonanie, że instrukcyje dopiero wtedy dadzą się wszechstronnie wykonać, gdy do każdego przedmiotu wydane będą podręczniki i inne środki naukowe ściśle do instrukcyi zastosowane.

Nad tymi wnioskami nie było wcale dyskusyi. Potrzebę ich wykonania czują zarówno wszyscy nauczyciele, a przedstawienie i motywa były tak przekonujące, że nad szczegółami i szczegółikami dyskutować, byłoby tylko stratą czasu. Tylko p. Sędzimir uzupełnił referat d-ra Samolewicza uwagą, że cenne wskazówki do języka niemieckiego znajdują się w sprawozd. Akad. Umiej. w sprawie reformy szkół średnich; a prof. Polak żądał, aby radzie szkolnej podać gotowy projekt zmian instrukcyi.

Po zarządzeniu głosowania nad wnioskami okazało się, że je zgromadzenie jednogłośnie akceptuje.

Na tém zakończono drugie posiedzenie.

Liczne jeszcze wnioski pozostały na trzecie i ostatnie posiedzenie, tak że słuszna zachodziła obawa, czy będzie je można wyczerpać. Tymczasem dzięki sprężystości przewodniczącego i wytrwałości zgromadzonych, wyczerpano zupełnie porządek dzienny tak, że tylko odpadł wniosek d-ra Moliny, w sprawie wydawnictwa wypisów polskich i niemieckich dla klasy V szkół gimnazjalnych, ponieważ go sam wnioskodawca cofnął.

O godzinie w pół do 9-éj rano (d. 25 maja) rozpoczął posiedze-

nie referatem w sprawie zastępców nauczycieli sam szan. prezes Towarzystwa, zaprosiwszy d-ra Samolewicza do przewodniczenia.

Czém jest suplent w Galicyi? — wiadomo już powszechnie, a nawet i czytelnikom Bibl. Warszawskiej <sup>1)</sup>. Jestto dyetaryusz gimnazyalny, nie mający żadnych praw nauczyciela rzeczywistego, a dźwigający wszystkie jego obowiązki, mający pobierać 60% pensyi nauczycieli, a pobierający nieraz tylko 10% (105 złr. rocznie). Dla ilustracyi stanu rzeczy szan. referent przytoczył fakt jaskrawy, że między zgromadzonymi znajdował się jeden taki suplent, który pobierał 7 złr. miesięcznie! Wyznaczanie bowiem pensyi zależne od liczby godzin, w których suplent obowiązkowo uczy.

Takich to suplentów było w Galicyi w r. 1880-ym 68·2%, podczas kiedy w Austrii górnej było ich tylko 11%, na Szlązku 13% i podobnie w innych prowincjach. W osobnym artykule podnosiło już tę sprawę „Muzeum“ (zesz. 3) i Towarzystwo od początku swego istnienia, jak to już powyżej zaznaczyliśmy, sprawę tę miało na oku, udając się z petycjami do sejmu i do rady państwa. Dotychczas atoli nie wiele zrobiono. Referent tedy wnosi:

a) Walne zgromadzenie uznaje nadzwyczaj wielką liczbę zastępców w galicyjskich szkołach średnich, oraz brak wszelkich praw zabezpieczających byt, przyszłość i powagę zajmowanego przez nich stanowiska, za niezgodne z interesem szkół i społeczeństwa, wśród którego te szkoły istnieją.

b) Celem uchylenia tego anormalnego stanu rzeczy należy dążyć do tego, aby liczbę zastępców zmniejszono, a los ich polepszo. To da się osiągnąć przez: 1) założenie szkół średnich w liczbie odpowiadającej zaludnieniu i obszarowi Galicyi; 2) przez usystematyzowanie potrzebnej liczby posad nauczycieli nadetatowych; 3) przez szybkie posuwanie zastępców na opróżnione posady nauczycielskie; 4) przez zaniechanie nominowania zastępców ze zmniejszoną płacą; 5) przez przyznanie zastępcom odpowiedniejszej płacy, oraz stosownej rangi i praw z nią połączonych.

c) Walne zgromadzenie poleca wydziałowi Towarzystwa, aby bądź-to w drodze petycyi do ciał prawodawczych i władz szkolnych, bądź-to na innej drodze, jaką uzna za stosowną, starał się powyższe cele, jak najspieszniej osiągnąć.

Wnioski te w sprawie powszechnie znanój, a gruntownie przez szan. referenta przedstawionój, przyjęto jednomyślnie bez dyskusyi.

Z kolei referował prof. dr. Œwikliński w sprawie poruszanej już przy sposobności wniosków co do języka polskiego, t. j. w sprawie podręczników szkolnych. Kiedy w gimnazyjach galicyjskich zaprowadzono język polski jako wykładowy, nie chodziło na razie o to, jak a była to książka, byle tylko była. Posiłowano się więc w części książkami szkolnemi W. Ks. Poznańskiego, inne tłómaczono napręd-

<sup>1)</sup> Zob. Bibl. Warsz. 1882, t. IV, zes. 3 (grudzień),

ce z niemieckiego i tych to ostatnich namnożyło się najwięcej, bez względu na odmienne szkół polskich warunki. Szczególniej rażą takie przekłady podręczników historii powszechniej, które z zaniedbaniem albo zupełnym pominięciem historii Polski i słowiańszczyzny, uczniowi ani pojęcia o niej dać nie mogą. Pośpiech zaś w tłómaczeniu spowodować musiał liczne usterki stylistyczne i t. zw. germanizmy, które z tych książek wsiąkły dzisiaj w życie. Czas atoli, aby pomyśleć o poprawie i nie spuszczać się na prywatną inicjatywę, wypracować zasady i program, podług którego należałoby wypracować podręczniki, potrzebne i pożyteczne dla szkół naszych. Referent przeto wnosi:

„Zgromadzenie walne, uznając usiłowania prywatnych przedsiębiorstw na polu wydawnictwa podręczników szkolnych za niedostateczne, poleca wydziałowi udać się do władz szkolnych z prośbą o wypracowanie zasad i szczegółowych programów dla podręczników szkolnych.“

W dyskusji nad tym wnioskiem żądał prof. Fabian (z politechniki lwowskiej) dodatku: „—oraz projektu zmian, potrzebnych w samym systemie nauki niektórych przedmiotów.“ Poprawka ta atoli nie utrzymała się. Natomiast imieniem koła krakowskiego, które się tą sprawą zajmowało, przedstawił prof. dr. Aug. Sokołowski, że ułożenie programu, rodzaju generalnej „recepty,“ nie doprowadzi do celu, bo tylko autora kępuje. Inna rzecz obejrzeć się poza siebie i biorąc przykład z komisji edukacyjnej domagać się u władz szkolnych ustanowienia komitetu, któryby na wspólnych posiedzeniach rękopisy autorów przeglądał, z autorami się porozumiewał co do zmian możliwych i potem wydając takie dzieło, do uzyskania dobrych podręczników się przyczyniał. Taki komitet mógłby być zarazem sądem konkursowym, gdyby się udało wyjednać u sejmu stałą subwencyą na nagrody konkursowe. To jest droga, zdaniem mówcy, najpewniejsza, na której komisya edukacyjna doszła do znakomych podręczników. Wnosi przeto dodatek: „(udać się do władz szkolnych z prośbą) — 1) o ustanowienie komisji, któraby wypracowała zasady i szczegółowe programy podręczników szkolnych, a zarazem zajęła się rewizyą i oceną nadesłanych książek, oraz 2) o wyjednanie u sejmu stałej subwencyi, przeznaczonej na nagrody konkursowe za najlepsze podręczniki dla szkół średnich.“

W głosowaniu przyjęto wniosek referenta z poprawką d-ra Sokołowskiego.

Ostatnim wnioskiem wydziału był wniosek przedstawiony przez prof. Romana Palmsteina, co do fizycznego wychowania młodzieży. Sprawę tę już prawie wydział przygotował w opinii nauczycieli, ogłaszając w „Muzeum“ (zesz. 4) artykuł w tej sprawie i podając (w zes. 6) obszerny wyciąg z najnowszego dzieła higienisty niemieckiego dr. Ritzza. Referent, opierając się na znanych faktach przedstawił opłakane stosunki higieniczne szkół naszych, szczególnie krakowskich,



zupełne zaniedbanie ćwiczeń gimnastycznych, które nieraz odbywane na korytarzach lub w wilgotnych salach, przepełnionych uczniami, są raczej tęp, czém być nie powinny, zwłaszcza, że brak nadzoru lekarskiego sprowadza nieraz smutne katastrofy. Referent wnosi tedy imieniem wydziału:

a) Zgromadzenie walne uznaje potrzebę wprowadzenia do szkół gimnastyki jako przedmiotu obowiązkowego pod nadzorem lekarskim;

b) uznaje potrzebę wprowadzenia wykładów higieny i somatologii w uniwersytetach.

Dyskusyi zasadniczej nad tym przedmiotem naturalnie być nie mogło. Zabierający głos (dr. Radziszewski, dr. Maciszewski, prof. Germann i prof. Zych) dorzucali tylko szczegóły, popierające wnioski wydziału, które też uchwalono.

Koło brodzkie wystąpiło przez swego delegata, prof. W. Bańkowskiego, z wnioskiem w sprawie anormalnych stosunków tamtejszego gimnazjum. Anormalność ta polega głównie na tęp, że uczniowie tamtejszego zakładu przeważnie izraelici, święcą dwa dni w tygodniu: sobotę i niedzielę, a mimo to musi się przejść pensum przepisane. Jest to obarczenie młodzieży w dniach pozostałych szkolnych, które tylko ujemnie odziaływa. Referent wskazuje na podobne gimnazjum niemieckie we Lwowie, do którego również wielu izraelitów uczęszcza, a które mimo to nie ma przywileju święcenia soboty. Sądzi, że drogą pośrednią da się to złe usunąć: jeżeli nauka w gimnazjum brodzkiem zaczynać się będzie w sobotę dopiero o godz. 9 rano i potrwa do godz. 1, uczniowie izraelici nie będą mieli przeszkody w wykonywaniu praktyk religijnych a przeciążenie dni innych się usunie. W tym celu stawia wniosek:

„Zgromadzenie walne uznaje stosunki gimn. brodzkiego za anormalne, poleca wydziałowi Tow., by w celu ich usunięcia poczynił odpowiednie kroki.“

Uchwalono bez dyskusyi.

Na tęp zakończono szereg wniosków ogólnej natury. Po sprawozdaniu komisyi kontrolującej, i udzieleniu ustępującemu wydziałowi absolutorium, przystąpiono do nowych wyborów. Prezesem Towarzystwa został wybrany ponownie prof. dr. B. Radziszewski; wiceprezesem również ponownie dr. Z. Samolewicz; w wydziale zaszły pewne zmiany.

Wspomnieliśmy powyżej że dr. Malin samoistny swój wniosek cofnął. Z kolei tedy przedstawił swój wniosek prof. L. Salo, który domaga się utworzenia drugiej statėj posady nauczycielskiej dla jęz. niem. w każdym gimnazjum i w każdej szkole realnej a to na tęp słusznej podstawie, że liczba godzin tego języka w tygodniu, wynosząc 35 nawet w 8 klasowém bez oddziałów równorzędnych gimnazjum (takiego w Galicyi niema)—nie może nawet przez dwóch nauczycieli wykwalifikowanych do języka niemieckiego być zajęta, skoro rozporządzeniem

władz szkolnych nauczyciel jęz. niem. nie więcej ma mieć w tygodniu nad 16 godzin.

Analogiczny do tego wniosek postawił prof. Fr. Próchnicki, co do drugiego nauczyciela języka polskiego. Wniosek ten bowiem z ogólnych debat nad językiem polskim na pierwszém posiedzeniu został wykluczony do samoistnego traktowania. Popierał prof. Próchnickiego prof. Habura, a pana Salo dr. K. Petelenz, który obok tego podniósł uzasadnioną myśl, aby się starano o wyrobienie dobrych sił nauczycielskich do jęz. niem. przez wysyłanie kandydatów za granicę przy pomocy stypendyów.

Prof. dr. Ćwikliński postawił wniosek odraczający tę sprawę posad, i radził raczój odesłanie jój celem zbadania do wydziału. Poparty przez dr. Germana i dr. Samolewicza uzyskał ten wniosek większość i został w głosowaniu przyjęty.

W sprawie zmiany statutu referował nakoniec prof. J. Soleski; Koło bowiem przemyskie proponowało zmianę na wzór Tow. pedagogicznego i proponowało nie bez słusznych przyczyn. Referent atoli sądzi, że takie przerabianie statutu mogłoby pociągnąć za sobą niekorzystny rozwój Towarzystwa i dlatego po rokowaniu z kołem przemyskiem uzyskał od niego zrzeczenie się wniosków postawionych, co imieniem tego koła dr. Warmcki potwierdził.

Po przemówieniu d-ra Bobrzyńskiego, który imieniem koła krakowskiego na przyszły zjazd walny do Krakowa zaprosił, zamknął prezes dr. Radziszewski zgromadzenie przemową, w której, dziękując za liczny udział i gorliwą pracę, zakończył: „Plato powiedział, że celem człowieka jest żyć pięknie i szczęśliwie. Pięknie żyć, to znaczy na szczytach wiedzy, szczęśliwie żyć to jest żyć w zgodzie ze samym sobą, będąc zadowolonym z tego, czém się jest i ufając, że praca nie będzie marna. Żegnam was więc, panowie życzeniem: żyjmy pięknie i szczęśliwie!“

Posiedzenie to ostatnie zakończono o godz. 1, w południe. Rozjeżdżający się uczestnicy w różne strony kraju nie mogli nic innego unosić z sobą tylko jak najmiłsze wrażenie. Niejeden, który zdała z niedowierzaniem spoglądał na tak obfity program, i powtarzał sobie w duchu: „gdzież to możebne w trzech posiedzeniach załatwić — powracał zwyciężony, winszując z całego serca zwycięzcom, powracał pokrzepiony na duchu i z wiarą we własne siły. Zdaje nam się, że zgromadzenie to walne było świetną manifestacją w obec społeczeństwa i narodu, dowiodło bowiem ile to zapału, chęci nie marnych, ale okazywanych w czynie i ile zamiłowania pracy i zawodu ma w sobie stan nauczycielski. Z drugiej strony, dawszy się poznać głośniej i dalej z zamiarami i celami, z tym kierunkiem pracy, jaki na swoim wypisało sztandarze, niechybnie może Towarzystwo liczyć na to, że nim

poraz drugi tak świetnie wystąpić mu przyjdzie, pod swoim sztandarem zobaczy nie kilka kółek prowincjonalnych, ale wszystkich nauczycieli.

### III.

Nie przedstawilibyśmy całego obrazu działalności Towarzystwa, nie rzuciwszy choćby okiem na jego organ, „Muzeum.“ Mamy przed sobą sześć zeszytów tego czasopisma pedagogicznego, wychodzącego w terminach miesięcznych. Czytelnikom Bibl. Warsz. nie jest obcym to wydawnictwo.

W szczupłych ramach 3-arkuszowych zeszytów zamierzyła redakcja w sprawozdaniach z posiedzeń kół zaznajamiać członków z tokiem spraw i kwestyj poruszanych; w osobnych zaś artykułach zwracać uwagę na sprawy szkolne natury ogólnej, w drugim zaś dziale podawać zwięzłe rezultaty badań naukowych w rozmaitych gałęziach wiedzy nieprzestannie zyskiwanych, informować krótkimi recenzjami o wartości dzieł nowo wydanych, a przynajmniej czynić o nich bibliograficzną wzmiankę, notować „rozmaitości z zakresu szkoły i nauki“ i rozporządzenia władz z personaliami. Trzeba przyznać, że trudne to zadanie spełniała z godną naśladowania skrupulatnością i sumiennością. Przeglądając treść każdego zeszytu, znajdziemy w nim albo na czele artykuł redakcyi, albo dalej któregoś z jej członków, a wszystkie, nie spuszczając z oka poprawy stosunków szkolnych, wprost lub ubocznie ku temu zmierzają.

I tak zaraz w 1 i 2-im zeszytce, napotykamy nadzwyczaj cenne „Uwagi nad instrukcyami do nauki języka łacińskiego i greckiego.“ wydanemi w r. z. w maju, o których to właśnie szan. autor Dr. Samolewicz, na 2 posiedzeniu referował. Z niewymienionych na tamtem miejscu szczegółów, podnieść musimy ważną różnicę stanu gimnazyów galicyjskich, o jakiej Rada szkolna w r. 1872, wydając pewne modyfikacye lektury klasycznej nie przepomniała, a które obecnie nowemi instrukcyami zniesione być mają. Wskutek tego powiększenia wymagań i rozszerzenia zakresu materiału wyraża szan. autor uzasadnioną obawę co do rzetelnego postępu nauki.

W tym samym zeszytce mamy jeszcze dwa mniejsze artykuły, czytane na posiedzeniach Koła krakowskiego, a mianowicie prof. St. Siedleckiego: „O znaczeniu książek szkolnych“ i prof. Dra Leona Kulczyńskiego „Program działania Koła nauczycieli szkół wyższych w Krakowie.“ Prof. Siedlecki przedstawia, czém książka szkolna być powinna i gruntownie przedstawia różnicę, jaka zachodzi między nią a kompendyum naukowym z jednéj, dziełkami zaś popularnemi z drugiey strony. Mniema „że stosując się do najnowszych przepisów, książka szkolna musi uczniom zupełnie wystarczać do powtórzenia



nauki, słyszanęj w szkole, a dla nauczycieli być dyrektywą, czego i w jakim porządku nauczać mają.

Dr. Kulczyński kładzie w swym „programie,” silny nacisk na wartość posiedzeń miesięcznych Kół, jeżeli rzeczywiście spełnić mają cel statutem określony. Celem tym w pierwszym rzędzie jest: „wzajemne udzielanie sobie najnowszych zdobyczy naukowych, spostrzeżeń i doświadczeń w praktyce nauczycielskiej, zaznajamianie publiczności z ustrojem szkół wyższych i nakoniec sprawy, odnoszące się do zewnętrznej szkół organizacyi.” Uznając ważność pierwszych, uwydatnia autor szczególnie drugie, i podnosi, jak ciekawe byłyby te studia, czynione na podstawie pewnego kwestyonaryusza psychologicznego i spostrzeżenia, co do kierunku umysłu u młodzieży, objawiającego się najlepiej w wypracowaniach polskich.

Rzeczą, potrącającą o punkt trzeci programu D-ra Kulczyńskiego, jest referat D-ra Germana (zeszyt 5): „O stosunku szkoły średniej do domu rodzicielskiego.” Nie rzadko spotkać się można z licznemi zarzutami domu przeciw szkole, iż ona zbyt absolutnie postępuje i indywidualności ucznia nie uwzględnia, że nieraz objawiający się talent zamiast rozwijać przytępia, że uczniów pracą przeciąża i prześladuje, że kieruje się w ocenianiu ich postępów jednostronnością i t. d. Zebrać same te zarzuty, to już praca wielka, ale nie tego się podejmował autor; chciał tylko, wskazawszy na nie, zaznaczyć, że lubo szkoła część winy nieraz na siebie przyjąć musi, bo taki jój system, mimo to znaczna ilość przewinień pochodzi z domu, a przedewszystkiém wskutek nierozumienia przez rodziców zadań i ustroju szkoły, wskutek zawodów doznanych, lub ambicyi obrażonych, oczekiwań przesadnych niespełnionych i ofiar, jakie się dla szkoły ponosić musi. Dom rodzicielski, postępując niepedagogicznie, zabija od razu w uczniu zapał do nauki, jeśli go nauczy rozumować, który przedmiot potrzebny, a który niepotrzebny, jeśli go nauczy podejrzycwać nauczyciela, lub poda w wątpliwość jego charakter i wiedzę, jeśli—co gorsza—wszelkie wyłamywanie się z pod rygoru szkolnego, choć go nie pochwała, to przynajmniej milcząco popiera. Zdaniem referenta wiele rzeczy źle zrozumianych i fałszywych uprzedzeń może tylko wtedy ustąpić, jeśli dom z szkołą wejdzie w bliższy stosunek i z dobrą wiarą zechce wspólnemi siłami kształcić i wychowywać młode pokolenie. Bardzo dobrą ku temu sposobność podaje Towarzystwo, które i osobom do stanu nauczycielskiego nie należącym przyjęcia nie odmawia.

Do spraw poruszonych, przez samą redakcyą w artykułach wstępnych należy najpierw (w zeszycie 2), objaśnienie rozporządzenia ministerstwa oświecenia, na podstawie którego wolno nauczycielom w pismach lub za pośrednictwem władz przedstawiać mu swe uwagi, co do nowo wydanych instrukcyi. Redakcyja objaśnia znaczenie tego rozporządzenia i wzywa swych członków, aby w łamach „Muzeum,” które gościnnie otwiera, swoje spostrzeżenia umieszczali. W dalszych dwu artykułach „W sprawie zastępców nauczycieli“ (zesz. 3), i „Fizyczne

wychowanie młodzieży w szkole“ (zesz. 4), rozwija redakcja te zasady, któreśmy powyżej podali, przy dyskusji nad odpowiednimi wnioskami

Dział pierwszy ogólnej natury, wypełniają jeszcze „Sprawy Towarzystwa,“ przez ogłaszanie sprawozdań kół wszystkich z posiedzeń miesięcznych. Sprawozdania te są nieraz bardzo obszerne i wyczerpujące, wskutek czego i innych Kół członkowie, o toku i kierunku dyskusji nad jakimś przedmiotem dokładnie poinformowani być mogą; ale nie możemy zataić obawy, aby wobec spodziewanego rozwoju Towarzystwa, a więc i pomnażania się kół, sprawozdania te niezabierały większej części zeszytu, albo z drugiej strony, nie były tak lakoniczne, jak np. są już sprawozdania koła przemyskiego. Może typograficzna ścisłość zaradziłaby grożącemu złemu w jednym i drugim kierunku.

W zeszytach 3, 4, 5 i 6, znajdujemy oprócz tego dwa artykuły nie należące, ani do przedstawionego powyżej działu ogólnego, ani do drugiego, o którym niżej pomówimy. Pierwszym z nich jest niby—krytyka „Rozpraw i sprawozdań z posiedzeń wydziału filologicznego Akademii Umiejętności“ tomu X, pióra p. Sz. Matusiaka — w rzeczy samej zaś jest to rzecz, której albo nie wypada dać imienia, albo nie można. Tą nieokreśloną istotą artykułu tłómaczymy sobie krok szan. redakcyi, iż rzecz tę umieściła na takiem miejscu, zapełniła nią w dwu zeszytach tak drogie dla „Muzeum“ szpalty i niestety—jak to z napisu w drugim zeszycie „ciąg dalszy“ wnioskować można, jeszcze artykułem tym czytelników raczyć zamierza. Mówimy „raczyć“ — bo jestto niezwykle pieprzna potrawa. Autor, zamiast jako recenzent i sprawozdawca przejść po kolei wszystkie w pomienionym tomie „Rozpraw“ umieszczone prace, (bo tak zrobić należało, jeżeli się umieszcza generalny nagłówek) — zamiast przedstawić rezultaty złożonych w nich badań, a do szczegółów téj lub owéj rzeczy, jeżeli z jego zapatrywaniem niezgodne, dorzucić własne pomysły lub przekonania, zamiast tego wszystkiego—powtarzamy—wybrał sobie ze środka tomu pracę prof. L. Malinowskiego, o której i „Biblioteka“ podała już wiadomości <sup>1)</sup>, i postanowił ją „znicować“ do ostatniej nitki. Pomijamy liczne usterki rzeczowe, których sprostowanie nie tutaj należy, pomijamy logikę autora dziwaczną, sposób argumentowania ciekawy, i zagmatwany sposób przedstawienia; ale nie możemy przemilczeć o tonie, z jakim były u c z e ń traktuje swego n a u c z y c i e l a, któremu wiele zawdzięcza, o lekceważeniu, z jakim się o jego pracy w szczególności, a o jego w i e d z y w ogólności wyraża, o pewnej sarkastycznej arogancji, z jaką chcąc zdeptać pracę profesora, siebie i swą problematyczną wiedzę na jaw wynosi. Jestto fakt smutny,

<sup>1)</sup> Zeszyt 5, maj, str. 308—311.

tém smutniejszy, że jest tylko aktem osobistej niechęci i zemsty, i że szan. redakcja dała mu przytułek w „Muzeum.“ Artykuł ten recenzją nie jest, sprawozdaniem nie jest; nie mogła go więc szan. redakcja umieszczać na właściwem miejscu, ale jakim sposobem dać go mogła tam, gdzie on się znajduje?—pozostanie dla nas zagadką. Wiemy téż, że u wielu członków Towarzystwa nie znających nawet motywów, które ten artykuł autorowi podyktowały, wywołał on tylko oburzenie i zdziwienie, dlaczego go szan. redakcja umieściła.

Nie wiemy także, co sądzić o artykule d-ra Al. Semkowicza p. t. „Długosz jako badacz przeszłości“ (zesz. 4, 5, 6). Jestto o ile nam wiadomo ustęp z większej pracy tego autora, nagrodzonej na konkursie Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu. W całości dzieła nie wątpimy, żeby się inaczej wydał, tak jak jest, z tym wykazem błędów u Długosza, z wykazywaniem jego wątpliwej etycznej wartości, wydaje się jakby napisany na to, aby znaczenie jego dzieła obniżyć. Takie on na nas zrobił wrażenie; fachowi niechaj go po fachowemu oceniają, Mówimy o nim, bo nie umiemy sobie w „Muzeum“ jego pozycyi wytłómaczyć; w „Muzeum,“ które rozpraw naukowych nie może drukować, odsyłając je do czasopism naukowych, a owszem w „Kronice naukowej“ śledzić postęp nauki.

Zanim przystąpimy do jej przeglądu, wspomnieć nam wypada o artykule redakcyi przedstawiającym „Sprawy szkolne w sejmie“ i o przedstawieniu p. Fr. Tomaszewskiego „Czego potrzeba do racjonalnej nauki fizyki?“ Obydwa należą bowiem do zakresu wiadomości o szkole i jej potrzebach, i spełniają w zupełności swoje zadanie.

Dział drugi w „Muzeum“—informacyjny ma na czele „Kronikę naukową,“ której zadaniem podawanie w formie zwięzłej rezultatów badań w rozmaitych dziedzinach nauki. Najwięcej stosunkowo takich wiadomości wyciągniętych z 13 dzieł spotykamy z filologii klasycznej, prawie równą ilość z pedagogiki (12) i fizyki (11), następnie z historii (5), geografii (3), matematyki (3), historii naturalnej (2) i języka polskiego (1); a w pracy nad zebraniem tych ziarn spotykamy kilkunastu pracowników. Uderza jednak stopniowe ubożenie tego działu i zupełny brak kroniki naukowej odnośnie do literatury i języka niemieckiego, następnie ten fakt, że cała kronika opiera się prawie tylko na dziełach w języku niemieckim i polskim pisanych; jedno tylko dzieło włoskie i jedno czeskie wzięto na uwagę. Nie mówiąc o innych językach jak francuzkim i angielskim, które zwłaszcza dla nauk ścisłych nieporównanie większe od niemieckiego mają znaczenie, należałoby nam zawiązać stosunki z pobratymczymi Czechami, którzy szczególnie w filologii dorównywają Niemcom. Język polski także nie ma uwzględnienia (tylko 1 dzieło literackie), a przecież warto a nawet konieczna zapoznawać się z wynikami badań filologii polskiej.

Nie tajne nam są trudności w nagromadzeniu takiej kroniki,



ale nam się zdaje, że szan. redakcyja powinna do współpracownictwa w tém dziale zaprosić przede wszystkim wszystkich profesorów uniwersytetu, członków Towarzystwa, którzy z zawodu i jedynie oddani nauce, czytają wszystko z nowszej fachowej literatury, mając łatwy do nowosci przystęp, i dlatego krótką notatkę jako wyciąg zrobić, nie byłoby dla nich trudnością a dla nas wielkim pożytkiem. Nie wyklucza to, aby i koledzy zawodu gimnazjalnego do tego działu podług się się nie przyczyniali, ale wtedy będziemy mieć zawsze tę przypadkowość i dorywczosć zupełności kroniki, jaka się już obecnie objawia.

W 1-ym zeszytcie zauważyliśmy téż brak ścisłego wyróżnienia „Kroniki“ i „Recenzyi.“ Naszém zdaniem to, co tam powiedziano na str. 49 o dziele Dunckera, a na str. 32 o dziele i przyrządzie Mangsa, należy tylko do kroniki a nie do „Recenzyj.“

Recenzye pisane ze znajomością przedmiotu i we właściwym tonie, nie pozostawiają nic do życzenia, chyba znowu tylko, aby obejmowały więcej działów nauki i więcej języków.

„Rozmaitości z zakresu szkoły i nauki“ są obfite i zajmujące; radziłyśmy tylko, aby bibliografia nie była ich częścią, ale równorzędnym działem. Nie wydaje nam się to również przesadzoném życzeniem, aby dzieła w niej podawane były w porządku nauk np. jak w „Kronice“ i aby treść pism naukowych polskich dodawać na końcu z obowiązku, a niemieckich lub innych fachowych, podług uznania fachowych współpracowników. Jestto rzecz bardzo pożyteczna i nie nowa, bo w czasopismach niemieckich, jak to szanownej redakcyi wiadomo, powszednia.

Temi kilku uwagami i skromnemi desideratami kończymy nasze sprawozdanie, dodając, że nie mieliśmy nigdzie na oku ujemnej krytyki, wyszukującej plam na słońcu, ale ośmieliliśmy się wskazywać braki i przedstawić życzenia, które zmierzają do pomyslnego rozwoju i postępu.

# Z EKONOMIKI.

---

## V.

Cła ochronne i orgia celna.—Dwojaki charakter ceł: fiskalny i ochronny.—Złudzenia spóżywców o wrzekomym rozwoju przemysłu narodowego.—Cło od śledzi, wina, oliwy, jedwabiu i herbaty.—Cło od machin i narzędzi rolniczych i skutki tegoż.—Dochody celne główniejszych państw.—Wywóz rosyjsko-polski do Niemiec w 1884 r.—Niemiecka polityka celna.—Zastosowanie w praktyce teoryj socyalistycznych we Francyi.—Le familistère de Guise.—P. Godin i pałac socyalny.—Urządzenie socyalistycznego przedsiębiorstwa.—Stan główniejszych kas oszczędności w Europie.—Zdanie Leroy-Beaulieu.—Pocztowe kasy oszczędności w główniejszych państwach.—Bibliografia.

Przeglądając dzienniki z ostatnich lat kilku, zwłaszcza rosyjskie i niemieckie, a po części i polskie, zauważymy bezustanne nawoływanie o podwyższenie lub téż ustanowienie nowych ceł ochronnych—mających niby ochraniać przemysł narodowy. Lecz co nas najbardziej uderza, to że ci pionierowie obostrzeń, ograniczeń i zakazów celnych rekrutują się przeważnie z wytworców t. j. fabrykantów, przemysłowców i t. p., gdy tymczasem ogół spóżywców, konsumentów stosunkowo w obec tych nawoływań biernie się zachowuje. Pochodzi to ztąd, że gdy wytwórcy pod pokrywką dobra publicznego mają na celu przeważnie widoki egoistyczne,—to obałamuceni konsumenci widzą w obłożeniu celném ochronę narodowego przemysłu od inwazyi zewnętrznej. Nie zdają sobie jednak spóżywcy sprawy, że pod tą utudną maską kryje się najczęściej prosty zamach na ich kieszenie, niemający żadnego związku z rzeczywistym rozwojem przemysłu narodowego.

Protekcjonizm, który w tym razie nazwiemy wprost orgią celną, coraz się więcej rozpowszechnia, dzięki usilnym zabiegom fabrykantów, dzięki powszechnemu rozstrojowi budżetów państwowych

skutkiem militarystyki i w obec przeważnego poparcia prasy, która może zresztą bona fide domaga się obostrzeń celnych, nie zdając sobie nieraz dokładnie sprawy, jak wielką przez to wyrządza krzywdę społeczeństwu t. j. całemu społeczeństwu.

Protekcjonizmem zowie się w ogóle interwencja państwa w sprawy ekonomiczne, ściślej jednak biorąc jestto ochrona przemysłu krajowego drogą zakazów i ograniczeń celnych co do przywozu towarów zagranicznych. Cła na towary, przywożone z zagranicy, mają dwójaki charakter: fiskalny, dla zwiększenia dochodów państwowych oraz ochronny, który jakkolwiek również wpływa na zwiększenie dochodów, ma jednak głównie za cel rozwój przemysłu miejscowego. Cła ochronne mają wtedy racją bytu, gdy kraj posiada naturalne warunki rozwoju pewnej gałęzi przemysłu; gdy istnieje zasadnicza pewność, że taż gałąź rozwinąć się może i że po upływie pewnego czasu nie będzie potrzebować ochrony celnej. Dlatego też cła na przedmioty, które nie mogą być z pożytkiem aklimatyzowane np. u nas herbata, kawa, bawełna i t. p. mogą mieć tylko charakter fiskalny, a nie ochronny.

Zupełna swoboda handlu międzynarodowego może istnieć tylko w krajach, gdzie przemysł bardzo wysoko jest rozwinięty i choć przybliżenie na równi z innymi krajami. Dlatego też za wolność handlu, tak piękną w teorii, walczą przedewszystkiem te państwa, dla których ona przynieść może nieobliczone zyski, jak np. Anglia, Francja, a części i Niemcy. Przypuśćmy np., że zniesiono u nas komory celne i kraj nasz stoi otworem dla towarów zagranicznych, wtedy to z wyjątkiem kilku gałęzi, cały nasz przemysł upadłby zupełnie, nie dla tego, żeby upadłe gałęzie nie miały u nas racji bytu, nie miały naturalnych warunków rozwoju, ale dla wyższości wytwórczej zagranicy, jej doskonalszej techniki, środków komunikacyjnych, obfitości i taniości kapitałów i t. d. Słowem mielibyśmy wprawdzie tanie towary zagraniczne, lecz nie mielibyśmy za co je kupować, bo z upadkiem fabryk i związanych z nimi przedsiębiorstw, straciłyby zajęcie setki tysięcy, a może i miliony, nie mówiąc już, że otwarcie granicy wywołałoby przewrót ekonomiczny, sroższy od wszelkich rewolucyj, w którym całe społeczeństwo niepowetowane poniosłoby straty. Cła więc ochronne dla krajów słabo ekonomicznie rozwiniętych są konieczne, ale nie wcześniej, aż po wyczerpaniu wszelkich innych możliwych środków. Nie same bowiem tylko cła ochronne wpływają na rozwój przemysłu, — sprzyjają mu nieraz w większym jeszcze stopniu otwarcie szkół specjalnych, urządzenie muzeów, wystaw, wysyłka zdolnych majstrów i czeladników za granicę, rozdawnictwo maszyn, modeli, narzędzi, nasion i t. p.

Bądźco bądź cła ochronne są złem, złem zwłaszcza dla bieżącego pokolenia, które ponosi przez to ofiary na korzyść następców, dla tego też z nawoływaniem do ceł ochronnych należy być ostrożnym i po ściśłym rozważeniu, czy nie ma innych sposobów rozwoju danej gałęzi prze-



mysłu. Przy rozpatrzeniu kwestyj celnych potrzeba gruntownej znajomości warunków technicznych i ekonomicznych oraz szerszego poglądu, dla tego też taryfa celna winna być wypracowana wyłącznie przez ekonomistów i techników, nie zaś przez kancelarye, chociażby z udziałem zainteresowanych fabrykantów. Raz unormowana taryfa celna powinna obowiązywać dłuższy przeciąg czasu, nie zaś bezustannie być zmieniana. Zbyt częste zmiany równie są szkodliwe dla przemysłu jak i dla handlu międzynarodowego. Sądzimy, że okres dziesięcioletni mógłby być zasadą dla przedsięwzięcia ogólnej rewizji taryfy celnej, wyjąwszy poszczególne i nader ważne okoliczności dla niektórych wytworów, w obec zmienionych warunków skutkiem nowych wynalazków i doniosłych zastosowań nowych czynników w przemyśle.

Bezwzględni zwolennicy ceł dowodzą, że one dają zajęcie ludziom, lecz zapominają, że te ceła podwyższają cenę towaru; należy więc zważyć, czy starczy skórka za wyprawę, czy dając możność zarobkowania np. tysiącom nie narażamy na straty milionów. Przymet rozwój przemysłu wymaga znacznych kapitałów, należy więc zawsze mieć na uwadze, czy kraj ma dostateczne środki rozporządzałne, gdyż inaczej nastąpi tylko przeniesienie kapitałów z przedsiębiorstw mniej dochodnych (a być może donioślejszych) w zyskowniejsze. Ta emigracja kapitałów, szczególnie w krajach mało ekonomicznie rozwiniętych, odbija się zwykle najprzód na rolnictwie, które, jak wiadomo, nie daje takich szybkich i wysokich zysków, jak pewne gałęzie przemysłu zwłaszcza nowo aklimatyzowane. Pozornie może się zatem zdawać, że przez nierozważne ceła ochronne podniosła się i rozkwitła pewna gałąź przemysłu i zwiększyło się bogactwo narodowe, gdy tymczasem okazać się może, że ten rozkwit po bliższym rozpatrzeniu, nastąpił skutkiem wysiania soków żywotnych z innej gałęzi, że nastąpił skutkiem prostej emigracji kapitałów np. od rolnictwa. Dalej, ceła przyczyniają się do застоju w udoskonaleniu techniki, czego w ostatnich czasach mieliśmy przykłady we Francyi (np. w tak doniosłej gałęzi przemysłu, jak cukrownictwo), oraz w większym jeszcze zakresie w Cesarstwie, gdzie dziś jeszcze często spotykamy maszyny, które na zachodzie już przed 30 lub 40 laty zamieniono przez więcej udoskonalone.

Przedstawiliśmy tu czytelnikom ważniejsze pro i contra w sprawie ceł ochronnych. Osobiście, jakkolwiek in principio obstajemy za wolnością handlu, względnie do naszego kraju jesteście zwolennikami ceł ochronnych, ale zarazem wrogami tej orgii celnej, jaką od paru lat widzimy w rozmaitych kancelaryach, stowarzyszeniach i większej części dziennikarstwa. Powtarzamy, przy zmianie taryfy celnej potrzebną jest gruntowna znajomość warunków ekonomicznych kraju i technicznych danej gałęzi przemysłu, oraz szerszy pogląd. Ludzi, którzyby łączyli w sobie te warunki wszędzie jest nie wiele, a tém mniej u nas. Bo że np. fabrykant gruntownie obeznany z uprawianym przemysłem, nie mogąc sprostać zagranicznemu współzawodnictwu, domaga się podwyżki ceł, to jeszcze nie dowód, ażeby to jego żądanie było słusznym.

Przemysłowiec pochłonięty niejako codziennymi sprawami swęj specjalnej gałęzi i mający na celu przedewszystkiē wlasne widoki ipso facto nie może być sędzią w wlasnej sprawie. Doznajac zawodu, szuka ratunku, ale najczęściē i najpierw w interwencji państwa, nie rozważywszy dokladnie, co wlasciwie jest przyczyną zawodu,—może brak udoskonalē technicznych, zła administracya, brak zdolnych robotników, brak kapitału i niedostateczne wyspecjalizowanie danej gałęzi. Widzimy więc, ile to potrzeba warunków, ażeby sprawiedliwie ocenić potrzebę zmiany taryfy celnej. Rozstrzygać w tak zawitęj kwestyi mogą tylko specjaliści, to jest ekonomiści i technicy, którzy nie będąc osobiście zainteresowani w zmianie taryfy celnej, kierowaliby się przedewszystkiē szerszym poglądem. Trzeba mieć takżę na uwadze, że podwyżka ceł nie zawsze przyczynia się do rozwoju danej gałęzi przemysłu, że ta wlasnie podwyżka często powoduje upadek przemysłu, przy najlżejszēj zmianie okoliczności.

Jeszcze przy projekcie budżetu na rok bieżący p. minister skarbu zapowiedział ogólną rewizyą taryfy celnej, zanim jednak ona nastąpi, w celach przeważnie fiskalnych zwiększono cło na niektóre przedmioty.

Podwyżka cła od śledzi ma cel podwójny: fiskalny i ochronny dla rozszerzenia handlu śledziami krajowemi. Śledzie i w ogóle ryby, stanowią jeden z głównych pokarmów warstw niższych zwłaszcza w niektórych częściach państwa i w obec licznych i długotrwałych postów. Przywóz tēż śledzi jest jednym z ważnych artykułów handlu zewnętrznego. I tak przywieziono śledzi:

w 1877 r.	2,457 tys. pudów,	od których pobrano cła	245 tys. rub. zł.
1880	4,426	„	443 „
1883	4,759	„	714 „

Obecne cło wynosi 22 kopiejki złotem od puda śledzi, równajac się 4—15 % ich ceny hadlowej. Śledzie obłożone są cłem:

w Austro-Węgrzech	po 20,2 kop. od puda
Niemczech	9 <sup>1</sup> / <sub>4</sub> —15 „
Włoszech	20,5—24,6 „
Stanach Zjednoczonych	24,8 „
Francyi	41 „

Pomimo zwiększajacego się z każdym rokiem obszaru winnic w Cesarstwie, zwłaszcza w Krymie i na Kaukazie, przywóz wina z zagranicy bynajmniej się nie zmniejsza. Pochodzi to z coraz bardziej rozpowszechniających się win zwłaszcza francuzkich i hiszpańskich,—przy niedostatecznym wytworze miejscowym. Podług badań p. Tiseraud, pomieszczonych w *Annuaire économique de Bordeaux et de la Gironde* ogólna produkcyja wina w 1884 r. wyraża się w sumie przeszło 113 milionów hektolitrow, w której Francya, pomimo olbrzymich klęsk z powodu filoxery, przyjmuje udzial w ilości 36 milionów hektolitrow. Rosya zajmuje ósme miejsce, produkujac 3<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miliona hektolitrow wina.

W ogóle przywieziono do Cesarstwa i Królestwa win:				
	w beczkach niemusujących tysiący pudów	w butelkach musujących tysiący butelek		pobrano cła
w 1877 r.	295	174	189	905 tys. rub. zł.
1880	1,145	384	1,100	3,851     "
1883	828	288	612	2,888     "

Obecne cło od wina pobiera się w następującym rozmiarze:

	w beczkach	w butelkach	
w Rosyi	od puda 350 kop. zł.—	od but. 40 kop. i 125	od musuj.
Włoszech	„ 61,5	„ „ 7½	
Stanach Zjedn.	„ 199	„ „ 18,6	73,3     "
Niemczech	„ 121,2	„ od puda 245,5	
Austro-Węgrz.	„ 121,4	„ „ 202,3	
Francyi	„ 18,6	tak w beczkach jak i butelkach.	

Podług obliczeń zamieszczonych w „Rapport sur les Travaux administratifs entrepris contre le phylloxera et sur la situation du vignoble français et étranger pendant l'année 1884 par M. Tisserand“ na każdego mieszkańca państw cywilizowanych, używających wina wypada 23—24 litrów wina. Gdy we Francyi konsumpcya wynosi 130—140 litrów, to zużywanie wina w innych krajach stanowi zaledwie szóstą część tego, co we Francyi. Uprawa wina jest téż jedną z najważniejszych gałęzi rolnictwa we Francyi i zajmuje obecnie przeszło dwa miliony hektarów obszaru pod winnicami, pomimo przeszło miliona hektarów zupełnie zniszczonych przez filoxerę. To téż i wytwór wina ilościowo upadł, podczas bowiem gdy w 1875 r. we Francyi otrzymano 83 miliony hektolitrow wina, to w roku zeszłym tylko 36 mil. hektolitrow.

Cło od wina szampańskiego, wynoszące dotąd 110 kop., podniesiono do 125 kopiejek złotem od butelki. Zwiększenie to wywołało jednak niezadowolenie niektórych organów. Uważano, że cło, wynoszące przecież obecnie 2 ruble i 2 kop. kredyt. od butelki jest jeszcze za małe. Przyznajemy, że cło od przedmiotów zbytkowych winno być stosunkowo wyższe, lecz znowu okazywanie niezadowolenia w obec rzeczywiście olbrzymio wygórowanego już cła od wina szampańskiego, jest wprost rozbudzaniem namiętności klas uboższych przeciwko więcej posiadającym. Jak z jednej strony niesprawiedliwem było zwalanie całego ciężaru podatkowego na klasy pracujące, tak z drugiej znowu strony niesłusznem byłoby nakładanie na klasy zamożniejsze ciężarów nad siłę, bo to prowadziłoby z jednej niewoli do drugiej.

Również charakter przeważnie fiskalny ma cło na jedwab', lubo znaczna różnica w ciele od jedwabiu surowego i wyrobów z niego ma na celu zachęcenie przemysłowców krajowych do sprowadzania materiału surowego dla przeróbki na miejscu. Jakoż rzeczywiście od pewnego czasu widzimy wzrost w téj gałęzi przemysłu, jak o tém prze-



konywa ilość przywiezionego jedwabiu surowego i na wpół przygotowanego. I tak przywieziono do Cesarstwa i Królestwa:

w 1877 r.	10,030	puarów za pobraniem cła	50	tysięcy rub. złotych.
1880	24,327	„	119	„
1883	24,069	„	266	„

Obecnie cło od jedwabiu podwojono i wynosi 16 rubli złotych. od puda jedwabiu nie farbowanego i 32 ruble złotych. od puda jedwabiu farbowanego, co w pierwszym razie stanowi 6%, a w drugim 10% średniej ceny. Potrzeba podwyżki była konieczną, jeżeli zważymy, że przedział płać r. 4 k. 40, wełniana r. 7½—9 i bawełniana 3 r. 60 k.—6 rubli od puda, w obec bez porównania niższej wartości tych przedmiotów i w obec faktu, że wyroby czysto jedwabne płać r. 220 od puda, a półjedwabne r. 96 k. 40 złotem. Z powodu niskiej opłaty od farbowanej przędzy jedwabnej, jedwab' wytwarzany w Rosyi wywożono za granicę dla przedzenia i farbowania, zdwojone jednak obecnie cło bezwątpienia zachęci krajowych przemysłowców do udoskonalenia farbierni i przedziałni jedwabiu. Cło od jedwabiu surowego jest bardzo wysokie, niższem jest jednak od pobieranego w Stanach Zjednoczonych (35—60% wartości).

Zastosowanie oliwy i tłuszczów roślinnych do przemysłu w ostatnich czasach, ogranicza się skutkiem rozpowszechnienia nafty, jej odpadków, kleszczowiny i t. p. Przywóz jednakże tych przedmiotów jest bardzo znaczny i stanowi ważną rubrykę w dochodach celnych. I tak przywieziono oliwy roślinnej i t. p.

w 1877 r.	864	tys. puarów za pobraniem cła	1,553	tys. rub. złotych.
1880	1,524	„	2,744	„
1883	1,549	„	3,095	„

Dotąd cło od oliwy pobierano w ilości r. 2 zł. obecnie zaś po r. 2 k. 20 złotem od puda; w porównaniu z innymi państwami jest ono nader wysokie, gdyż np.:

wc Francyi	oliwa oclona	18,4	kop. od puda
Niemczech	„	20,2	„
Włoszech	„	24,6	„
Austro-Węgrzech	„	40,4	„
Stanach Zjednocz.	„	112	„

Cło od herbaty najwięcej poruszyło opinię publiczną. Sądzono dotąd, że herbata to napój narodowy, a raczej ludowy rosyjski, przez ogół mieszkańców używany, okazało się jednak, że tak nie jest. Chociaż bowiem w niektórych okolicach Cesarstwa herbata stanowi rzeczywiście napój ludowy, to za to ludność daleko większych obszarów herbaty wcale nie używa, lub też nader rzadko, jako przedmiotu zbytkowego. Herbatę w Cesarstwie i Królestwie spożywa przeważnie ludność miejska i w ogóle średnie klasy z dołączeniem co najwyżej okolic podmiejskich. Potwierdza to ilość spożywanej herbaty; podczas bowiem gdy:

w Anglii przypada na mieszkańca 6 funtów herbaty rocznie,  
 a w Stanach Zjednoczonych „ 1 $\frac{1}{2}$  „  
 to w Rosyi tylko „ 2 $\frac{2}{3}$  „  
 a że jedna rodzina potrzebuje średnio 12 funtów rocznie, to najlepiej wykazuje, że herbata nie jest jeszcze przedmiotem ogólnego użytku w warstwach ludowych. W ogóle przywieziono do Cesarstwa i Królestwa herbaty:

w 1877 r.	1,041 tys. pudów	za pobraniem cła	7,694 tys. rub. złot.
1880	2,145	„	20,675 „
1883	1,820	„	18,459 „

Do 1862 r. herbata dostarczana była prawie wyłącznie drogą lądową, przeważnie z Kiachty; przywóz bowiem drogą morską był wzbroniony za wyłączeniem Odessy (jako do porto-franco). W 1862 r. dozwolono transport morzem z opłatą po r. 26 od wyższych i po r. 14 od niższych gatunków herbaty. Jednocześnie obniżono cło od herbaty Kiachtyńskiej:

od zielonej i żółtej do 16 r.	od puda
czarnej	6 „
ordynaryjnej	—80 kop. „

Obecnie cło od herbaty ustanowiono:

od przywożonej przez granicę europejską	po 21 r. zł. od puda
azyatycką przez Irkuck	12 „
herbaty ordynaryjnej (kirpicznej)	2 „
w Niemczech i Austro-Węgrzech cło wynosi	5 k. 06 „
„ Wielkiej Brytanii . . . . .	5 „ 66 „
„ Francji . . . . .	8 „ 53 „
„ Włoszech . . . . .	14 „ 35 „
„ Stanach Zjednoczonych herbata niepodlega opłacie celnjej.	

W ostatnich latach przywóz drogą morską, jako szybszy i łatwiejszy wziął też górę nad drogą lądową, i tak np. przywieziono herbaty czarnej:

w 1877 r. drogą morską	373 tys. pud. przez Azyą	zaś 250 tys. pud.
1880	„ 1,143	„ 394 „
1883	„ 906	„ 350 „

Różnica cła od herbaty kiachtyńskiej i kantonńskiej, dostawianej drogą morską, pochodzi z różnicy kosztów transportu drogą morską i lądową. I tak od 100 funt. herbaty płaci się:

w Kiachcie:	
cło wywozowe chińskie . . . . .	r. 5 k. 42
koszta ekspedycji . . . . .	2 „ 78
fracht z Han-kéau do Kiachty . . . . .	19 „ 50
„ z Kiachty do Moskwy . . . . .	16 „ 67
razem od 100 funtów . . . . .	r. 44 k. 37

w Kantonie:

cło wywozowe chińskie . . . . .	r. 5 k. 42
fracht morski z Han-kéau-Odessa, Moskwa 9 „	36 14 „ 78
raznica zatem w kosztach transportu wynosi	r. 29 k. 59

czyli około 12 rubli na pudzie. Bądźcobądź cło od herbaty jest już bardzo wysokie i pożądaném byłoby, aby norma dzisiejsza była maximum. Jak wyżej namieniliśmy, herbata jakkolwiek nie jest napojem ludowym, dla warstw jednak średnich, miejskich jest koniecznym przedmiotem codziennego użytku, a że rodzina spożywa średnio 12 funtów rocznie, to przy obecnym kursie złota płaci ona 12 rubli kred. cła od samój tylko herbaty.

Jeżeli cła na powyżej wymienione przedmioty mają przeważnie charakter fiskalny, to nowo ustanowione cło na maszyny i narzędzia rolnicze ma za cel ograniczenie ich przywozu z zagranicy i przyczynienie się do rozwoju fabryk krajowych. Wątpliwém jest jednak czy oba te cele osiągnięte zostaną, a natomiast prawdopodobniejszém, że rolnictwo poniesie nowy ciężar w ilości 800—900 tysięcy rubli rocznie.

Maszyny i narzędzia rolnicze dotąd były wolne od opłaty cła, pomimo że od kilku lat fabrykanci usilnie o nie prosili. Starania ich były bezowocne, dopiero w roku zeszłym, jakby za danym sygnałem fabrykanci zewsząd zażądali oclenia maszyn rolniczych. Fabrykanci Królestwa w zwartym szyku wystąpili w pierwszej linii, mianowicie firmy: Lilpop, Rau i Loevenstein, Scholtze-Rephan i sp., Towarzystwo akcyjne warszawskiej fabryki maszyn, Rehfeld, Dubeltowicz i sp., Towarzystwo udziałowe K. Rudzki i sp., Borman, Szwede i Temler i t. p. Firmy te domagały się cła w wysokości 90 kop. złotem od puda maszyn i narzędzi rolniczych, motywując swoje żądanie tém, że maszyny w ogóle płacą cło w tój wysokości, że ich fabryki są w upadku skutkiem konkurencyi zagranicznej, że w ogóle położenie krajowych fabryk znacznie się pogorszyło od czasu oclenia żelaza kutego i lanego, które zmuszeni są sprowadzać. Fabrykanci nadbałtyccy w żądaniach swych byli skromniejsi, prosząc tylko o ustanowienie cła w wysokości 40 kop. zł. od puda. Ministerjum skarbu na ten raz dało ucho żądaniom i ustanowiło cło w wysokości 50 kop. złotem od puda sprowadzanych z zagranicy maszyn i narzędzi rolniczych, usprawiedliwiając swoją decyzją także i tém, że za maszyny rolnicze płacimy zagranicy rocznie co najmniej 6 mil. rubli, która to suma bezpotrzebnie pogarsza tylko bilans handlowy. Lecz zdaje nam się, że i te oczekiwania zawiodą, nie bowiem dotąd nie zwiastuje, aby fabrykacja maszyn rolniczych w kraju w bliższej przyszłości tak się rozwinęła i udoskonaliła, iżbyśmy nie potrzebowali sprowadzać ich z zagranicy.

Że maszyny i narzędzia rolnicze w kraju wyrabiane nie cieszą się takim popytem jak zagraniczne, to pochodzi głównie z tego, że w ogóle są mniej dokładnie i z gorszego materiału wyrabiane. Przynajmniej wadą naszych fabryk jest, że każda z nich chce wyrabiać wszelkie narzędzia rolnicze, zamiast specjalizować się, to jest wyrabiać maszyny pewnej tylko gałęzi np. żniwiarki, kosiarki i t. p. Gdy zaś zakres tych fabryk względnie jest skromny, a wielka różnorodność wytwórcza, to ani konstruktorzy ani robotnicy nie mogą się dostatecznie wyspecjali-



zować. Dalej różnorodność wytwórcza powoduje, że fabryki mają nader ograniczony zapas gotowych maszyn i narzędzi, tak, że rolnik nieraz całymi miesiącami musi oczekiwać na wykonanie obstalunku, którego często wcześniej uczynić nie może dla braku funduszu. Gdy zaś znajdą się pieniądze, to chciałby, aby potrzebny mu przedmiot mógł otrzymać bezwzględnie, bo ani orka, siew lub żniwa czekać nie mogą. Dlatego też rolnicy w ogóle chętniej zwracają się do składów machin zagranicznych, znajdując w nich gotowe przedmioty wprawdzie nieraz droższe, ale za to lepiej i z lepszego materiału wyrobione. Przytém gerenci tych składów są to ludzie w ogóle ruchliwsi i zabiegliwsi od fabrykantów, gotowi do różnych ulg w wypłacie często nawet z ryzykiem połączonych i to także wpływa na większą ich klientelę.

Jeżeli u nas ma się podnieść produkcya machin i narzędzi rolniczych, to obecne fabryki muszą się przedewszystkiem zreformować, wyspecjalizować, aby dana fabryka tylko pewne gatunki maszyn wyrabiała. Dalej potrzeba, aby fabryki miały większe fundusze obrotowe, gdyż tym sposobem będą w możności obfitsze mieć zapasy gotowych przedmiotów i łatwiejszy na nie udzielać kredyt rolnikom. Dopóki zaś to nie nastąpi, to próżne są westchnienia fabrykantów i utudne oczekiwania ministeryum ograniczenia przywozu. Owszem, gdy z każdym rokiem warunki dla rolnictwa są cięższe, a poprawy oczekiwać można głównie od zmniejszenia kosztów produkcyi zboża, które znowu w znacznej części zależne są od rozpowszechnienia maszyn, to z tych powodów przewidujemy, że zamiast zmniejszenia, nastąpi zwiększenie przywozu zagranicznego maszyn i że ustanowione obecnie cło okaże się tylko nowym ciężarem nałożonym na rolnictwo.

Podług urzędowych danych, wyrób maszyn i narzędzi rolniczych w Cesarstwie i Królestwie wynosił:

w 1877 roku za r.	2,375,000
1878	„ 3,204,000
1879	„ 3,981,000;

późniejszych danych urzędowych nie ma. Przywieziono zaś z zagranicy tych przedmiotów:

w 1879 roku	487,000	pudów
1880	„ 813,000	„
1881	„ 848,000	„
1882	„ 1,012,000	„

które licząc średnio po r. 6½ za pud przedstawiają wartość około 6,700,000 rubli rocznie.

Te są główne artykuły, co do których taryfa celna obecnie została zmienioną; dalsze jednak porównawcze prace ministeryum skarbu zapowiadają w krótkim czasie ogólną rewizyą taryfy celnej.

Cła stanowią wszędzie ważną rubrykę dochodów państwowych, w Rosyi np. wynoszą 12 % budżetu, a w Stanach Zjednoczonych 56 %

dochodów i prawie 80 % wydatków państwowych. Dochody celne w główniejszych państwach tak się przedstawiają:

		na jednego mieszkańca kopiejek
w Austro-Węgrzech (1883) flor.	57,890,821	czyli 92
Rosyi (1884) rubli kredyt.	99,354,581	„ 99
Niemczech (1884/5) marek	196,450,000	„ 130
Włoszech . . . . . lir	155,000,000	„ 136
Hiszpanii (1884) pesetas	123,808,000	„ 187
Francyi (1884) franków	322,738,000	„ 212
Anglii (1884/5) liv. ster.	19,850,000	„ 354
Stan. Zjedn. (1883/4) dollarów	235,000,000	„ 632

Gorączka celna owładnęła nie tylko przemysłowców Królestwa i Cesarstwa, znajduje ona gotowy materiał i w Niemczech. Dla Niemiec ważnym targowiskiem są rynki wschodnie, tymczasem w Rosyi taryfa celna od dziesięciu lat bezustannym podlega zmianom. Przemysł niemiecki od czasu wojny francuskiej wzrósł olbrzymio i niektóre jego gałęzie toczą zaciętą walkę o pierwszeństwo z przemysłem francuskim, tymczasem pomimo przyjacielsko-sąsiedzkich stosunków przedsiębiorczość niemiecka znajduje silny odpór w rosyjskiej taryfie. Z tej przyczyny powstała w Niemczech silna partya, domagająca się represalii względem niegościnnego sąsiada; zwolennicy wolności handlu gorliwie ratowali zagrożoną pozycją, lecz w końcu będąc w mniejszości uleż musieli i nowe, a bardzo wysokie cła skierowane głównie przeciwko Rosyi, otrzymały sankcyą prawodawczą. I tak między innymi ustanowiono w Niemczech cła:

od pszenicy i żyta w wysokości 3 marek od 100 kilo.	
„ jęczmienia, owsa i gryki	1 „
„ mąki . . . . .	7 <sup>1</sup> / <sub>2</sub> „
„ słodu w wysokości marek	2—40 od centnara
„ drzewa budulcowego nieobr. po 2—40 pfen. za 100 kilo.	
„ „ „ półobrob. „	1 marce „

Za motyw silniejszego oclenia artykułów spożywczych posłużyły koszta wytwórcze centnara pszenicy wynoszące minimum w okręgu królewieckim 5,88 marek i maximum 10,44 marek; w prowincyi saskiej, czyli średnio dla Niemiec 9,55 marek, a że cena handlowa centnara pszenicy wynosiła 8 marek, więc wytwórcy ponosili dotkliwe straty. Bądź-cobądź cła niemieckie nie pozostaną bez wpływu na nasz handel zbożowy, zwłaszcza żytem, którego oclenie dosięga 20 %. Jako dowód, że cła niemieckie doniosłego są znaczenia dla naszego wywozu, oraz, że te cła mają charakter represalii względem Rosyi, niech posłuży następujący wykaz przywozu w roku zeszłym artykułów obecnie właśnie silnie cłem obłożonych. I tak w 1884 r. przywieziono z Rosyi do Niemiec:

stosunek przywozu rosyjskiego do  
ogólnego przywozu danego artykułu.

pszenicy . . . . .	puatów	19,850,053	43 %
żyta . . . . .	„	34,514,014	58 „
owsa . . . . .	„	15,815,738	70 „
grochu . . . . .	„	1,238,587	36 „
jęczmienia . . . . .	„	5,536,384	20 „
siemienia lnianego . . . . .	„	1,941,593	52 „
lnu . . . . .	„	3,653,382	91 „
konopi . . . . .	„	1,846,086	75 „
koni sztuk . . . . .		21,465	28 „
świń . . . . .		300,792	37 „
budulcu nieobrob. . . . .		42,137,422	58 „
„ obrob. . . . .		10,469,869	21 „

Chęć ulżenia rolnictwu była bezwzględnie silnym motywem ocenia wwożonego zboża, lecz kto wie, czy dla ks. Bismarka nierównie silniejszym argumentem była możliwość wojny anglo-rosyjskiej. W razie tej wojny, drogi morskie prowadzące do Rosji byłyby niewątpliwie przez flotę angielską zamknięte i cały handel międzynarodowy miałby jedyną drogę przez Niemcy. Wojna anglo-rosyjska byłaby wielkim dobrodziejstwem dla Niemiec i po raz pierwszy w dziejach zaznaczyłyby się fakt, jak olbrzymie zyski niby pokojową kontrybucją ściągęłyby bez wojny sąsiednie państwo neutralne. Wojna krymska dała pierwsze trwalsze podwaliny przemysłowi w Prusach, wojna francuska utrwaliła ten przemysł i dała mu szersze międzynarodowe znaczenie, przyszła zaś wojna anglo-rosyjska wywalczyłaby dla przemysłu niemieckiego przodujące stanowisko w Europie, przynajmniej w niektórych ważnych gałęziach.

Na północy Francji nieopodal granicy belgijskiej, nad rzeką Oise leży miasto Guise, krańcowy punkt kolei żelaznej łączącej to miasto z St. Quentin. Miejscowość ta, dawniej prawie nieznaną, w ostatnich latach zyskała wielki rozgłos nie tylko we Francji, ale w Anglii i Niemczech z powodu zastosowania w niej na wielką skalę teorii socjalistycznych w praktyce. Rozpoczęły się liczne wędrowki deputacy robotników angielskich i francuzkich dla obeznania się z nowym socjalistycznym ustrojem społeczeństwa w tej małej republice socjalistycznej, znaną pod nazwą „Le Familistère de Guise”. Deputacy angielskich robotników pomieściła szereg wyczerpujących artykułów w „The Coorporative News” wydawanych w Manchester, w literaturze zaś francuzkiej przedewszystkiem zaznaczyć należy szczegółową broszurę: „Le familistère. Solution de la question ouvrière”, wydaną w mieście Guise (Aisne) w roku zeszłym.

Le familistère de Guise są to właściwie zakłady wyrobów żelaznych, rozpostarte na przestrzeni dziesięciu hektarów, otoczonej dookoła rzeką Oise i pokrytej przepysznyimi ogrodami i wspaniałymi bu-



dowlami. Twórcą tego rajy socjalistycznego jest p. Godin, przemysłowiec bardzo bogaty, deputowany i znakomity inżynier-technolog. Główny budynek, zwany „pałacem socyalnym“, długi na 180 metrów, zwrócony jest frontem ku miastu Guise i mieści w sobie 1200 mieszkańców, wyłącznie zarząd i robotników. O jego obszerności można sądzić z liczby 1200 okien i drzwi w nim znajdujących się. Dwa pomniejsze budynki mieszczą 600 robotników, którzy wszelkie swoje potrzeby mogą na miejscu zaspakajać. Istnieją tu: piekarnia, handel korzenny, bławatny, rzeźnia, jatki mięsne, apteczka, kąpiele, baseny do pływania i t. d., nie mówiąc już o gazie i wodzie wszędzie rozprowadzonój. Biblioteka miejscowa zawiera 3000 ksiąg, oprócz mnóstwa dzienników, pomiędzy któremi widnieje własny organ *Le „Devoir“*, redagowany przez p. Champury. Miejscowość obfitująca w wodę i w pośród ogrodów, odpowiada wszelkim warunkom sanitarnym. Twórca i czasowy właściciel, p. Godin, mieszka również w pośród robotników, w głównym pałacu socyalnym, oddany w zupełności urzeczywistnieniu swojej idei. Robotnicy w chwilach wolnych zajmują się ogrodnictwem, gimnastyką, pływaniem, a nawet śpiew, muzyka i sztuka dramatyczna nie są im obce. Dwa razy miesięcznie zjeżdża tu teatr dla dawania przedstawień, zwłaszcza w chwilach uroczystych obchodzenia świąt, z których dwa są tu szczególniej wyróżnione: święto pracy i niemowlęctwa (*du Travail et de l'Enfance*).

Pracować może każdy dorosły i zdrow, bez względu na płeć, opieką bowiem i wychowaniem dzieci zajmują się tu dwa zakłady zwane: *Pouponnat* i *Bambinat*, znakomicie urządzone. Szesnastu przewodników i dozorczyń zajmuje się wychowaniem 400 dzieci, których utrzymanie w 1883 r. kosztowało stowarzyszenie 33,000 franków. Prócz nauk ogólnych dzieci uczą się muzyki, śpiewu, gimnastyki i pływania. Wszyscy pracujący w jakikolwiek sposób w fabryce, mają udział w zyskach z przedsiębiorstwa, w ten sposób, że po pewnym przeciągu czasu p. Godin zostanie spłacony i stowarzyszeni będą wyłącznymi właścicielami zakładu, pałacu socyalnego, ogrodów, pól i t. d. Istnienie téj rzeczypospolitéj przewidziane jest na cały wiek (do 1976 r.) z dożywotnim jój prezydentem p. Godin. Stowarzyszeni dzielą się na pięć kategorii:

1) Associés w liczbie	68
2) Sociétaires	95
3) Participants	573
4) Auxiliaires	258
5) Intéressés	286

razem 1,280 „travailleurs associés“, posiadających obecnie przeszło dwa miliony franków. Sądzę, że po upływie ośmiu lat zebrany będzie cały kapitał socyalny w ilości 6 milionów franków. P. Godin znany jest w świecie przemysłowym jako niezwykle zdolny, energiczny i przedsiębiorczy fabrykant. Otrzymał

téż około 180 listów przyznania za dokonane ulepszenia i wynalazki w zakresie przemysłu metalurgicznego. Jego wyznaniem wiary jest: zupełna równość praw cywilnych i politycznych dla mężczyzny i kobiety, dalej domaga się, aby sejm i wszelkie urzędy wyborcze corocznie w połowie były odnawiane, urzędy publiczne tylko przez głosowanie powszechne obsadzane, domaga się reformy dochodów państwowych i zniesienia podatków niestałych,—jedynym spadkobiercą ma być państwo, które z tych źródeł opłaca długi państwowe, buduje pałace socyalne i t. p. P. Godin sądzi, że jego system może uszczęśliwić ludzkość, uzdrowić społeczeństwo i rozwiązać najzawilsze kwestye socyalne i powołuje się na owoce swojej pracy, na wyżej opisany *Le familistère de Guise*. Bezwątpienia p. Godin uczynił wiele, nawet bardzo wiele, lecz wieluż to w społeczeństwie można znaleźć takich panów Godin, ludzi z niezmierném poświęceniem, pracowitością, geniuszem i zasobami, boć przecież bez nich niepodobna stworzyć drugiej *Familistère* i utrzymać jęj w stanie kwitnącym, tak jak nie można odlać armaty podług znanęj recepty „*Vous prenez un trou, vous mettez du bronze autour...*“ Pytanie zresztą jeszcze wielkie, czy wspaniałe urządzenia p. Godin nie runą z jego ustąpieniem, czy znajdą się ludzie z równém poświęceniem i gienialnością, którzy bezinteresownie i całkowicie poświęcą się stowarzyszeniu tak jak p. Godin <sup>1)</sup>.

W październikowym zeszycie Biblioteki warszawskiej z r. z. podaliśmy niektóre wiadomości, tyczące się kas oszczędności, obecnie w dalszym ciągu notujemy, że podług obliczeń p. Mulhall w *Dictionnary of Statistics*, znajdowało się w 1882 r. w kasach oszczędności:

		na mieszkańca	
		rubli	kop.
w Niemczech . . . . .	2,632 milionów franków	14	50
„ Austrii (cislith) . . . . .	2,127 „	24	„
„ Anglii . . . . .	2,010 „	14	25
„ Francyi . . . . .	1,745 „	11	50
„ Włoszech . . . . .	840 „	7	25
„ Skandynawii . . . . .	683 „	31	„
„ Szwajcaryi . . . . .	305 „	26	75
„ Belgii i Holandyi . . . . .	182 „	4	75
„ Rosyi . . . . .	80 „	„	20
„ Hiszpanii . . . . .	60 „	„	89

czyli dziesięć główniejszych państw europejskich mają w kasach oszcz. 10,664 milionów franków.

<sup>1)</sup> Podobne urządzenie, możliwe w ciasnych granicach lokalnych, okazałoby się zapewne chimera na niwie państw wielkich oraz społeczeństw, opierających się przecie na gruncie historycznym praw nabytych i dóbr prawnie odziedziczonych.

Przeciwko tak wielkiej koncentracji kapitałów, zwłaszcza w obec francuzkiego systemu kas oszczędności, energicznie występuje Leroy-Beaulieu, domagając się ich reformy głównie z téj zasady, że skanalizowanie tak wielkich kapitałów i unieruchomienie ich następnie w rencie, odciąga te kapitały od rolnictwa i drobnego przemysłu. Bez wątpienia opinia Leroy-Beaulieu zasługuje na głębszą uwagę, lecz tylko odnośnie do Francyi, w innych bowiem państwach oszczędności mieszczą się nietylko w papierach publicznych; w Austrii np. połowa składek znajduje się na hipotekach ziemskich i miejskich.

Oprócz zwykłych kas oszczędności w wielu państwach istnieją jeszcze pocztowe kasy oszczędności. Powstały one pierwotnie w Anglii w 1861 r., następnie w Belgii w 1870 r., Włoszech 1876 r., Holandyi 1881 r., Francyi 1882 r., Austro-Węgrzech 1883 r., Szwecyi 1884 r., a obecnie wprowadzają je w Niemczech. Z końcem 1883 r. znajdowało się w pocztowych kasach oszczędności:

w Anglii	1,044,220,050 frank.	przynoszących	2½ %
„ Belgii	52,506,247	„	3 „
„ Francyi	77,430,000	„	3 „
„ Włoszech	108,809,854	„	3 „
„ Austrii	13,077,095	„	3 „

Minimum wniosku i maximum oszczędności tak się przedstawiają:

	minimum wniosku	maximum oszczędności
w Anglii	1 szyling	200 liv. sterl.
„ Belgii	1 frank	5,000 franków
„ Włoszech	2 liry	2,000 lir
„ Holandyi	25 cents.	800 floren.
„ Francyi	1 frank	2,000 franków.
„ Austrii	50 kreutz.	1,000 floren.
„ Szwecyi	1 korona	1,000 koron.

W rosyjskim ministeryum skarbu również opracowują projekt pocztowych kas oszczędności, który jednak zapewne nieprędko jeszcze zostanie urzeczywistniony. A u nas? u nas—ta sama zawsze bez przerwy apatya. Ośm miesięcy upływa od czasu poruszenia przez nas w Bibliotece kwestyi kas oszczędności i również ośm miesięcy upływa wzorowego milczenia nie tylko takiego organu jak Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, ale i prasy.

W ostatnich czasach następujące ważniejsze dzieła z zakresu ekonomiki ukazały się w handlu księgarskim:

Beisel S. Geldwerth und Arbeitslohn im Mittelalter. Eine culturgeschichtliche Studie. Freiburg 1884 str. VIII i 190.

Corvey J. Die deutsche Socialdemokratie unter dem Ausnahmegesetz. Hagen 1884 str. 74.

Brelay E. Les sociétés coopératives. Nancy str. 60.

Enquête sur le crédit agricole faite sur la demande de M. le ministre de l'agriculture et publiée par les soins de J. A. Barral et de



L. Passy. t. 2 1-er fasc. Réponses et documents étrangers. Paris str. 333.

Neymarck A. Turgot et ses doctrines 2 vol. Paris str. 486 i 452.

Simon E. La participation des employés aux bénéfices et les Associations ouvrières en France. Paris str. 23.

Blackie J. S. The Scottish Highlanders and the Land Laws, an Historico-Economical Enquiry. London str. 270.

Gould A. P. Elements of Social Diagnosis. London str. 578.

Hughan S. Hereditary Peers and Hereditary Paupers: The Two Extremes of English Society. London.

Oxford Handbook of Political Economy. Oxford.

Buzzi. A. Le teorie politiche di San Tomaso e il moderno diritto pubblico. Roma 1884, str. 160.

Cagnola. F. La questione sociale e le autonomie. Lodi str. 361.

Leone papa XIII. Lettera enciclica sulla frammassoneria. Lodi str. 16.

Kabłukow N. Wapros o raboczich w sielskom hoziastwie. Moskwa 1884.

Iwaniukow J. Politiczeskaja Ekonomja kak uczenje o processie razwitja ekonomiczeskich jawlenij. Petersburg 1885.

Jan żu ł J. J. Oczerki i izsledowanja. Moskwa 1884. 2 tomy.

*F. Fendi.*

# PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

Wykład prawa administracyjnego i prawa administracyjnego obowiązującego w Królestwie Polskiem przez prof. d-ra Antoniego Okolskiego; nakład Biblioteki Umiejętności prawnych. Warszawa 1884 str. 518 tom 3-ci i ostatni.

Odwołując się do uwag ogólnych, któreśmy przy rozbiórce pierwszych tomów dzieła prof. Okolskiego powiedzieli (zob. Bibl. Warsz. r. 1883-go zeszyt marzec i kwiecień)—możemy bez szczegółowych omówień przystąpić do relacji o samej treści tomu III-go téj cennej pracy. Szan. profesor, uznawszy w § 165, że „prawo prasowe odnosi się głównie do środków; mających na celu wykształcenie społeczeństwa i to pod wszystkimi względami: umysłowym, moralno-religijnym i estetycznym;“ uznawszy posłannictwo i społeczny dodatni udział prasy w dziele uobyczajenia powszechnego—objaśniając wreszcie związki następstwo badań, dodaje:

„Oprócz tego płody umysłu ludzkiego, czy pojawiają się w druku, malarstwie, rzeźbie i t. p. mają także znakomitą wartość ekonomiczną, stanowią własność pewnej osoby. Z tego powodu prawo prasowe powinno téż określić tak zwaną własność literacką i artystyczną.“ Ośmielilibyśmy się zapytać, czy związek ten jest tak koniecznym?

U innych teoretyków nauki zarządu (Stein, Inama-Sterneg, Schäfle), widzimy kwestyą własności literackiej roztrząsaną łącznie z pokrewną, (jak autor na str. 17 przyznaje) — patentów wyuzalzkowych, czyli ochrony dla znaków firmowych i t. p. jako sprawę opieki państwowej nad płodami umysłowemi. Należy to więc do działu III-go. Gumplowicz <sup>1)</sup> poświęca jéj wzmiankę nie koniecznie we

---

<sup>1)</sup> Verwaltungslehre, § 93.

właściwem miejscu, lecz przynajmniej nie bez powodu jako jedną z ustaw „nowych“ obok np. ustawy o cywilnych małżeństwach, o prawie przeciwko lichwie w części administracyjnej encyklopedyi,—którą „polityką sądową“ nazywa. P. Ok. przyznał, że własność literacka jest przedmiotem urzędzeń więcej ekonomicznych aniżeli kształcących. Powinien ją tedy był rozebrać w związku z innymi przywilejami pracy umysłowej. W samej rzeczy, instytucja ta dawniej nie znana wobec skąpej wytworczosci umysłowej, jest nabytkiem nowym w społecznościach nowszych, dążących do równouprawnienia. Po zniesieniu stanowych przegród nauka zna dzisiaj tylko dwa zawody; pracy przemysłowej i umysłowej, <sup>1)</sup> zaliczając do pierwszego z nich wszystkich, co pracują na roli, w kopalniach, w rękodziełach, na polu handlu, mechaniki, techniki i t. p.; do drugiego zaś wszystkich pracowników na polu nauki, literatury i sztuki. Dwa te zawody pracy społecznej stykają się z sobą w sprawie „własności utworów duchowych.“ Wynalazca, literat, artysta, wymagają od społeczności, a więc i od państwa pewnego uznania i wynagrodzenia, przekraczającego nawet, jak się okaże, miarę zwykłego zysku, wskutek przywileju ustawowego, zapewniającego im nadzysk czyli rentę. Lecz kiedy się mówiło poprzednio o cywilizacyjnym posłannictwie pracowników pióra, a więc o ich „czci“ społecznej, nie można jednym tchem załatwić się z ich prawami, bądź co bądź z „chlebem“ powszednim związanemi. Wszak według sz. autora przykładają się pisarze do kształcenia pojęć i przekonań, nieraz zagrzewają pokolenia „do czynów.“ Obok uczonych towarzystw i korporacji, muzeów, księgozbiorów i t. p. urzędzeń, warunkujących polor powszechny umysłów (Stein'a „allgemeine Bildung“) stanowią pisarze dzieł poniekąd organa wpływu kształcącego umysłowości zbiorową. Po cóż więc zestawiać w naukowym rozbiornie to podnioslejsze ich społeczne stanowisko ze sprawą materyalnej korzyści. Że autorowie i artyści za utwory swe pobierają wynagrodzenie stosunkowo wyższe od wynagrodzenia producentów wytworów materyalnych, to nie przynosi im ujmy. Zawsze jest to sprawa innego rzędu i autor byłby lepiej postąpił, gdyby dwóch tych rzeczy nie był ze sobą łączył jak to zresztą czynią inni teoretycy zarządu wewnętrznego <sup>2)</sup>.

Po zagajeniu § 165 zdaje p. O. sprawę z dziejowych przeobrażeń i charakteru ustawodawstw prasowych, odróżniając dwa systemy rządowe: *prewencyjny*, zespolony z urządzeniami i duchem

<sup>1)</sup> Wojskowi i urzędnicy w dzisiejszym politycznym ustroju biorą się z obydwu zawodów. Dawna trójca: stanu wojennego, uczącego i karmiącego ma już tylko teoretyczne znaczenie w społecznej filozofii.

<sup>2)</sup> Nawet R. Mohl'a, który w 2 tomie *Polizeiwissenschaft* sprawę własności literackiej traktuje jako wyjątek od wolności „przemysłowej“, w dziale więc ochrony przemysłu; Abrens zaś w „*Naturrecht*“ § 73 (1871) charakteryzuje trafnie to prawo nie jako przemysłowe, lecz jako służące umysłowemu pracownikom (*Ein Arbeitsrecht nicht Gewerberecht*).



policyjnych rządów minionych stuleci i represyjny, odpowiedniejszy naszym czasom. Dalej zwraca uwagę na konieczność złagodzenia cenzury i uznaje fałszywe położenie téj instytucji w obec swobody zdania w sejmach i ciałach ustawodawczych. W następnym § 166, rozbiera szczegółowo ścieśnienia prasy w systemie represyjnym. Skąpięć aniżeli w innych częściach swéj pracy, autor szafuje ogólnemi poglądami; w ogóle powściągliwym jest i przezornym, co pojmie każdy, bacząc na otoczenie, w jakim pisze... Chociaż nie oświadcza się za wolnością prasy, jakby wypadło z przesłanek zagajenia, trafnie jednak wypomina zbyt daleko idące ograniczenia. Tak np. o kaucyach, wymaganych od dzienników politycznych, żąda, aby nie były wygórowane: „Wszak ich celem zabezpieczenie wykonania kary pieniężnej, wielkość więc kaucyi powinna być tak umiarkowaną, aby czyniła możliwém osiągnięcie tego celu.“ Zbyt wysokie kaucye działają plutokratycznie; zdolniejszych a uboższych pracowników powstrzymując od poświęcenia pracy swéj dziennikarstwu. Że rosyjską ustawą o cenzurze z d. 6 Kwietnia 1865, którą autor zowie „reformą,“ można do pewnego stopnia uważać za przejście od systemu represyjnego do prewencyjnego w Cesarstwie, zgodzićby się można przy zaznaczeniu pewnych wyjątków dla prasy nierosyjskiej. Sumaryczne daje autor wyobrażenie o duchu ustawodawstwa prasowego angielskiego, francuzkiego i niemieckiego, o austriackim niema wzmianki.

Ogólne uwagi § 166 o własności literackiej—wrozumiałe, wielostronne i obmyślane należyście. Autor widzi niemożliwość rzymskiego pojęcia *jus utendi et abutendi* odnośnie do praw autorskich, odpiera skrajne postulaty uczynienia ich dziedzicznymi, uznaje tylko własność ograniczoną, odpiera zarzuty zwolenników przedruku trafną uwagę, że wrazie tym „owszem nakładcy wstrzymywaliby się od wydawania dzieł pożytecznych, obawiając się ponieść na nich straty.“ Nowy rodzaj prawa własności, stworzony za dni niemal naszych, dzieli obecnie zastępy tak pracowników jak ekonomistów na różne obozy, wywołuje nieporozumienia naukowe i rekryminacye poczytnych a więc interesowanych znakomitości pisarskich nie wykształconych ani w prawie ani w ekonomice, najmniej zaś w naukach państwowych. W ogóle biorąc, mało mamy w téj mierze poglądów prawdziwie przedmiotowych i ogólnych. Żądanie prawa spadkowego odrzuca oczywiście wyrozumiały nasz autor, przechylający się ku dożywołności praw autorskich. „Gdyby te prawa były bezwzględnie dziedziczne,“ nie moglibyśmy przedrukowywać dzieł pomnikowych np. Platona lub Arystotelesa. Reasumując swój wywód wielostronny, określa szanowny autor „własność literacką jako... prawo, które posiada przez pewien oznaczony przeciąg czasu autor lub jego prawonabywcy, odtwarzania lub pomnażania utworu w sposób mechaniczny np. za pomocą druku. Umysłowe zaś (dla przeciwstawienia, można było objaśnić, spekulacyjno-wyzyskującemu) korzystanie z dzieł autora np. za-

pożyczanie od niego myśli, korzystanie z rezultatów jego pracy, zastosowanie ich w praktyce, nie podchodzi pod pojęcie własności literackiej; nie narusza praw autora, który myśl swoją oddał na użytek publiczny.“ Na wynik ten wyrozumiwały zgodzić się można. Rzecz atoli dziwna, że uczony autor w bibliografii prac odnośnych pominął obok obszernej egzegezy rosyjskiej, ustawę cenzuralną prawomocną w Królestwie od r. 1869 (Rozdział VII), która kto wie czy skojarzeniem dwu tych dziedzin nie wpłynęła na łączne ich tutaj traktowanie, co za błąd uważać trzeba, jak tego dowiódł Schaeffle <sup>1)</sup>. Każdy prawoznawca roztrząsający przedmiot prawa rzeczowego, rachuje się z ekonomiką. Otóż znalazłby autor (rozd. 9—11), w monografii Schaeffle'ego podstawę ekonomiczną całej instytucji wraz z objaśnieniem wielu wątpliwości. Obrona praw autorskich jest środkiem ścieśniającym zakres odbytu nieograniczonego utworów pisarskich, utrudniającego stosunek wymienny. Płody umysłowe są ekonomicznym dobrem, i zasługują na premią, pożytecznie ze stanowiska gospodarstwa społecznego pobudzającą twórczość pisarską. Z tego powodu prawo rzeczowe jest źródłem, sztucznie co prawda, przez ustawę utworzonego, ścieśnionego odbytu, wynagrodzenia nie zwykłego, przewyższającego zarobek pracy i zysk kapitału—słowem rentą. Nie tylko ekonomiści niemieccy, lecz z francuzkich Boutron a w ostatnim czasie M. Block <sup>2)</sup>, słusznie dawniejsze pojęcie renty rozszerzają do wszelkich nadwyżek dochodowych, gdzie ograniczoną jest podaż płodów, wytworów lub utworów, mniejsza o to, czy tą nadwyżkę daje ziemia, praca, czy kapitał, czy „natura“ czy „społeczne stosunki,“ kość obraży słynnego dziś bojownika i przeciwnika renty, amerykańskiego „kollektywisty“ Georgea. Wyłączość tę sprawia tutaj, ani słowa, opieka ustawodawcy, możliwa nawet i pożyteczna w innej postaci społecznego ustroju <sup>3)</sup>. „Ochrona praw autorskich, pisze w swój monografii Schaeffle“ zmierza do tego, aby podobnie jak swobodna w gospodarstwie społecznym funkcja tworzenia się rent, oprócz przyzwoitego wynagrodzenia autorów i kapitalistów-nakładców, mogły idee pisarzy nowe co rychlej stać się

1) *Nationaloekonomische Theorie der ausschliessenden Absatzverhältnisse insbesondere des literarisch-artistischen Urheberrechts, des Patent-Muster- und Firmenschutzes nebst Beiträgen zur Grundrentenlehre.* Tübingen 1867 a więc w tymże roku co prawnicza praca Markiewicza w „*Ekonomiście*.“

2) W artykule *Etat actuel de l'Economie pol. en Allemagne* w „*Journal des Economistes*,“ septembre 1883. Monografia Mithoff'a o podziale dóbr ekon. w Schönberg'a ekonomicznej encyklopedyi, o której pisze Block wraz z piękną pracą w téjże materji Leroy Beaulieu'go.

3) Patrz Schaeffle'go *Bau und Leben des socialen Körpers*, tom II, str. 286.

udziałem ogółu, aby mogły się udoskonalać i odpowiednio być spożytkowane.

Większa część tomu, o którym mówimy, zajmuje się administracyjno-prawnym unormowaniem stosunków ekonomicznych w ścisłym znaczeniu. Jest to więc zastosowanie nie tylko t. zw. „polityki gospodarczej;“ lecz i teorii społecznego gospodarstwa do zagadnień prawnych. Kiedy teoria zarządu wewnętrznego ujętą jeszcze była w obłony doktryny i „policyi krajowej,“ całą tę rozległą dziedzinę traktowano jako „policyą ekonomiczną,“ w nowszych czasach nazwano ją w naukach państwowych t. j. w politycznym prawie (Bluntschli) i w nauce zarządu „pieczą nad gospodarstwem krajowym (Volkswirtschaftspflege). „Piecza,“ o której mowa, występuje bądź przez to, że ustawodawca i rząd zabezpieczają ogólne warunki posiadania i dobrobytu materialnego, już to wspierają pojedyncze przedsiębiorstwa i gałęzie krajowej produkcji, ułatwiają podział i spożycie dóbr ekonomicznych tam, gdzie równie jednostkom jak i spółkom nie dostaje poczucia krajowego dobra (Gemeinsinn) i powszechnego pożytku. Drugą tę część administracyjnej działalności państwa niedawno jeszcze pierwszorzędnym ekonomista F. Bened. Hermann <sup>1)</sup> mienił być „policyą gospodarczą.“ Poważny policysta Robert Mohl jest i w tym tomie powagą i drogowskazem dla naszego autora, tak że cała osnowa badań i systematyka jego porusza się po drodze, przez niego przed 20-u laty wskazanój.

Zależność od Mohla objawia się w części tej „szczególniej“ tam, gdzie autor (tytuły 4, 5 i 6) mówi o prawie administracyjnym „przemysłu“ wytwórczego (?) i „zamiennego.“ Przeciw tym wyrażeniom niejasnym należy wystąpić w imię systemu naukowego. Któryż przemysł, nie jest eo ipso „wytwórczym“? Dla czego pojęcie to ma się łączyć ściślej z rękodzielnictwem aniżeli z innymi gałęziami zarabiania przemysłowego np. gatunki przedsiębiorstw gospodarczych? Po co rościągać pojęcie Dunoyer'a „industrie extractive“ do przemysłu leśnego i ziemiańskiego? <sup>2)</sup> Ta zależność od Mohla sprawia, że autor rozbieira przy „handlu“ znaczenie dróg przewozowych i urządzeń oraz środków obrotu, kredytu i wymiany, jak gdyby one służyły tylko kupcom! Autor mógłby się tu zasłaniać przykładem Roschera; ale w dziele zbudowanym na tle ekonomiki stosowanej niema wzmianki o ekonomice handlu i rękodziel.

Kto łączył teorią ekonomiczną badania o stosunku państwa do gospodarstwa społecznego musi nawiązać je do podziałów produkcji, podziału obiegu i spożycia dóbr oraz ich wartości. Tak postąpił so-

<sup>1)</sup> Staatswirthschaftliche Untersuchungen § 34 Grundlogung d. Volkswirtschaft.

<sup>2)</sup> Nie wziął szan. autor pod uwagę nawet będącego w każdym ręku i spolszczonego przedmiotu Baudrillard'a uzasadnia klasyfikacyą tę Dunoyer Liberté du travail t. II, str. 113—115.



bie Rau, po nim Cherbuliez a za dni naszych Jourdan w monografii o tym stosunku. Obok takiego doktrynerskiego rusztowania płynie ztego ta niedogodność, iż zaciera się odrębne stanowisko i sprawdzian zarządu i pieczy gospodarstwa krajowego.

Owa polityka gospodarstwa krajowego jest obecnie dziedziną, która się przeżyła już choćby dlatego, że w sztuczny sposób przeciwstawia ustawodawcę i „prywatnych“ li tylko „osobistym interesem“ kierujących się gospodarzy <sup>1)</sup>. Mohl jednak, chociaż obstawał zawsze przy abstrakcyjnych założeniach swojego „praworządneho państwa,“ przy nietykalnej własności, swobodzie zarobkowania i t. p., rozumiał dobrze, że „policya“ gospodarstwa krajowego winna wziąć w rachubę stopień różnego ekonomicznego i obywatelskiego wyrobienia ludów, że ustawodawca dbały o los przyszłych pokoleń i ich dobrobyt, nieraz owe abstrakcyjne postulaty odsuwa na bok w obec pożytku społecznego. Z politycznych względów bystrym swym wzrokiem uznaje M. potrzebę ograniczenia swobody przemysłowej tam, gdzie u Rau'a rozstrzygały szkolne przesłanki ekonomiki liberalnej. Dziś np. godzą się niemal wszyscy ekonomiści na „upaństwowienie“ dróg żelaznych. Lecz w r. 1844 (2 wyd. Polizeiwissenschaft) popieranie tej sprawy w obec przeciwnych prądów było dowodem wielkiej niepodległości zdania. To samo da się powiedzieć o umiarkowanym, a wówczas niepopularnym sędzie o potrzebie ochrony rękodzieł za pomocą ceł. Trzeba tedy przyznać z Roscherem <sup>2)</sup>, „że Mohl zgoła nie jest liberałem w znaczeniu zwykłych miernot ekonomicznych jak Pölitz, Scholze, Rotteck,“ lecz owszem, służy hasłom wolnomyślnym o tyle, o ile się nie sprzeciwiają jego wytrawnemu zdaniu.

Niemniej jednak razi tak u Mohla, jak u naszego autora niedostateczne uwzględnienie czynnika w granicach tej gałęzi zarządu, jaki stanowią stowarzyszenia. Systematycznie badał tę sprawę Stein, po nim Gierche. Mohl, zawsze pełen uznania dla prac i pomysłów nowych a dojrzałych, uwzględniał później ważność tego czynnika (Präventivjustiz, w III-im tomie wydania z r. 1866-go). Nasz autor powinien był roztrząsnąć poczet różnorodnych stowarzyszeń, jako wy-

<sup>1)</sup> Eisenhart Geschichte der Nationaloekonomik 1881, str. 175, „Es hatte einen gewissen Sinn, so lange man sich dem Wahne hingeben konnte, als ob jene reine Nationaloekonomie, wie sie in der Idee gegeben, sich von selbst unter dem Concurs der privatwirthschaftlichen Kräfte zum gemeinnützigen Ziele bilde und die Wirthschaftspolitik dieselbe nur von ihren historischen Fesseln zu befreien habe. Von dem Standpunkte eines positiv organisatorischen Staatsberufes führt es zur widernatürlichen Zerreißung dessen, was, wie Aufzug und Einschlag eines Gewebes an jedem Punkte zum Ganzen zusammenzuwirken bestimmt ist, beraubt die Nationaloekonomie ihres gestaltenden Principis, die Wirthschaftspflege ihres zu organisirenden Stoffes.“

<sup>2)</sup> Geschichte der deutschen Nationaloekonomik, str. 948.

ręczających rząd i samorząd w pewnych administracyjno-społecznych funkcjach. Zład rażąca w rozumowaniach próżnia. W § 168 np. czytamy: „Widoczném jest, iż państwo w działalności swój ekonomicznej nie może dążyć do zapewnienia każdemu obywatelowi bezpośrednio dóbr ekonomicznych, majątku; staranie o to winno być zadaniem każdego pojedynczego człowieka... Zadaniem państwa może być, w ogóle mówiąc, staranie o stworzenie takich warunków, w których nabycie dóbr będzie możliwém; o umożliwienie ich nabycia.“ Dotąd bardzo dobrze niemniej jak zapewnienie, że środki i warunki owe mają na względzie korzyść nie jednostek, lecz wszystkich bez wyjątku obywateli. Lecz potem następuje takie zdanie: „Odstępować winno państwo od praw ekonomicznych, niezależnych od niego tam, gdzie interes państwa koniecznie tego wymagać będzie.“ Elastystyczną *raison d'état* wyprowadza autor przeciwko indywidualizmowi, lecz dzieje się to podobnie jak u dawnych policystów, sojuszników oświeczonego absolutyzmu. Zdawałoby się, że w dziedzinie pieczy społeczno-gospodarczej występują tylko te dwa czynniki gospodarze: osobnik i rząd państwa. Wiadomo autorowi, że w dzisiejszych czasach zakładami, przedstawającymi „ogólne owe warunki rozwoju,“ bankami np., drogami żelaznymi, ubezpieczeniami, często fabrykami zawiadują nie jednostki, bo na to większych trzeba zasobów i sił, rzadko bardzo państwo, lecz spółki, stowarzyszenia koncesyowane. Stowarzyszenia i spółki stanowią „przedsiębiorstwo,“ jako jednostkę „działalności ekonomicznej” państwa w tej mierze, jako substratum dla ekonomicznego ustawodawcy, przedmiot nadzoru dla ustawodawstwa i prawa krajowego. Jeśli autor pomija systematycznie wysunięcie naprzód odnośnych kwestyi stowarzyszeń w ich różnolitej formie, zwanych przez Stein'a „podmiotów gospodarczych” w zarządzie odnośnym, to mógł ze zwięzłej wskazówki Inamy-Sternegg'a<sup>3)</sup> powziąć wyobrażenie, że już we wstępnej i ogólnej części tej należało wskazać z kim właściwie w tej mierze ustawodawca i rząd ma tu do czynienia. Wspomina wprawdzie autor w tytule II, w ustępie: „usunięcie przeszkód nabycia majątku ruchomego,“ o „towarzystwach przemysłowych“ (str. 88—92), dosyć nawet obszernie w stosunku do innych mniej potrzebnych lub zbytecznych rzeczy. Do ostatnich np. należy w tyt. I o katastrze o „pozbyciu się dóbr państwa“, co zawsze należało i należy oczywiście do nauki skarbowej. Autor rozbiera znaczenie spółek akcyjnych, lecz nie wyczerpuje przedmiotu, o innych gatunkach stowarzyszeń i o całym ustroju tej sieci gospodarczych przedmiotów.

<sup>3)</sup> Verwaltungslchre in Umrisson, str. 147—48, 157—59. Grubomyli się Gampłowicz str. 56, kiedy mniema, że dziełko J. S. jest „li wyciągiem ze Stein'a (I).“ Umyślnie przemilcza, że J. S. ma zgoła inne pojęcie „społeczeństwa,“ inno przedmioty roztrząsa w IV-ym dziale, jak Stein.

W § 181 „zniesienie wspólności posiadania“ autor zajmuje stanowisko artykułu 815 kodeksu Napoleona... mówi, że ta wspólność „skazana na zaginięcie, na ustąpienie miejsca indywidualnej dziedzicznej własności.“ Po co było rozrywać sprawę „ciążarów własności nieruchomości“ (§ 182) od „uwłaszczenia,“ o czym się mówi dopiero w części „szczególniej“ przy rolnictwie? (§ 196).

Inaczej, zdaniem naszym, należało ustosunkować część ogólną do kwestyi szczegółowych. Wszystkie przedsiębiorstwa potrzebują „ogólnych“ warunków rozwoju, jako to: stosownej organizacji stowarzyszeń, uwłaszczenia, wywłaszczenia na rzecz ogółu, unormowania stosunków nie tylko właścicieli, lecz i użytkujących <sup>1)</sup>, ubezpieczenia od klęsk, policyi ogniowej i wodnej, komunikacyjnych i obiegowych a powiercznych urzędzeń. W szczególnej części należało rozpatrzyć osobno administracyjno-prawne stosunki: 1) górnictwa, 2) leśnictwa, myśliwstwa i rybołówstwa, 3) przemysłu rolniczego, 4) rzemiosł, 5) fabrykacyi, 6) handlu, 7) własności umysłowej.

Powyższe zastrzeżenia i uwagi, odnosząc się do zasadniczej metodologicznej wartości dzieła, jako przewodnika w wykładach, zarówno o pojęciach przewodnich zarządu wewnętrznego jak i o prawie administracyjnym, nie uwłaczają niewątpliwemu pożytkowi wykładu dla prawników z zawodu. Bogaty to arsenał uporządkowanych przepisów, lubo zbywa mu na przestronniejszej i głębszej, że tak powiemy filozoficznej podstawie. Że kładziemy nacisk na „pojęcia ogólne“ i na rozkład i układ osnowy, uznając wielką pracowitość i znakomitą wiedzę prawniczą szanownego autora w przedstawieniu przedmiotu, pochodzi to stąd, że w obecnym stanie ubożego naszego piśmiennictwa naukowo-administracyjnego, brak nam przewodnika teoretycznego. Tak w przeglądzie ostatniego jak i poprzednich tomów zastanawia, iż autor powikłał, w niniejszym tomie przyznajemy mniej aniżeli w 2-im, dwa z sobą zadania. Prawda, 1) że w wykładzie obowiązującego prawa administracyjnego teoria winna towarzyszyć i oświecać, nie tylko illustrować odnośne przepisy, choćby dlatego, że je ujmuje w pewną przejrzystą całość i naukową budowę; 2) że sam wykład przepisów zyskuje i ożywia się przez taki sposób rozbioru na tle teoretycznym. Zyskalibyśmy wykład porównawczej teorii, którego nam potrzeba, gdyby autor mógł jęj więcej poświęcić miejsca, lecz trudno było odtworzyć bez jęj ożywienia suchy zazwyczaj zastęp przepisów prawomocnych. Przykłady i wzory obcych prawodawstw i krajów ilustrują i nadają całości więcej kolorytu, z ujmą atoli jednolitości, a bez pożytku dla dokładniejszego obeznania czytelnika z postanowieniami prawodawstwa. Zbytnią powściągliwość teoretyczną, acz miejscowemi względami poniekąd usprawiedliwioną, nie budzi

<sup>1)</sup> Patrz Drei Fragen des Grundbesitzes Stein'a, 1881.



żywszego interesu dla przedmiotu. Tak np. w § 171 o „sekwestrze i konfiskacie“ autor mniema, że przeciwko konfiskacie i karom pieniężnym czyniono liczne zarzuty, których bliższy rozbiór należy do prawa karnego. W tém miejscu tylko zauważyć należy, iż kary te zostały utrzymane we wszystkich prawodawstwach. Prawo karne uznało, iż bez nich obejść się nie może. Toż samo można powiedzieć o konfiskacie specyjalnej i sprawiedliwej, gdyż obrażałoby wszelkie pojęcia słuszności, gdybyśmy pozostawiali w posiadaniu skazanego, przedmioty lub narzędzia pochodzące z przestępstwa i których mógłby użyć do popełnienia nowych przestępstw. Wolelibyśmy w tém miejscu inne uzasadnienie *rationis legislatoris*.

Załączamy, iż krótkość niniejszego przeglądu nie dozwala roztrząsać wraz z szanownym autorem wielu zagadnień bogatej części szczegółowej. Nie zawadzi jednak zaznaczyć, iż w walnej obecnie między ekonomistami kwestyi ubezpieczeń od klęsk przez państwo lub stowarzyszenia, autor nie dał się pociągnąć wpływowi dawniejszych półsocjalistów jak Villaum'e lub rzeczników państwowego socjalizmu jak zkaduinał zasłużony a ruchliwy Adolf Wagner. Mniema tedy p. Ok. nie bez racji (Tytuł III. Zabezpieczenia od wypadków losowych. Rozdział II § 189), że na dylemat o upaństwowieniu asekuracji należy „w ogóle odpowiedzieć przecząco, ile że administracja państwowa jest i kosztowniejsza i powolniejsza“ od prywatnej lub spółkowej. Wyjątek dopuszcza autor dla „nieistniejących w kraju a pożytecznych rodzajów ubezpieczeń“ (co jest elastyczne) i dla asekuracji bydła. Nie waha się też autor oświadczyć za asekuracjami na zasadzie wzajemności opartymi. Cały ten § jest bardzo ciekawy równie jak i następny § 194.

Toż samo można wyrzec o szczegółowym przedstawieniu sprawy uwłaszczenia (§ 196, o innych częściach rolniczego ustawodawstwa, o poprawnym a wielostronnym poglądzie na gospodarstwo leśne i odnośnie jego przez władzę zwierzchnią unormowanie (§ 205 — 209).

W tytule V, którego osnowę należało nazwać „przetwórczym“ a nie „wytwórczym“ przemysłem rękodzielniczym, szanowny autor gruntownie i wielostronnie rozbiera sprawę organizacyi rękodzielni rzemieślniczych fabrycznych, nie jest przyjacielem cechów, przechyła się ku swobodzie zarobkowania, lecz radzi ustawodawcy być oględnym, bo zniesienie cechów wtedy dopiero będzie mogło nastąpić z korzyścią, kiedy będą istniały instytucye inne, mogące je zastąpić“. Razi pominięcie we wskazówkach bibliograficznych takiej wyborniej lubo dawniejszej monografii jak Hoffmann'a „Befugniß zum Gewerbbetriebe“ (1840). Wytknięty przy ocenie 2-go tomu błąd o zabezpieczeniu robotników naprawia autor (str. 323), uznając, że „powinny istnieć kasy wsparcia, do których należeliby wszyscy robotnicy danej miejscowości i do której obowiązani by byli przykładać się w pewnym stosunku właściciele fabryk“. Literaturę odnośną w przypisku podaną dla tej

piekającej sprawy, możnaby pomnożyć kilkoma nieuwzględnionemi pracami.

Ważniejsze dla nas stanowisko autora w sprawie równie walnej, w sprawie ochrony celnj (§ 220). Oględność i przedmiotowość graniczy tu z apatyą. Zestawiwszy ze zwykłym spokojem wywody przeciwnych obozów, oświadcza się autor wprawdzie miętko za „cłami wyrównawczemi“ (str. 353). „Jeśli przemysłowcy zagraniczni wskutek ulepszonych środków produkcji, tanioci robotnika lub innych przyczyn (?) są w stanie taniej sprzedawać swoje wyroby od przemysłowców krajowych, pomimo to, iż ponoszą jeszcze koszta transportu, to cło ochronne powinno być takie, aby byli zmuszeni sprzedawać je po jednakowej cenie z przemysłowcami krajowemi, jeżeli (kto ?) niechcą być narażeni na straty.“ Większe cło ochronne jest niepotrzebne a nawet szkodliwe, bo daje krajowym rękodzielniom bezpotrzebny monopol. Piszemy się na to oględne zdanie, które i praktyczny mąż stanu baron v. Hock wyznawał z wielu innemi. Po przedstawieniu zasad wolnohandlowników (sic. R.) (str. 352), gdzie i o Fawcettie <sup>1)</sup> godziło się wspomnieć, autor zapisuje tylko jako fakt, że w taryfach przeważa systemat protekcyjny, dodając znaczące „jeszcze“. Zdaniem recenzenta można było nadmienić, że za czasowym systemem ochrony celnj przemawiają względy pedagogiczno-krajowe i narodowe, że jednak nie stopniowe pozbywanie się podpór produkcyjnych jest postulatem; ale swobodna, do fiskalnych tylko ceł ograniczona, wymiana ideałów. Wszak nie tai się z tém i konserwatywny Roscher <sup>2)</sup>, bo jest ekno moista, a więc sięga wzrokiem dalej od legistów i lex lata mu nie wystarcza.

J. B. O.

---

Adolf Koch, Hermann von Salza, Meister des deutschen Ordens († 1239). Ein biographischer Versuch. Lipsk. 1885. str IX, 140.

W szeregu wielkich mistrzów Zakonu krzyżackiego zajmuje Hermann Salza jedno z najwybitniejszych stanowisk, ponieważ znaczenie jego jako przyjaciela i zaufanego doradcy cesarza Fryderyka II (1215—1250) niemniej jako twórcy i głównego organizatora Zakonu niemieckiego w Prusach, przewyższa pod wielu względami nawet blask i potęgę wielkiego mistrza krzyżackiego Winricha Kniprode (1351—1382)

<sup>1)</sup> Froetrade and protection, 1880.

<sup>2)</sup> L. s. c. § 141 por. z § 38.

za którego urzędowania Zakon krzyżacki w Prusach znajdował się na najwyższym stopniu swojej potęgi i sławy. Hermann Salza, czwarty z porządku wielki mistrz Zakonu niemieckiego, jest przede wszystkim osobistością uniwersalno-historycznego wpływu i znaczenia, dla tego przedstawia przedmiot bardzo wdzięczny dla badacza dziejów, ponieważ dostarcza mu treści, która może doskonale wypełnić ramy choćby najobszerniejszej monografii. Z tego powodu zajmowali się tą postacią dosyć szczegółowo wszyscy badacze krzyżackich dziejów Zakonu niemieckiego w Prusach (J. Voigt, Watterich i. i.). Obok nich nie brak i biografów, którzy z mniejszą lub większą powagą naukową szukali w Hermannie Salza bohatera swoich studyów. Mimo tak różnorodnych usiłowań brakowało jednak dotychczas w literaturze historycznej dzieła, któreby w odpowiedniemu ustosunkowaniu przedstawiało wszystkie kierunki niezmordowanej a nader różnorodnej działalności wielkiego mistrza, przy równoczesnym uwzględnieniu wszystkich jego życiowych stosunków z jednego punktu widzenia. Literatura historyczna polska zna go przeważnie tylko jako fundatora potęgi krzyżackiej w Prusach, jako twórcę idei germanizowania wybrzeży morza Bałtyckiego; gdy tymczasem znaczenie jego w dziejach powszechnych polega raczej na stosunku i wpływie, jaki wywierał (1220—1238) na bieg i kierunek polityki cesarza niemieckiego Fryderyka II-go wśród jego zapasów z papieżem Grzegorzem IX-ym następcą Innocetego III-go, oraz z miastami lombardzkimi. Trzymając wszystkie dyplomatyczne nici ówczesnej polityki w swoim ręku, zagrzany jak najbujniejszymi aspiracjami idei imperyalistycznej cesarstwa niemieckiego, potrafił H. Salza z pomocą cesarza i papieża stworzyć dla Zakonu niemieckiego stanowisko nader imponujące wśród współczesnych sobie potęg równie duchownych jak i świeckich, kościelnych jak niemniej i państwowych. Na podstawie nowego materiału źródłowego, zgromadzonego świeżo przez uczonego E. Winkelmann, przedsięwziął tedy Adolf Koch, znany zaszczytnie autor dzieła „O początkach Zakonu Minorytów w Niemczech“, zapobiedz temu niedostatkowi, który literatura historyczna zaznacza, i wypracował monografią, pragnącą uczynić zadość wskazanemu powyżej zadaniu. Autor, zgromadziwszy jak najskrzętniej potrzebne wiadomości ze źródeł wiarogodnych, krytycznie zbadanych, kreśli w 10-ciu rozdziałach niestrudzoną działalność Hermanna Salzy, jako męża stanu, jako pośrednika starającego się godzić między sobą interesa cesarza, papieża i miast lombardzkich, niemniej jako twórcę i założyciela nie tylko potęgi, ale i państwa niemieckiego na południowym wybrzeżu morza Bałtyckiego wśród wrogich sobie pierwiastków religijnych i etnograficznych. Wykład p. Kocha sprawia tém skuteczniejsze wrażenie, że autor, przedstawiając rzecz samodzielnie, unika zbytecznej polemiki z swoimi poprzednikami, a trzyma się przedmiotu głównego. Okoliczności tej, że w dziele, o którym mowa, występuje daleko wybitniej, że zajmuje pierwsze dominujące miejsce działalność Hermanna Salzy, jako działacza cesarskiego, jako męża stanu państwa niemieckiego, nie



można uważać za stronę ujemną dzieła, bo to jest naturalnym wynikiem tego faktu, że autor posiadał dla tych kwestyi daleko obfitsze i dokładniejsze źródła, a potem może i dla tego budzi ta strona dzieła żywszy nasz interes, że bohater autora występuje na tém polu w znaczeniu korzystniejszej, nie tyle wyrafinowanej, więcej powszedniej postaci ludzkiej aniżeli w swojej działalności jako mistrz Zakonu i jako twórca nowój potęgi, wznoszonej gwałtem na gruzach i zgłiszczach tępionego narodu.

Przy całej admiracyi dla swojego bohatera, potrafił autor zachować sobie jednak swobodę niezależnego zdania, swobodę sądu, który daleki od niesprawiedliwej stronnicy i od pochwał niezasłużonych nie zamyka równocześnie oczu na błędy i ułomności swego bohatera, nie wahając się (str. 128) wyraźnie zaświadczyć, że Hermann Salza „poświęcał nieraz nietylko względy prawdy, ale i zasady prawa na ołtarzu dążności doprowadzenia Zakonu krzyżackiego do potęgi jak najświetniejszej“ (że Hermann „dem Bestreben, seinen Orden zu glänzender Machstellung zu führen, auch (mitunter) die Rücksicht auf die Wahrheit, aber auch alle Rücksichten auf das Recht nachgesetzt habe“). Przechodząc, po zaznaczeniu tego historyczno-literackiego znaczenia dzieła, do szczegółów, przyznać trzeba, że we wszystkich tych kwestyach, w których autor różni się ze swoimi poprzednikami, wypadnie nam stanąć po jego stronie, chociaż to nie wyłącza także możności prostowania niektórych jego twierdzeń i mylnych opinii. Prof. M. Perlbach (D. Lit. Ztg. 1885, nr. 15) wykazał, że autor niesłusznie pragnie widzieć (str. 3) w nazwie „Hermannus de Salza,“ którą znajduje w dokumencie z r. 1174 przyszłego mistrza. Równie nie wszyscy zgodzą się na zdanie autora, który (str. 56, n. 2) idąc za przykładem 2-go tomu „Scriptores rerum prussicarum,“ robi kronikę Piotra Dusburga, zbyt zależną od starszej nieco „Kroniki Oliwskiej.“ Przy relacyi o sprawach pruskich (str. 81), należało autorowi pamiętać o tém, że pozostałe dzisiejsze dokumenty są często wytworem późniejszej daty i nie mogą służyć w każdej chwili za dowód niezbitęj wiarygodności i autentyczności. Przeciwno wywodowi autora (str. 93), wykazującego bytność osobistą Hermanna w Prusach, nikt zapewne zarzutu podnieść nie byłby w stanie; lecz argumenty autora nie usuwają ostatecznie wątpliwości co do tego, czy Hermann Salza przedsiębrał podróż swoją do Prus przed swoją wyprawą na Wschód (1232/33), jak twierdzi Koch, czy też dopiero po powrocie ze Wschodu (1233/34) jak utrzymują inni, ponieważ datę nadania prawa magdeburckiego miastu Chełmnu, tak zwanego „prawa chełmińskiego“ („Culmer Handfeste“), można równie do r. 1232-go jak i 1233-go odnosić. W każdym razie uważać trzeba dzieło Adolfa Kocha za pożądany nabytek i cenne zbogacenie literatury dziejów powszechnych.

J. K. P.

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

### WARSZAWA.

*Czerwiec 1885.*—Na jedném z ostatnich posiedzeń rady miejskiej w Krakowie w kwestyi odstąpienia zabudowań przy bramie Floryańskiej dla muzeum ks. Władysława Czartoryskiego (zob. zeszyt czerwcowy Bibl. Warsz., str. 484), uchwalono: rada miejska oświadcza gotowość poczynienia wszelkich możliwych ułatwień, jakieby były potrzebne do założenia ordynacyi i dla rozwoju muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, upoważnia prezydenta miasta do przeprowadzenia rokowań w tym przedmiocie z ks. Wł. Czartoryskim.

— W chwili szerokiego, jakby się napozór zdawać mogło, indyferentyzmu a nawet otwartéj bezwyznaniowości w Europie zachodniej, zasługują dzieła ducha pobożności chrześcijańskiej w społeczeństwie naszym na uwagę, która upadających pod brzemieniem ciężkich przeciwności życia codziennego w pewnej mierze niejaką otuchą natchnąć może. Jednym z takich pocieszających objawów jest postęp budowy kościoła św. Piotra dla parafii ś-tój Barbary w Warszawie. Ze sprawozdania komitetu téj budowy, w którego skład wchodzi pp. prezydujący Ludwik Górski, członkowie: ks. Borzewski, prałat metrop., ks. Seroczyński, proboszcz parafii ś-tój Barbary, F. Łapiński, Adam Tokarski, Edward Cichocki, budowniczy; Władysław Herszel, budowniczy, dowiadujemy się, że komitet pragnie jeszcze w roku bieżącym przed zimą urządzić o tyle kościół wewnątrz, aby nabożeństwo w nim odprawiać się mogło, czego kilkunastotysięczna ludność parafii bardzo potrzebuje. Przedstawiony rachunek z obrotu funduszów wykazuje (w dn. 21 maja b. r.): wpływy rs. 116,320 kop. 85, pomiędzy którymi stanowi podstawę zapis ś. p. Tekli Rapackiej rs. 82,300. Różne osoby złożyły na kaplice i wewnętrzne potrzeby kościoła rs. 9,106. Urządzenie i ozdobienie kaplic bocznych, których jest 8, przyjęli na swój koszt: 1) Towarzystwo drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, 2) Ludwik i Paulina Górscy; 3) Franciszek Łapiński; 4) Starża Majewski z Woskrzenic, 5) Marya Myło. Pozostałe kaplice zobowiązały się urządzić osoby pragnące pozostać w ukryciu.

Z powyższych wpływów wydatkowano rs, 108,573 kop. 25. Pozostaje zatem w kasie rs. 7,747 kop. 60, które są zarezerwowane na dopłatę należności za posadzkę kościoła. Na dokończenie robót potrzeba 23,752; licząc zatem powołaną co tylko resztę w kasie, brakuje jeszcze sumy rs. 16,004 kop. 40.

— Posiedzenie komisji fizyograficznej Akademii Umiejętności d. 7 Maja 1885 r. Na posiedzeniu komisji fizyograficznej Akademii Umiejętności odbytém d. 7 maja r. b., pod przewodnictwem prof. d-ra St. Kuczyńskiego, po załatwieniu spraw bieżących (sprawozdania rachunkowe, uchwalenie budżetu, wybór przewodniczącego i nowych członków komisji, przeczytanie protokołu z posiedzenia poprzedniego), przewodniczący komisji przedstawił czynności, któremi się od tego czasu zarząd zajmował. Powiadomiwszy obecnych o stanie korespondencyi zawiązanój z państwowym zakładem kartograficznym w Wiedniu, wynikłój z powodu druku pierwszych arkuszy atlasu geologicznego Galicyi, przedstawił członkom cztery arkusze tego atlasu wykończone w zupełności na próbę. Przechodzi następnie do prac członków komisji, do zbiorów i darów, nadesłanych przez osoby prywatne. Ze sprawozdania tego pokazuje się, że prace literackie nadesłane już zostały przez prof. Łomnickiego „Zapiski geologiczne z okolic Kałusza;“ p. Szyszyłowicza „Hepaticae tatrenses;“ p. Raciborskiego „Desmidye z okolic Krakowa;“ „Zapiski florystyczne“ i „Rośliny zebrane przez ś. p. A. S. Slendzińskiego w r. 1880-ym;“ p. Krupa „Wykaz mchów, zebranych w Szczawnicy w czerwcu 1884-go;“ „Zapiski bryologiczne“ i „Przyczynek do florystyki roślin naczyniowych;“ p. Boberskiego „Przyczynek do flory lichenologicznój Galicyi ze szczególném uwzględnieniem Podola galicyjskiego. Ze wszystkich tych prac ośm zamieszczone już zostały w rozpoczętym tomie XIX-ym Sprawozdań komisji fizyograficznój, a dziewięta „Desmidye z okolic Krakowa“ p. Raciborskiego, rozpoczętą została w druku w tomie X-ym „Pamiętnika wydziału matematyczno-przyrodniczego Akad. Umiejętności.“ W ciągu tegoż samego czasu spostrzeżeń meteorologicznych dokonywali: p. Paleczny w Radzichowach, p. Majewski w Krzeszowicach, p. Kotowicz w Bieczu, p. Krziża w Złoczowie, ks. Szmerzykowski w Peczeniżynie, p. Kochanowski w Dornie. Zbiory swe przedstawiali: pp. Szyszyłowicz resztę wątrobowców tarzańskich, służących za dopełnienie zbioru poprzednio już przez niego złożonego, p. G. Ossowski, szczątki fauny dyluwialnój zdobyte w przeciągu ostatniego lata w jaskini Wierzhowskićj-Górnój (okolice Ojcowa), p. Bieniasz, zbiór geologiczny z okolic Stanisławowa i Halicza. Do zbiorów komisji fizyograficznój nadesłano dary następujące: p. Giermański nadesłał głazy narzutowe (eratyczne) z okolic Żukowca pod Czernichowem; p. Zuber, zbiór geologiczny z okolic Stanisławowa; p. Kusiba, zbiór geologiczny z okolic Kołomyi; p. Sztengel, okaz siarki z Truskawca; p. Łapczyński, skamieliny z piasków w Szczakowój; p. Turz, zbiór roślin i p.



Majewski orła bielika z Malkowic. Po załatwieniu sprawozdania rachunkowego i uchwaleniu budżetu na rok bieżący, uchwalono program zajęć członków podczas nadchodzącego lata. W sekcji geologicznej, prof. dr. A. Alth przyjął na siebie dalsze badania geologiczne wschodniej Galicyi; p. Zaręczny, wykończenie mapy geognostycznej okręgu krakowskiego, p. Bieniasz wycieczkę geologiczną do wschodniej Galicyi, a p. Ossowski, dalsze badania fauny jaskiniowej w okolicach Ojcowa. W sekcji zoologicznej, p. Kociuba przedsięwziął badania fauny ssawców, p. Jaworowski, badania robaków w okolicach Krakowa, a p. Wiśniowski badania stawów Czarnohory. W sekcji botanicznej p. Krupa ma się zająć badaniem flory mchów Czarnohory, p. Raciborowski, opracowaniem zielnika komisji fizyograficznej, pp. Błocki i Trusz badaniem florystyki pomiędzy Styrem i Bugiem, a p. Hawryśiewicz badaniem florystyki okolicy Ożydawa. Nastąpił wybór przewodniczącego komisji na rok bieżący, który padł znaczną większością głosów na dotychczasowego jej przewodniczącego prof. d-ra St. Kuczyńskiego. Do grona członków komisji przybrani zostali pp. Boberski, Nowosielski, Jaworowski i Ralski, poczem posiedzenie zostało zakończonem.

G. O.

— Na posiedzeniu wydziału filozoficznego Akademii umiejętności w Krakowie, pod przewodnictwem hr. St. Tarnowskiego, sekretarza generalnego Akademii, dr. Wisłocki odczytał uwagi o wydawnictwie księgi „*Liber diligentiarum facultatis artisticae Universitatis Cracoviensis ab a. 1487—1563*,” zawierającej spisy profesorów wydziału filozoficznego w uniwersytecie Jagiellońskim z lat wymienionych, jako też wykazy wykładanych przez nich przedmiotów. Księga ta ważna jest nie tylko dla uniwersytetu krakowskiego, ale i dla innych uniwersytetów europejskich, które nie posiadają podobnych spisów z dłuższego szeregu lat. Zawiera ona obok tego spisy wykładów wydziału lekarskiego, służy też za źródło do uzupełnienia wiadomości o magistratach krakowskich z lat 1542—1562, t. j. z epoki, z której metryki uniwersyteckie zaginęły w pożarze w połowie w. XVII-go. Dalej prelegent wymienił wszystkie przedmioty, podówczas wykładane. Profesorowie krakowscy czytali rozmaite dzieła filozofii Arystotelesa, dalej przedmioty należące do nauk zwanych dyalektyką, retoryką, astronomią i astrologią. Czytano też klasyków rzymskich i greckich, oraz wykładano gramatykę łacińską, a niekiedy grecką i hebrajską. W metodzie wykładu profesorowie krakowscy trzymali się zasad Duns Scot'a i używali podręczników wybitnych swego czasu zwolenników szkoły skotystów. Prelegent w tej okoliczności, że profesorowie uniwersytetu krakowskiego byli gorliwymi skotystami, widzi zgubny wpływ na dalsze losy uniwersytetu, gdyż kierunek ten, zamiast podsycać postęp naukowy, spowodował z czasem w uniwersytecie zastój wewnętrzny. Było to także przyczyną późniejszej walki między uniwersytetem a Jezuitami, ci bowiem

ostatni trzymali się zasad św. Tomasza z Akwinu, wprost przeciwnych zasadom Duns Scot'a.

— Dnia 9 Czerwca, odbyło się pod przewodnictwem d-ra Estreichera, zwyczajne posiedzenie wydziału, filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie. Dr. Władysław Wisłocki odczytał dalszy ciąg uwag o uniwersytecie krakowskim z epoki 1487—1563, na podstawie *Liber diligentiarum*, a w szczególności mówił o profesorach z tego czasu, o ich wzajemnych stosunkach, o sposobie wykładów, o dysputach, które profesorowie i magistrowie byli obowiązani odbywać co sobotę. Wykładać na wydziale filozoficznym (artystycznym) i brać udział w dysputach, miał prawo każdy, kto uzyskał stopień magistra. Każdy magister wykładał z początku w charakterze docenta nadzwyczajnego, *extraneus non de facultate*, następnie awansował na tak zwanego *extraneus de facultate*, albo *extraneus facultatem regens*. Dalszemi stopniami były: *collega minor* a nakoniec *collega*. Magistrowie rozpoczynali wykłady stosunkowo w bardzo młodym wieku. Tak np. sławny Jan Leopolda (Kasprowicz, Nic zwany), wydawca Biblii, wykładał już, mając lat 18. Jednocześnie, ucząc na wydziale artystycznym, ci sami młodzi uczeni uczęszczali w charakterze uczniów na inne fakultety: teologiczny, prawniczy i lekarski, a po uzyskaniu stopni doktorskich na tych wydziałach, opuszczali katedry filozoficzne, skąpo uposażone, i przenosili się na korzystniejsze stanowiska. W tej okoliczności widzi p. Wisłocki przyczynę zgubnego wpływu na rozwój wydziału filozoficznego. Uczący bowiem nie przywiązali się do swego zawodu, uważali swoje stanowisko za chwilowe, tymczasowe, co zamiast postępu, pociągnąć musiało z czasem za sobą wewnętrzną i upadek nauki. W okresie, o którym mowa (1487—1563), było wszystkich uczących magistrów na wydziale artystycznym 525. Z tych 445 z obrębu ówczesnej Polski, a reszta obcych, przeważnie z pobliskich Węgier, Szlązka, Morawy; kilku zaś tylko z dalszych krajów, jak Anglii, Włoch i Niemiec. Uczący należeli przeważnie do stanu miejskiego i wiejskiego. Ze szlachty nie wielu spotyka się w wieku XV (między tymi był jeden książę litewski, „na Swirze Świrski“); w wieku XVI zaś, liczba szlachty między magistrami zmniejsza się jeszcze bardziej. Było ich wszystkich w owym czasie 69. Reszty zaś uczących magistrów w liczbie 375, dostarczyły miasta i strzechy wieśniacze. W skutek tego uniwersytet, zamiast być instytucją państwową, wyrodził się w zakład miejsko włościański, a pozbawiony zainteresowania się i opieki stanu rządzącego, nie mógł się rozwijać uależycie, żył z dnia na dzień i mało w nim było życia prawdziwie naukowego i postępu co do ilości, rodzaju i metody wykładanych przedmiotów. Czuli te niedostatki wykładający magistrowie; a że starali się je wypełnić i stan uniwersytetu poprawić, dowodzi tego dwukrotne opuszczenie wydziału przez znaczną ich liczbę, bez wiedzy zwierzchności uniwersyteckiej i podróż do uniwersytetów włoskich, celem dalszego

kształcenia się. Chwilowe te usiłowania jednak nie wpłynęły zasadniczo na poprawę smutnego stanu uniwersytetu w owęj epoce.

— Dnia 18 czerwca odbyło się w Krakowie posiedzenie komisji historii sztuki, na którym, załatwiając nadesłane zaproszenia na zjazd archeologiczny, zapowiedziany na rok bieżący we Lwowie uchwalono, aby komisją historii sztuki reprezentował we Lwowie przewodniczący prof. Władysław Łuszczkiewicz. Prócz tego wszakże kilku innych jeszcze członków komisji oświadczyło zamiar wzięcia udziału w czynnościach zjazdu. Z kolei p. Łuszczkiewicz, przedstawiając tablice ze zdjęciami architektonicznymi kościoła i klasztoru Cystersów w Koprywnicy, odczytał historyczną, na źródłowych badaniach opartą część pracy o tym zabytku, przeznaczoną do najbliższego zeszytu wydawnictwa komisji. Wraz z drugą architektoniczną częścią wejdzie ta praca w szereg podjętych przez komisję badań nad zabytkami romańszczyzny w Polsce, a znaczenie jej tém donioślejsze, że klasztor Koprywnicki, który i archeologiczne wielkie budzi zajęcie i w dziejach średniowiecznych naszego kraju wybitną odegrał rolę, dotąd pod żadnym względem przez uczonych krytycznie opracowanym nie został. Dla historii kultury szczególnie ważnymi będą zebrane mozolnie wiadomości o zarządzie majątków klasztornych i właściwym Cystersom sposobie prowadzenia w pojedynczych kluczach dóbr gospodarki za pomocą osadzanych tam konwersów, mających osobną organizację i czeladź folwarczą spełniającą regularnie czynności bieżące. W końcu przewodniczący przedstawiał dokonane dla celów komisji prace uczniów krak. szkoły sztuk pięknych, mianowicie p. Wawrzynieckiego widoki i plany wieży kościelnej w Miechowie, kościoła w Zembocinie oraz pięknej kaplicy budowy Kazimierza Wielkiego w zamku Lubelskim i p. Fabiańskiego zdjęcia architektoniczne kollegiaty Szkalbmierskiej, będącej jednym z niewielu w kraju znanych przykładów t. z. krakowskiego systemu budowy filarów w kościołach gotyckich.

— Ministerstwo oświaty w Wiedniu po zbadaniu przepisów egzaminacyjnych dla kandydatów stanu nauczycielskiego szkół średnich, tudzież instrukcyi o sposobie nauczania w gimnazyach, zajęło się ścisłą rewizją tej ważnej części oświaty publicznej, która odnosi się do sprawowania urzędu szkolnego w gimnazyach. Instrukcyje sprawie tej poświęcone zdolne są obudzić ogólniejszy interes, dla tego zasługują na to, aby zwrócić na nie baczniejszą uwagę. Nowe zrewidowane instrukcyje dotyczą w pierwszym rzędzie prowadzenia katalogu szkolnego „Classenbuch,” który ma być wiernym obrazem stanu każdej klasy i sprawowania się uczniów. Dalej regulują kwestyą egzaminów, w której wypowiedziano zasadę, iż w interesie szkoły i uczniów należy zastosować system bezwzględnej surowości „unbedingte Strenge,” jednakże rodzice mają być poprzednio o tém zawiadomieni, że synowie ich nieodpowiadają wymaganiom. Bardzo obszernie szczegółowe wskazówki zawiera instrukcyja w przedmiocie egzaminów dojrzałości. Powiedziano tam iż głównym celem tych egzaminów jest to właśnie, aby



uczeń kończący gimnazjum, obok ogólnego wykształcenia, posiadał także zdolność i moralne warunki do korzystania ze studyów uniwersyteckich, niemniej z tych swobód, jakie daje życie akademickie. Instrukcja poleca dalej aby starano się uniknąć tych ubezpieczeń, jakie grożą sposobiacemu się do egzaminu dojrzałości w skutek nadzwyczajnej pracy pamięciowej. W końcu zajmuje się instrukcja stanowiskiem nauczycieli, ich prawami i obowiązkami. Jako kardynalną zasadę wypowiedziano, iż gimnazjum powinno być nietylko zakładem naukowym, lecz zarazem wychowawczym, że młodzież gimnazyalną ucząc, należy ją wychowywać.

— Akademia przemysłowo-techniczna w Krakowie ulegnie z początkiem przyszłego roku szkolnego ważnej zmianie we wszystkich oddziałach. Minister oświecenia postanowił w porozumieniu z ministrem handlu, aby zakład ten bez zmiany dotychczasowej nazwy, stopniowo został przekształcony na państwową wyższą szkołę przemysłową, a więc na zakład naukowy, jaki dla Galicyi jest gwałtownie potrzebny dla rozbudzenia i podniesienia przemysłu krajowego. Program naukowy akademii technicznej, po przekształceniu jej na wyższą szkołę przemysłową, będzie taki sam, jaki obowiązuje w innych prowincjach austriackich dla szkół tego rodzaju. Zastrzega też minister oświecenia, aby w wykładzie technologii uwzględniono szczególnie potrzeby przemysłu krajowego i górnictwa. Równocześnie z tém przekształceniem akademii, otwarty w niej będzie kurs nauki uzupełniającej, z wykładem wieczornym dla uczniów, co rozszerzy znacznie zakres działania naukowego i podniesie ogólną użyteczność Akademii, jako szkoły przemysłowej.

— Szkoły w W. Ks. Poznańskim. Regencya poznańska przesłała pod d. 27 maja r. b. do wszystkich radców ziemiankich i powiatowych inspektorów szkolnych następujący okólnik: „Spostrzeżenie, że w niektórych prowincjach w ostatnich lat dziesiątkach nastąpiła zmiana w stosunku wyznaniowym ludności i to na niekorzyść ewangelików, co spowodowane zostało głównie napływem do odnośnej prowincyi polskiej ludności katolickiej z zagranicy i powiększeniem się liczby dzieci w szkołach publicznych, zuięwolilo p. ministra spraw duchownych, szkolnych i lekarskich, do zwrócenia na to uwagi, że ludność ewangelicka tam nawet, gdzie jest w mniejszości, ma prawo do żądania, aby założone przez nią po części już za polskich czasów szkoły ewangelickie były jako takie zachowane, a katolickim potrzebom szkolnym winny sposób zaradzono. P. minister zwraca nadto uwagę, że nienależące do państwa rodziny zbiegów polskich, nie mają równego prawa do pruskich szkół i nie mogą żądać równego uwzględnienia ich wyznaniowych interesów, jakiego ma prawo żądać ludność krajowa, z czego wynika, że pobieranie nauki w szkołach publicznych przez owe dzieci, może tylko o tyle być dopuszczone, o ile przez to nie cierpią postępy dzieci krajowych i gminy nie są przeciążone, a nadto liczba owych dzieci nie ma bynajmniej wpływać na

zmianę charakteru wyznaniowego szkoły i nie spowodowały zmiany szkoły ewangelickiej na katolicką lub paretyczną.“

— Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie, zaczęto wychodzić nowe, jak zapowiadają, najkompletniejsze wydanie dzieł Mickiewicza. Dotychczas ukazały się na widok publiczny dwa tomy.

— Pamięci hr. Edwarda Stadnickiego zmarłego r. b. w Galicyi, poświęca dr. Włodzimierz Kozłowski wspomnienie pośmiertne w broszurze, w której na kilku kartach, serdecznie i żywo nakreślony znajdujemy obraz życia zmarłego, który od najpierwszej młodości godnie sposiobił się i jak najszlachetniej spełniał obowiązki obywatelskie.

— Księgarnia Stanisława Giejsztora ogłosiła drukiem czwarty, z kolei „Katalog dzieł dawnych i wyczerpanych“, Warsz. 1885, str. 195, obejmujący spis 3,718-tu dzieł oraz 35-iu atlasów i map. Katalogi księgarni p. Giejsztora są bardzo cennym nabytkiem dla bibliografów, stanowią bowiem nietylko wskazówkę dla poszukiwaczy, ale są wielką pomocą przy ocenianiu książek rzadkich i wyszłych z obiegu księgarskiego. W przedmowie zapowiada wydawca wydanie katalogu autografów i rękopismów, których posiada wiele tak własnych, jak po Joachimie i Procie Lelewelach. Samych listów do Joachima Lelewela jest w tej kolekcji przeszło 1,200, które rzucają światło na epokę ówczesną i są źródłem nietylko naukowym dla badacza, ale i dla dziejopisa.“

— Biblioteka po superintendencie, zmarłym przed 2 miesiącami w Słucku, pastarze zboru tamtejszego, J. Biergelu, przeszła na własność miasta Słucka, zapisana gminie testamentem przez s. p. właściciela, jak doniosły pisma codzienne. „Umieszczony w 12-tu szafach kamiennych w kruście kościelnej, jak zapewniają naoczni świadkowie, zawiera wspaniały ten księgozbiór dzieł rzadkich w swoim rodzaju i należycie uporządkowany komplet starożytnych druków lubczańskich, rakowskich, toruńskich, słuckich, nieświezkich, mińskich, ostrogskich, brzeskich, jęskich, upickich, kiejdańskich, zabłudowskich, supraślskich, knyszyńskich, łuckich, wileńskich, poczajowskich, i innych, przy urozmaiconym zbiorze wielu ciekawych rękopisów starych“.

— W Krakowie wyszło „Sprawozdanie o drugim dziale ksiąg archiwum kapituły katedralnej krakowskiej przez ks. Ign. Polkowskiego, 1885 r., 8-ka, str. 19; czytane dawniej (11-go lipca 1884 r.) na jednym z posiedzeń komisji historycznej Akademii Um. (Zob. Bibl. War. 1884 r., t. III, zes. wrześniowy str. 477). Po ogłoszonym „Katalogu, kodeksów kapituły krak.“ przed paru laty, stanowi i ten drugi dział archiwum kapitulnego, którego katalogowaniem sz. prałat jest zajęty, niemię przedmiot ważny i ciekawy. Dział ten zawiera w dzisiejszym swoim stanie jeszcze 720 foliantów, bardzo starych, a podzielonych, jak uczy „Sprawozdanie,“ o którym mówimy, na: 1.) „Acta acto-

rum“ od r. 1438 począwszy: 2) „Kopiarzysze,“ obejmujące transumpta starożytnych dyplomatów i korespondencye kapitulne; 3) „Księgi wizyt“ kościołów biskupich; 4) „Archiwum dóbr pabianickich,“ które przez 600 lat do katedry krakowskiej należały; 5) „Regestra perceptorum et expositorum“ (dochody i rozchody); 6) „Regestra praesentiarum;“ 7) „Inwentarze i rewizye dóbr biskupich;“ 8) „Regestra kontrybucyi duchownej;“ 9) „Libri privilegiorum“ itp. rękopiśmienne zabytki i miscellanea wielkiej wagi i ważnego nader interesu historycznego.

— W Poznaniu wyszła z druku odbitka „Katalogu“ zbiorów bibliotecznych fundacyi ś. p. Edw. hr. Raczyńskiego, drukującego się z funduszów zakładowych po niemiecku pod red. L. Kurtzmanna i E. M. Sosnowskiego p. t.: „Geschichte der Raczyńskischen Bibliothek in Posen, von L. Kurtzmann. Posen, 1885, str. 36. Trzy pierwsze tomy katalogu miały już opuścić prasę; ale nie spotykamy ich jeszcze w handlu księgarskim. Monografia, o której mówimy przedstawia z wielkiem uznaniem zasługi założyciela biblioteki ś. p. Edw. hr. Raczyńskiego, kreśląc z równem zajęciem wewnątrz i zewnątrz dzieje od chwili otwarcia biblioteki w maju 1829 r. aż do dni naszych.

— W tomie XXXVII-m sekeyi 2-jej znaniej w swiecie uczonym „Encyklopedyi nauk i sztuki“ Erscha i Grubera, której postęp nieco się ożywił pod nową redakcyą prof. A. Leskiena, znajdujemy między innymi artykuły obchodzące bliżej społeczeństwo polskie i dzieje oświaty jego. Prof. języków i literatury słowiańskiej przy uniwersytecie wrocławskim, Wład. Ne hring wydrukował w tym tomie 4 gruntowne studia, poświęcone roz biorowi i krytycznemu ocenieniu żywota dzieł poetów Jana Kochanowskiego, (str. 379—386) F. S. Klonowicza, (str. 136—141) i Fr. D. Kniaźnina (str. 296—299), oraz zasłużonego leksykografa G. Knapskiego (str. 279—284). Prace te mają oprócz swojej naukowej wartości dla badaczy dziejów literatury i leksykografii, jeszcze i to znaczenie, że obznajmiją uczonych europejskich a przede wszystkim tak zawistnych nam Niemców, z zasługami narodu naszego na polu cywilizacyi europejskiej. Mniejszej wartości jest artykuł kompilacyjny poświęcony generałowi K. Kniaziewiczowi (str. 294—296) napisany przez p. K. Lohmeyera.

— W Krakowie wydrukowano jako manuskrypt dla członków Akademii „Uchwały komitetu wyznaczonego przez pełne posiedzenie Akademii Umiejętności do ustalenia pisowni polskiej. Nakładem Akad. 1885, str. 8.

— Wyszła z druku broszurka okolicznościowa, p. n.: „Wspomnienia o dziejach wiary świętej rzymsko-katolickiej w Rydze,“ napisana przez ks. Jana J., a wydana na pamiątkę obchodu setnej rocznicy poświęcenia teraźniejszego kościoła rzymskiego przez Mateusza Matiukasa, bartnika z pod R.....k. Autor skreślił rzecz swoją przystępnie, zajmująco, z widocznym staraniem o ścisłość naukową i wyczerpanie źródeł, jakie dlań były dostępne, wydawca zaś postarał się o wydanie



staranne. Drukarnia Stahla (R. Reutza) w Rydze bardzo przyzwolcie wywiązała się z zadania. Dziełko zdobią drzeworyty, przedstawiające kościół parafialny rzymsko-katolicki w Rydze i wizerunek ks. Józefa Chinca, który jako wikaryusz, a następnie proboszcz ryzki od 1813-go do 1820-go r.), wielkie dla kościoła położył zasługi, a dziełami chrześcijańskiego miłosierdzia pozyskał wysoki szacunek nawet u innowierców. Dochód ze sprzedaży broszury przeznaczony jest na wykończenie świeżo wzniesionego kościółka na nowym cmentarzu katolickim w Rydze.

— Utwory utalentowanego humorysty, Alberta Wilczyńskiego, znanego autora „Kłopotów starego komendanta,” doczekały się kompletnego wydania, podjętego staraniem i nakładem redakcji „Biesiady literackiej” i „Tygodnika mód i powieści.”

— W „Tygodniu” piotrkowskim od początku r. z., drukuje się monografia p. n. „Szkoly piotrkowskie.” Mozolna ta a obfita w ciekawe szczegóły praca, doprowadzoną już została do r. 1833-go i wyszła w dwóch oddzielnych broszurach. Obecnie autor przystępuje do skreślenia dalszego ciągu téj pracy i prosi dawnych nauczycieli i uczniów gimnazjum piotrkowskiego o jak najspieszeńsze nadsyłanie pod adresem redakcji „Tygodnia” w Piotrkowie treściwych notatek, wspomnień szkolnych, a przedewszystkiem biografii wybitniejszych nauczycieli i uczniów, którzy użyteczną swoją, choćby skromną działalność zazuaczyli na jakimkolwiek polu pracy społecznej.

— W Krakowie (1885 r.) wyszło studjum nader pożądané dla badaczy historii literatury polskiej pod tytułem: „Feliks Łoyko, jako ekonomista.” Życiorys i treść 69-ciu tomów jego rękopismów z dziedziny statystyki i dziejów krajowych. Nakład Edwarda Łoyki, str. 39. Feliksowi Ł. należy się zaszczyt pierwszego u nas badacza ekonomiki w kraju naszym, a równie dzieła jego jak i materiały przez niego w tym celu zebrany stanowi niewyczerpaną skarbnicę pożądaných uader wiadomości dla historyka i ekonomisty.

— Wyszedł w osobnej odbitce (nakł. „Niwy”) zbiór listów o Francji przez p. Józefa Popowskiego, drukowanych pierwotnie w „Niwie.” Autor chciał dać wyczerpujący, o ile to być może, obraz obecnego położenia Francji, zastanawia się nad polityką wewnętrzną, nad polityką kolonialną, nad armią i budżetem tego kraju. Oddzielne listy poświęcone są opisowi Algieru, Tunisu i Marokka, Sudanu, Senegambii i Madagaskaru, oraz interesom i stosunkom, jakie Francją z niemi łączą. List o Tonkinie, ze względu na świeżo zaszłe tam polityczne wypadki, przedstawia wiele żywotnego interesu,

— W Tunisie w St. Vincent umarł dr. Nachtigal, konsul generalny niemiecki. Gustaw Nachtigal, jeden z największych zasłużonych podróżników współczesnych, urodził się dnia 23-go lutego roku 1834-go w Eichstädt. Obrawszy zawód lekarza udał się w r. 1862-im po raz pierwszy do Algieru i Tunisu, gdzie został lekarzem nadwor-

nym beja. Wielką swą wyprawę afrykańską rozpoczął z Tripolidy w r. 1869-ym; wówczas to, dążąc wschodnią drogą karawanową do krainy Bornu, w głębi Afryki, odkrył cały szereg ziem, dotąd stopą europejską nie dotkniętych (Tebu i Teda). Przez ośm miesięcy badał wówczas okolice jeziora Tszad. Następnie dotarł do krainy Baghirmi i Wadai. Przez dzikie, nigdy przedtem nie zbadane krainy, dostał się wśród bezprzykładnych trudności w 1874-ym do Darfuru i Kordofanu, z kąd przez Chartum wrócił do Egiptu. Dopiero w maju r. 1875-go powrócił do Niemiec, po sześćioletnim pobycie w głębi pustyń i oaz afrykańskich, które zbadał gruntownie pod względem geograficznym, etnograficznym, przyrodniczym i historycznym. Rezultat swoich badań i odkryć złożył w słynnym dziele „Sahara i Sudan.“

— Zeszyt 66 „Słownika geograficznego“ wyszedł z druku i zawiera następujące większe artykuły: Mikołajów, Mikorzyn, Mikstat, Mikulińce, Mikułów, Milanów, Milatyn, Milejow, Miłobądź, Miłonice, Miłostaw, Mińczoł, Minkowce, Mińsk (mazowiecki), Mińsk litewski (miasto, powiat i gubernia). Z powodu blizkiego rozpoczęcia litery N, redakcja uprasza o nadsyłanie materyałów i opisów odpowiednich miejscowości. Wzmiankujemy przy tej sposobności dla zaznaczenia ruchu wystawowego o mapie p. Jadwigi Wójcickiej, którą redakcja „Inżynierii i budownictwa“ swoim wydała nakładem pod zagadkowym tytułem „Mapy poglądowej (!) Królestwa Polskiego.“ Oddając wszelką pochwałę pracowitości i sumiennosci pracy p. W., ceniąc wysoko prawdziwie obywatelskie zamiary redakcyi, która nakład łożyła; przychodzimy po wszechstronném rzeczy rozbiornie do przekonania, że mapa, na którą patrzymy, nie przedstawia postępu naukowego ani pod względem pedagogicznym, ani pod względem ekonomiczno-statystycznym. W pierwszym razie, tworzy ta malatura raczej chaos drobiazgów, których zlokalizować nie można, i utrudnia nadzwyczaj dzieciom uchwycenie zewnętrznej fizyognomii kraju, uchwycenie stosunku kształtów topograficznych powierzchni kraju naszego, o co przecie w nauce geografii głównie chodzi; w drugim zaś razie przedstawia obraz fakszywy danych ekonomiczno-statystycznych, których przez głowy cukru, butelki od piwa, snopki i hoże dziewoje z sierpami do pojedynczych miejscowości przykuć nie podobna, bo to można znaleźć i w innych okolicach i we wszystkich krajach. Jako rzecz wystawowa nie jest jednak praca p. W. bez interesu. Topografowie, kształceni w szkołach jezuickich, sporządzając w w. XVII i XVIII-ym plany dóbr dla użytku administracyi, malowali je w ten sposób, że na gruntach ornych przedstawiano chłopka za pługiem; na pastwiskach skaczące cieleta i źrebce, w lasach rysowano różne gatunki drzew i t. p. Dzisiaj powstało na tych samych przestrzeniach daleko więcej jak najrozmaitszych szczegółów, tak że nie możnaby ich już tutaj pomieścić. Nauka u n a o c z n i a już dzisiaj dane ekonomiczno-statystyczne według metody zupełnie innéj.

— W Berlinie wyszło sprawozdanie z ostatniego zjazdu geografów niemieckich pod tyt. „Verhandlungen des 4-en deutschen Geographentages zu München am 17, 18 i 19 April 1884. Im Auftrage des Central-Ausschusses des deutschen Geographentages herausgegeben von Fr. Ratzel. Mit einer Höhenkarte der Schneelinie in Europa von Albrecht Penck.“ Berlin, D. Reimer. 1884, IV i str. 191. Czytelnik znajdzie tu relacje wzczerpujące o ważniejszych faktach na polu zdobyczy geograficznych równie w kierunku teoretycznym, naukowym jako i w kierunku nowych odkryć i przedsięwzięć.

— P. Ludwik Zarewicz, Członek kom. hist. przy Akad. Um. w Krak. wydał dziełko historyczne pod tyt. „Lanckorona,“ monografia historyczna. Według źródeł archiwalnych. Z 4-ma ilustracyami i dwoma planami zamku. Krak. 1885. str. 113. Miasteczko Lanckorona, położone 5 mil od Krakowa w kierunku południowo-zachodnim w okolicy podatrzańskiej, na stoku góry skalistej nad rzeką Skawiną, obecnie w starostwie powiatowem wadowickim, tworzyło w dawniej Rptej polskiej w województwie krakowskim, powiecie szczyrzeckim, punkt centralny starostwa niegrodowego, nazwy lanckorońskiego. Pierwotnie osada niemiecka, przechodziła przez ręce panów z Brzezia (Lanckorońscy) h. Zadora, Wolskich h. Połkoziec, (zajazd Olbrachta Łaskiego) Bekiesza Kaspra Zebrzydowskich, Czartoryskich, Słuszków, Myszkowskich i Wielopolskich.

— W Poznaniu rozpoczęto wydawnictwo pod tyt. „Monumenta musices sacrae in Polonia,“ czyli „Kompozycye kościelne wzorowych mistrzów muzycznych z epoki klasycznej w Polsce“, zebrał ksiądz Józef Surzyński. Zeszyt I-szy tego ważnego dzieła ukazał się w Poznaniu, nakładem i drukiem J. Leitgebera, zawiera: 1) Obszerną przedmowę o muzyce kościelnej w Polsce, po polsku i po francuzku napisaną, 2) mszę księdza tomasza z Szadka, na cztery mieszane głosy, wydaną w tekście i w kluczach nowożytnych, według starego rękopisu (z XVI w.), będącego niegdyś własnością królewską, jak o tém świadczą dochowane do dziś dnia na okładce herby Jagiellonów. Woryginalne Msza ta nosi tytuł: „Officium in melodiam motetae (sic) Pisneme (sic). Thomas a Szadek, Vicarius Castri Cracoviensis, fecit anno 1580.“ Ks. Tomasz był wikaryuszem i kapelanem kaplicy Jagiellońskiej. 3) Prześliczne „Adoramus te Christe“, na cztery mieszane głosy, przez Mikołaja Zieleńskiego, organistę na dworze prymasa ks. Baranowskiego około r. 1600, przedrukowane z dzieła: „Communiones totius anni etc. autore Nicolae Zieleński. Venetiis apud Jacobum Vincentium. MDCXI.“

— W Poznaniu wydał ks. Marcin Chwaliszewski, proboszcz z Granowa ważne nader dla historyka dzieło pod tyt. „Pamiętki historyczne, krytyczne i archeologiczne świętych Cyryla i Metodego oraz apostołstwa ich wśród narodów słowiańskich przez kardynała Dominika Bertoliniego wiernie z włoskiego na polski z dozwoleńm tegoż kar-



dynała przełożone i znacznemi dadatkami pomnożone.“ Poznań 1885, str. XVII, 129, XXI. Znajdujemy tu najkompletniej zebrany materiał źródłowy, autentyczny do dziejów obydwóch apostołów słowiańskich, których tysiąc-letnią pamiątkę obchodzi właśnie świat słowiański w Welehradzie, miasteczku morawskiem.

— Żydzi w Królestwie i Rosyi. Centralny komitet statystyczny rosyjs. ministerstwa spraw wewnętrznych ogłosił broszurę p. tytułem: „Żydowska ludność i własność ziemska w guberniach Południowo-Zachodnich.“ Autorem obszernej téj monografii jest redaktor centralnego komitetu statystycznego i członek najwyższej zatwierdzonej komisji do przejrzenia materyału prawodawczego i przepisów dotyczących żydów, p. W. Alenicyn. Jego praca obejmuje gubernie: Besarabską, Charkowską, Chersońską, Grodzieńską, Ekaterynostawską, Kijowską, Kowieńską, Mińską, Mohylofską, Podolską, Połtawską, Taurycką, Czernihowską, Wileńską, Witebską, i Wołyńską, tudzież okręgi: odeski, kerczski i sewastopolski. Na 25 milionów ludności, zamieszkującej powyższe gubernie i okręgi, przypada 2.9 miliona żydów, co stanowi 11.5 procent. Ta cyfra przeciętna rośnie w miarę, jak się przybliżamy ku Litwie, gdzie ilość żydów dochodzi do 20%; w prowincjach zaś małoruskich cyfra ta maleje i w niektórych okolicach nie przechodzi 5%. Najgęściej gnieźdzą się żydzi po miastach; tutaj stosunek ich ilościowy wyraża się w cyfrze przeciętnej 40%, która istotnem może przejść zdumieniem, gdy ją zestawimy z cyfrą przeciętną ogółu ludności żydowskiej, wynoszącą 11.5%. I dodać jeszcze należy, że są okolice, w których ludność żydowska miejska do 86% dorasta. Na 166 miast wziętych na chybił trafił pod obserwacyą, w 67 ludność żydowska wynosiła przeszło połowę całej ludności. Co się tyczy własności ziemskiej, pod tym względem obliczenia p. Alenicyna niewszędzie są jednakowo dokładne, czego przyczyną jest przedewszystkiem brak ściślych danych co do własności ziemskiej w rękach żydów będącej w guberniach Charkowskiej, Mińskiej, Mohylofskiej i Wileńskiej. W dwunastu pozostałych, a liczących 51 milionów dziesięcin przestrzeni, na żydów przypada 1.5 procent niespełna, to jest 723,000 dziesięcin. Z tych jednak 723,000 dziesięcin prawie wszystkie, bo 683,000, przeszły na własność żydów po reformie agrarnej z roku 1861, piątą zaś część téj cyfry stanowią grunta będące przedtem własnością szlachty, uległe skutkom wywłaszczenia. Idąc dalej, spotykamy się z cyfrą 2,200,000 dziesięcin ziemi, będącej w czasowém posiadaniu żydów, dzierżących ją tytułem zastawu, dzierżawy i. t. p. Stanowi to znowu 4½ procent w stosunku do ogólnej przestrzeni 51 milionów dziesięcin. W czasowém posiadaniu mają zatem żydzi przeszło trzy razy tyle ziemi, ile jéj mają na własność. Ogółem do żydów należy w pomienionych prowincjach około 2½ miliona dziesięcin, co stanowi mniej więcéj 5%. Jest atoli ósm gubernij, gdzie ten przeciętny stosunek zmienia się w sposób nader dotkliwy. Są to gubernie,

najpierw Grodzieńska, gdzie przestrzeń ziemi będącej w rękach żydowskich wynosi 10%, przyczem stosunek własności do posiadania wyraża się w cyfrach 1:12, dalej gubernie: Kijowska, Podolska, Połtawska, Czernihowska około 7%, Besarabska około 9%, Chersońska około 8%. Z liczby 102 powiatów, wedle sprawozdania komisji, znalazła rewizya w jednym przeszło 19% ziemskiej własności w rękach żydowskich, w 13 powiatach 10% do 15%, w 38 powiatach 5% do 10%, w 39 powiatach od 1% do 5%, wreszcie w 11 powiatach niżéj jednego procentu.

---

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

**Redaktor odpowiedzialny i Wydawca J. K. Plebański.**

go o Liber diligentiarum 1487—1563), (str. 150—151).—Posiedzenie komisji historii sztuki d. 18 czerwca r. b. (Łuszczkiewicz o kościele w Koprywnicy), (str. 152). — Instrukcje austriackie co do sprawowania obowiązków nauczycieli wyższych.—Reforma Akademii przemysłowo-technicznej w Krakowie na państwową wyższą szkołę przemysłową (153).—Upośledzenie szkół katolickich na korzyść ewangelickich w Prusach i W. Ks. Poznańskim (153).—Nowe najkompletniejsze wydanie dzieł A. Mickiewicza we Lwowie (154). — Włoz. Kozłowski (Wspomnienie o Edw. hr. Stadnickim). — Katalog dzieł dawnych i wyczerpanych St. Giejsztora, IV, (154). — Biblioteka po superintendencie Biergelu w Słucku, (154). — Ks. Polkowski: Drugi dział ksiąg archiwum kapituły krakowskiej. — Katalog biblioteki Raczyńskich w Poznaniu (155). — Wł. Nehring w Encyklop. Um. Erscha i Grubera o J. Kochanowskim, Klonowiczu, Książninie i Knapskim. Lohmayer o generale Kniaziewicz (155). — Uchwały komitetu Akad. Um. w Krakowie w sprawie ustalenia pisowni polskiej (155).—J. J. „Wspomnienia o dziejach wiary ś-tėj rzymskokatolickiej w Rydze.“ — Dzieła Alb. Wilczyńskiego. — „Hist. szkół piotrkowskich“ (156). — „Feliks Łoyko, jako ekonomista“ (156). — Popowski, „Listy o Francji.“ — Wspomnienie pośmiertne o dr. Nachtigalu. — Słownik geograficzny zesz. 66. — Mapa Król. Polskiego p. Jadwigę Wójcicką (157). — Sprawozdanie zjazdu geografów w Monachium d. 17, 18, 19 kwietnia 1884 r. (158). — Ludwik Zarewicz (Lanckorona). — Ks. Surzyński (Kompozycje kościelne wzorowych mistrzów muzycznych z epoki klasycznej w Polsce. Poznań, 1885), (158). — Bertolini (Pamiętki historyczne śś. Cyryla i Metodego tłóm. M. Chwaliszewski), (159). — Żydzi w Królestwie i Rosyi (159—160). . . . . 148—160

X. Ogłoszenia.

## ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA.

Pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przysańskiego i J. K. Plebańskiego, wychodzi w zeszytach 5-arkuszowych. Prenumerata wynosi kop. 40, z przesyłką kop. 50 za zeszyt. Można także wnosić przedpłatę po rs. 3 kop. 20 za tom, złożony z ośmiu zeszytów, z przesyłką rs. 4.

Skład główny i ekspedycya „Encyklopedyi Wychowawczej” znajduje się w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa, Krakowskie Przedmieście, Nr. 415.





Redakcyja Biblioteki Warszawskiej

Nowy-Świat Nr. 39.